









W. B. ALLEN

NEW YORK

1880

**RUBON.**

**PISMO ZBIOROWE,  
poświęcone  
POŻYTECZNEJ ROZRYWCE.**

Wydawca

**Kazimierz Bujnicki.**



Meine Ufer sind arm, doch höret  
die leisere Welle,  
Führet der Strom sie vorbei, manches  
ermunternde Lied.

SCHILLER.

**TOM IV.**

---

W I L N O.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1845.

WUBOWE  
WYDZIAŁ  
KONWENCJA  
POLITYCZNA  
WILNO

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydru-  
kowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cen-  
zury. Wilno, 1843 r. 15 Września.

Cenzor JAN WASZKIEWICZ.

Wydrukowano w drukarni  
W. W. W. w Wilnie  
Cena 1/2 zł  
Kilka egzemplarzy  
dostawiono

TOM IV.

---

WILNO  
Drukarnia  
1843



Wspomnienie **I.** Klubu Kuzi-  
niczek w r. 1836.

## RZECZY POWAŻNE.

Zawieszona słoneczna chmurność, kotłująca re-  
zultatem powietrza mąrowego poranka, przed-  
sięwzięciem zwiadać Białostok, niegdyś pu-  
miedzianiczką ulubioną Karłowicza Wielkiego.  
Artoni drzew i krzewów całow, zdobiących  
cyporek decydującą malą, błosną swym przecho-  
dnie zostawiały tyrolską i białostocką krótki-  
długie do bajowych yastawek, głoś wirajłen ich  
dzwonów, spien rozolnych postawy, marce-  
nie przybijające nie przezsklepienia drzew śla-  
tego gminicosa stała, odhite dżugentowym bla-  
koni, od niewidocznych kropel wazy, wrytcho-

Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego  
Kolekcja: **RECEPTY POWAŻNE**  
Centrum Badań i Wydawnictw

---

## Wspomnienie zamku Kazimierza w r. 1826.



**Z**E WSCHODEM słońca zbudzony, korzystając ze świeżości powietrza majowego poranku, przedsięwziąłem zwiedzić *Kazimierz*, niegdyś pomieszkane ulubione Kazimierza Wielkiego. Aromat drzew i krzewów Puławy zdobiących, zapach świeżości mleka, które w swym przecho-  
dzie zostawiały tyrolskie i holsztyńskie krówki, dążące do bujnych pastwisk, głos wiejskich ich dzwonek, śpiew wesołych pasterzy, czarownie przebijające się przez sklepienia drzew złote promienie słońca, odbite djamentowym blaskiem od niezliczonych kropel rosy, wszystko

to dodawało [życia téj pięknej naturze, dodawało bujności mojej wyobraźni.

Wskoczyłem do lekkiej bryczki, którą powoził nieodstępny nas Izraelita, a szybko przebywając dziedzińce zamkowe, wspaniałemi otoczone gmachy, i szpalerowe ulice, wjechałem na gościniec do Kazimierza wiodący, właśnie w miejscu, gdzie piękny łuk, czyli most nadpowietrzny, łączy dwa z sobą jakby poróżnione ogrody.

Tu spadek powolny drogi, idącej między kamiennemi wałami, okrytymi zwisłemi krzewinami, przyjemne sprawił mi przypomnienie Wirgilego grobowca w okolicach Neapolu. Dalej po prawej stronie postrzegać się daje piękny pałac *Marynek* przybrany w kwieciste klomby i zielone murawy, za nim po lewej stronie uszykowane pośród ogródków przebijają się białe budowle: są to pomniki cnot sług wierności, i wdzięczności panów; o jakże im piękne natura przeznaczyła siedlisko! Tu w bliskości dla wygody wiekiem obarczonych sług i spracowanych rolników wznosi się świątynia ocieniona starszemi od siebie drzewami; obok niej leży i miejsce wiecznego spoczynku poczciwych wieśniaków, smętarz żalobną żelazną

obwiedziony barjerą, którą ojezystej ziemi wy-  
 dały wnętrzości, i krajowców wykuly ręce.  
 Do tego miejsca wieczności prowadzą kształtne  
 kamienne wrota; nad niemi wyryty napis: *Prac-*  
*owali za życia, o Boże! niech spoczną*  
*w wieczności!* — W środku smętarza widać  
 czarne świerki, płaczące wierzby, schyłone ku  
 grobóm, i wzbijające się pod obłoki topolowe  
 piramidy: godła żałoby, smutku, i modlitwy  
 wznoszącej się ku niebu. Grobowce okrywają  
 wspominki, suche nieśmiertelniki, róże i cier-  
 nie, które przypominają nam dusze osob ule-  
 ciałych w nieśmiertelności krainę, i nikczemne  
 człowieka na świecie życie, rzadko różanne,  
 częściej cierniste. Lecz oto nad niemi wznosi  
 się i znak zbawienia, wizerunek rozpiętego na  
 krzyżu Chrystusa! który swą śmiercią prze-  
 łamał siłę piekieł, i tu czuwa nad prochami  
 grzesznych ludzi, których duszę krwią swą od-  
 kupił. Dalej przedstawia się wieś piękna i długa,  
 ocieniona dwóma rzędami wyniosłych topolów,  
 które brzegi gościńca jakby dwóma zielonemi  
 wałami przyozdabiają; za niemi gustowne most-  
 ki prowadzą do chędogich i białych mieszkań  
 pracowitych rolników; tych nazwiska nad  
 wrotami pomieszczone. Wielka obsitość kwia-

tów różnofarbnych przody chałup przyozdabia, a giętkie i zwinne łodygi szkarłatnej fasoli i białych powojów, połączywszy jedno-letnie swe życie, w największej harmonji nad oknami spletają festony; dokoła tych wiejskich pomieszek drzewa owocowe, przybrane w białą wiosenną szatę, przedstawiać zdają się obraz niewinnego i patriarchalnego wieśniaków życia, a w jesieni obciążone w różno-kształtne soczyste owoce, są nagrodą ich pracy. Z nieukontentowaniem poglądałem na woźnicę, który mając w pamięci zbliżający się szabat, odrywał mnie tak raptownie od przedmiotów nieustępujących w piękności okolicom malowniczym obcych krajów; lecz zajęła mię znowu okazałość topolowej ulicy, pod której cieniem posuwałem się ukryty od skwaru słońca, błogosławiąc rękę, co ją sadziła. Topole te naprzemian *nad-wiślańskie* i *piramidalne*, okazałością swą nie ustępują topolom Potzdamu i Lipska; między niemi, dla przerwania jednostajności i ożywienia powietrza przyjemną wonią, przeplatane rosną bzy wonne, łuko-zgięte róże i głogi. Z prawej strony z pod ciemnych sklepień drzew przegląda przezroczyste zwierciadło Wisły, z lewej wznoszą się wapno-skalne góry,

stanowiące niegdyś brzegów jej granice, przybrane w gęstwiny wierzb srebrzystych, buków, grabów, wiązów, jaworów, grusz dzikich, bżów białych, klekoczki, dereniów, tarek, róż, głógów, berberysów i tym podobnych krzewów, po gałęziach których gdzieniegdzie wspina się figlarnie wić chmielowa, chcąc też wolnym nad niemi oddychać powietrzem.

Ten łańcuch gór rozciąga się aż do miejsca zwanego *Parchatką*, od pary chatek stojących niegdyś w rokoszném tém miejscu; dzisiaj ma tu posadę niewielka lecz chędogą wioska, romantycznie rozpołożona na spadku góry, od której skalistym porowem okrytym drzewami kręta droga prowadzi na wyniosłość, na której postrzegać się daje przyjemny wiejski domek. Sprzęty w nim wszystkie krajowe, w szafach, i chędogie naczynia, są dowodem gościnności jego gospodyni; ściany przybrane w widoki krajowe i ubiory mieszkańców wiejskich téj okolicy, dla rozrywki podróżnych zwiedzających to miejsce. Chatka ta posiada mały nawet księgozbiór. Z krużganku jej zachwycający otwiera się widok na srebrne nurty Wisły, która wymknąwszy się z pod straży dwóch obronnych niegdyś zamków: *Kazimierza*

i *Janowca*, umyka ku pięknym, czarującym Puławóm. Ztąd wyżej jeszcze prowadzą kręte drożki ocienionym labiryntem różno-barwnych krzewów, na szczyt góry okrytej drzewami, pod któremi bieleją ponure zwisłogłowe zawilce (\*), jak gdyby wskazywać chciały na smutny widok, jaki się ztąd przedstawia: na rozwaliny zamków, i na trzy krzyże wzniesione opodal, na pamiątkę uleciałego z tych okolic w niebios krainę anioła, niegdys przyjemną *Zulinck* gospodynię.

Opuściwszy pasmo tych pięknych gór, które się przeciągają aż do Bochołnicy i Kazimierza, wjechałem w granicę tych zamków. O pół mili od Kazimierza, na wyniosłości, widne są jeszcze reszty zamku Bochołnicy, u stop którego rozklada się obszerna wieś, która, stosownie do podań, miała stanowić niegdys przedmieście Kazimierza. Zameczek ten jakoby wystawił Kazimierz dla pięknej Estery, przedmiotu swęj miłości, która w nim mieszkała, w czasie, gdy ten król w Kazimierzu rezydował.

Od wsi postrzegać można coraz większe ślady gruzów dawnych budów, a postępując po

(\*) Anemony.



wązkiej i skalistej drodze brzegiem Wisły, coraz więcej rozwalin dawnych gotyckiej architektury śpiczrów, które przed kilku wiekami mieściły w sobie znaczne składy polskiego zboża; te dobrze jeszcze dochowane rozwaliny, rozrzucone pośród świeżych i pięknie zarosłych ogrodów, smutny wprawdzie lecz malowniczy przedstawiają obraz, nad którym panuje wyniosła i rozległa góra, pięknymi okryta drzewami, na której, wśród bielejących kredowych skał, sterczy odosobniona wysoka wieża, a obok niej opustoszały ogromny zamek. Zajętą myśl mając tym poważnym gmachem i wypadkami wieku jego, wjechałem raptownie wąską ulicą po skalistym gruncie do miasta położonego w wąwozie na spadku kilku wzgórków. Dzisiaj kilka tylko spadzistych ulic składa to miasto; niewielki rynek również nieco położony, obudowany starożytnymi z ciosowego kamienia domami, z tych niektóre przed kilku wiekami budowane, dla swój oryginalnej filigranowo-gotyckiej architektury, przyozdobionej kolorowanymi płasko-rzeźbami, są godne widzenia.

Miasto to trzy posiada kościoły. Widok z kościoła Reformatów na część miasta, Wisłę i zamek, jest okazały. Kościół farny, pod górą

zamkową położony, przez Kazimierza Wielkiego zbudowany, a przez Henryka Firleja odnowiony, wart oglądania dla swęj gotyckiej architektury i starożytnych w nim nagrodków. Po drugiej stronie miasta, nad wypływającym z gór strumykiem, leży inne przedmieście, mieszczące też wiele dawnych szczątków śpichlerzy zbożowych, między któremi pokazuje dom, należący przed laty do kupców angielskich, którzy mieli tu swoje kantory, w czasach, gdy Polska była śpichlerzem Europy. To miasto było jednem z sześciu miast w kraju, zaszczyconych najwyższym sądem apellacyjnym; pamiętne też jest przeprawą przez Wisłę Karola Gustawa w r. 1656, idącego naprzeciw Czarneckiemu.

Krótkość pobytu mojego w tém mieście nie dozwoliła mi wchodzić w szczegóły dalszych jego starożytnościów, tém bardziej, iż cała myśl moja była zajęta pragnieniem co najrychlejszego zwiedzenia zamku, pomieszkania jednego z wielkich królów, tak w cnotach, jak może i w słabościach. Z przedmieścia, przez które jechałem, mała kręta drożyna, idąca po skałach między ogrody i krzaki, prowadzi do zamku. Coraz powiększająca się spadzistość góry zmu-

sila mię zostawić powoz przy maléj kamiennéj chałupie, należącój do pracowitego kamieniarza, obrabiającego grobowe kamienie, toczydła, i inne sprzęty. Dążyłem więc pieszo spadziłą ścieżką przez skały i ciernie do wyniosléj wieży, znacznie oddalonéj i rozpadliną góry oddzielonéj od zamku. Do jakiego służyła ona użytku? czy była więzieniem stanu, jako w mieście najwyższego sądu apellacyjnego, lub pełniła posługę latarni przybijającym do portu statków? z pewnością wiedzieć nie można; żadnego dzisiaj do niéj niéma wejścia; być może, iż to gruzami zostało zasypane; może też ona podziemnym lochem łączyła się z zamkiem. Kształt téj wieży jest walcowaty; w środku nieco wypukła, nadzwyczajnie wyniosła; w górze kilka postrzegać daje się okienek; zbudowana ze skały margłowo-kredziastéj białéj, z którój składa się góra zamkowa i cały łańcuch gór nad-wiślańskich.

Zastanawiając się nad utworem téj skały, *opoką* tu zwanéj, złożonéj z mirjadów rodzin przedpotopowych istot, którychby jedna góra zamkowa nappełnić mogła obszerne gabinety naturalistów, zdumiony byłem fenomenami natury i nizekzemnością świata...

Stałem tu na gruzach zaginionych, tyłu żyjących niegdyś stworzeń, z których szczątków wzniesiony został gmach ten świetny władcy obszernego Sarmatów plemienia; lecz i gmach ten dzisiaj przedstawia już tylko zypisko popiołów! już i on należy do przeszłości! uległ potędze czasu, który w biegu swym niszczy i odtwarza naprzemiennie aż do ostatecznego kresu wszech-rzeczy, wskazanego przez Istotę najwyższą! niepojętą! bez początku i końca!—

Po skał urwiskach wszedłem w granice zamku, z tegoż wapienia wzniesionego; budowa ta jest kształtu nierównego czworokątu, kwadratowemi po rogach uzbrojona basztami; ściany jej od Wisły i spadku góry nadzwyczajnie grube; architektura w części gotycka; tenże porządek w rozkładzie okien zachowany; drzwi i okna ciosowym oramowane kamieniem. Gmach ten obszerny wielką liczbę mieścił w sobie komnat, których rozkładu dojść już jest trudno. Gdzie było pomieszkanie Kazimierza? wybadać nie mogłem; wnosić wszakże należy, iż położone być musiało od Wisły i miasta. W środku dziedzińca wykuta w skale głęboka studnia dostarczała wody zamkowi, do którego dwojaki być musiał wjazd: jeden spadzisty od strony wieży,

drugi od Bochofnicy, w której przemieszkiwał ulubiony przedmiot wielkiego króla. Ach! czemuż, jak cień nieodstępny jest od światła, tak obok wielkości i cnoty postrzegać się często daje słabość i ułomność? — Czemu ten król sprawiedliwy, co nadał prawa, zaszczepił handel, wspierał rolnictwo, który był ojcem poddanych i kmiotków, okazał się tak słabym w obliczu jednej Izraelitki? Czemu, umiejac władać drugiemu, nie umiał panować nad sobą? Oto temu, iż był człowiekiem, istotą złożoną z dobrych i złych skłonności, które w ciągłej z sobą zostając walce, czynią człowieka na chwilę prawym, szlachetnym, wielkim, to znowu słabym i nikczemnym. Podobnie i twórca grodu tego już-to dyktował mądre prawa i wspierał cierpiącą ludzkość, już znowu szukał zwodniczej rokoszy obok łudzającej Estery, nie pomnając, iż panowanie nad sobą, zwyciężanie namiętności naszych, jest całym odgadnieniem przeznaczenia naszego wiekuistego.

To romantyczne miejsce sprzyjać musiało miłośnym kochanków przechadzkóm. Pięknie zarosłe góry ukrywały może błędne ich kroki; trawniki ubarwione stokrocią, szalwieją feni-cyjską, dziewanną, powojem i groszkiem, ocie-

nione krzakami krategusów i tarniny, dodawały świeżości, a róże pachnące, splecione z koziołliściem, wonią swą ożywiały powietrze. Te ostatnie znajdowałem przy samych murach zamku pnące się po ścianach; może je sadziła piękna Estera pod oknami swojego kochanka, może ona miękkimi ich gałązkami wieńczyła nieraz jego skronie, w chwilach, gdy te wolne były od ciężaru korony.

Okazały widok, jaki się królowi Kazimierzowi z okien zamkowych przedstawiał, bez wątpienia dodawać musiał natchnienia wielkimu jego pomysłom; z nich widział on u stop mieszkania swojego bystre nurty Wisły, która zasilona słopniałemi lodami niebotycznych Tatrów, unosząc na swym grzbiecie polskie płody w obce kraje, śpieszy połączyć się z wodami Bałtyku; patrzył na wzniesiony przez siebie gród, i na szczęście mieszkańców, na żyzne okolice, pięknie uprawne pola i ogrody, świadczące o pomysłności kmiotków, nakoniec na *Janowiec*, okazały zamek, położony za Wisłą, posiadany niegdyś przez znakomite rodziny Firlejów, Tarłów i Lubomirskich. Oglądając pomysłność wszystkich stanów, radowało się ojcowskie serce jego. Dzisiaj Janowca sterczą rozwaliny, i zamek Ka-

zimierz przedstawia już tylko kościotrup wspa-  
 niałego, niegdyś pomieszkania królów. Po ros-  
 kosznie więc przepędzonym dniu, smutne myśli  
 snuły się po méj głowie; widziałem samą już  
 tylko przeszłość! Równie i słońce zbliżało się  
 ku końcowi dniowej swéj podróży, zlocąc wierz-  
 chołki posepnego zamku. Cichość panowała głu-  
 cha; słyhać tylko było sów jęczenie, szmer  
 Wisły, tentent mych koni, i pobożne mrucze-  
 nie starozakonnego woźnicy, który był niecier-  
 pliwy dowieźć mnie do Puław przed zejściem  
 jeszcze gwiazd, dla oddania czci Jehowie. Tak  
 więc znikł dla mnie ten okazały krajobraz, jak  
 przemija wszystko! — zostało tylko przyjemne  
 jego wspomnienie.

#### *A. Plater.*

## DWA SŁOWA

## O D Ź W I N I E.

*(Dokończenie).*

»X»X»

## II.

**Z** NAZWĄ Koraxa, już był nastal dla Dżwiny naszej świat inny. Wiatr pomysłności już nie dmie jęj brzegóm od rokosznych Adrjatyku krańców, lub od massylskich brzegów; ale niby nagle się zwrócił, i raz od wschodnio-południowej strony, a znów drugi raz od najgłębszej powiewa północy. (Tu przypomnijmy, co się mówiło o Kołach przy-kaukaskich i o Roxolanach wierzchów Borystenu).



Zkądże ta zmiana i to niepojęte zapomnienie o krajach, dokąd widzieliśmy przed chwilą zawijające galery fenickie, phocejańskie, ba nawet samych cesarzów rzymskich, przez posłów, po bursztyn przedsiębrane wyprawy? — A dopiero tak głucho, że Koraxa nawet nazwiska musimy dopytywać źródło gdzieś tam u brzegowców to Wołgi, to Donu, to Dniepru; i ledwo, ledwo ciemne tam wynaleźć zdolujemy prawdopodobieństwo jego, tu w kraju naszym, istnienia?

Namby się zdało przyczynę tej zmiany w następnych upatrywać powodach.

Z upadkiem handlu bursztynowego na Bałtyku, ustały też wrychle stosunki południowej Europy z mieszkańcami naszego pomorza, a ztąd i z dalszemi w głąb kraju i po głównych rzekach jego osiadłemi tubylcami. Minęły już były czasy, w których matrony rzymskie i laisy niepokoiły małżonków swoich i wielbicieli o paciory nagłówniki, ba co mówię? o bursztynowe nawet do przędzy kołowroty. Przesyt tego płodu (czy kruszczu, jak wówczas mniemano), tak się był stał już powszechnym, czyli też może wreszcie cena jego, zbyt wysoka, tak poczęła być dokuczliwą żonatym i nieżennym

senatoróm, że zrazu, i pocichu, poszły gwary po siedmio-pagórkowym grodzie o złej namiętności do *succinum*, dowiedzionej już niegdys wyrazem *Phoitàn*, (jak insaniter), co go ojczyce dziejów, Herodot, opisując bursztynu własności, był mu nadał przed wieki. Wreście Pliniusz (\*) głośno też odważał się wyrzekać, że zbytek bursztynowy po wszystkich domach możnych i biednych nakazywał uważać płod ten morski, niegdys cenny, spowszechniałym już zupełnie. A tak odtąd mniej dbano na Rzymie o produkt brzegów hyperborejskich, i poszedł on też niebawnie w poniewierkę na gotowalniach patrycejanek, a ztąd rychło znikł, i dopiero tylko widniał się na brunatnej szyi dziewic, ludu Campanji rzymskiej i Adrjatyku brzegów; lub przy kagańcu nocnym zajmował tajemnemi swemi składem i własnością, to Filostratesa, to Dioskorida — albo nęcił wreście Pauzania, odszukiwać bytu jego w piaskach mniemanego Eridanu włoskiego.

Dla tego tu nieco dłużej, jak należało, zatrzymał się z tą moją przemową o bursztynu losach, że odkąd handel jego został zaniedbany, a nawet zarzucony, ucichły też wnet

(\*) Plin. XXXVII. 3 i 4.

i spory wszelkie o nazwach licznych téj lub owéj rzeki pomorza Bałtyckiego, a między niemi i o Rudonie, jakby wieczném dotknięte milczeniem, ustały wszystkie dawne domniemanie. Takowa cisza następująca po nieustannej kilkunasto-wiekowej wrzawie, dozwoliła dopiero powoli wydobyć się na wierzch zamętu nowéj, Dźwiny naszéj, nazwie. Nazwą tą jest *Dina*. Przejrzyjmy początki tego miana.

Markomir, filozof gotski, twierdzi, iż: „Danja „rodzi mężów uczonych i odważnych, ale nie „tak dzielnych przecie, jak ci znowu Duńczy- „cy, którzy siedziby swoje mają po nad *Dina*!!! (\*) — To zdanie uczonego Gota wprowadza nas niejako na ślad starych niezaprzecznych o władców ziemie niegdyś naszych podziwiskich, na ślad, mówię, pierwobytnych tu Wikingów i Jarłów (\*\*) normańskich. Tu już nagle nurt rzeki staje się niby przezrocześniejszym dla naszego wzroku; tu już szmery jego wyraźniej i niewątpliwiej istotnych dawców nowéj nazwy nam głoszą! Co więcéj, uchwycimy się za pierwszą, co ją zoczyśmy, łódź

(\*) Jean Fotecki, T. II., p. 353.

(\*\*) *Wiking*—bohater morskich potyczek. *Jarl*—wódz normańskiej udzielnej ziemicy.

skandynawską, a ona wnet nas porwie i poniesie do innych rzek, których znówu imiona niezbędnie nas o *Diny* w one czasy nazwisku przekonają.— Nie uwierzymy-li podanióm, co nam o tych częstych gościach na austurweskim (\*) szlaku opowiadają?... A więc przysłuchajmy się śpiewowi Skalda i bohatera słynnego niegdys, nie na tych jedynie krańcach wówczas od świata zapomnianych, ale na dolnych brzegach Piktów, Anglo-Szkocji dzisiejszej.

Kilka słów naprzód o tym nowego rodzaju annaliscie.

— Ragnar Lodbrog, królik morski (roi de mer), korsarz i Wiking zawołany, napada na Ella wodza czyli Jarla szkockiej ziemicy, i zwalezony, schwytyany w potyczce, widzi siebie spuszczoneym przez okrutnego zwycięzcę do jamy pełnej jadowitych gadów, by tam konał i konał długo żywy od nich pożarty. Jak przystało na nieustraszonego Berzerkera i Skalda biegłego, Ragnar w swym grobie sam układa i śpiewa swoje pieśń przedśmiertną. Zostawuje w spadku zemstę dzielnym synóm, których mu

---

(\*) Tak zwali Normanowie kraje Rusi północnej, zwłaszcza północno-wschodni brzeg Bałtyku i mnogich zatok jego.

Aslanga (v. Thora) małżonka jego powiła, a nie chcąc wręście rozrzewniać siebie zbyt-  
nie wspomnieniem domowego przodków ogniska,  
opiewa wszystkie swoje w ciągu życia bohater-  
skie czyny. — Nie przytaczam tu całego tego  
*Flokkrn* (\*), tak wzniosłego w swęj dzikięj, bo-  
haterskięj, a razem też naiwnęj prostocie. Każ-  
dy, kto żąda, może go odczytać w dziele uczo-  
nego Pana *Rafn* (\*\*), *Malleta* (\*\*\*), *Marmier* (\*\*\*\*),  
lub wręście w *Lodbrogs-quadra* i innych mno-  
gich wydaniach *Sag* islandzkich i skandynaw-  
skich. — Gdy się nie mylę, *Chateaubriand*  
nawet śpiew ten na łaciński język bardzo traf-  
nie i pięknie przełożył (\*\*\*\*\*). Strof jest w śpie-

---

(\*) U Skandynawów były dwa rodzaje bohaterskich śpiewów:  
*Drapa* i *Flokkr*. — *Drapa*, śpiew liryczny, oda wielkich  
uroczystości, uczt i bitew głośnych, niiby dithyramb, (co  
go wodzowie lubili zawsze słyszeć około siebie brzmia-  
cym), opiewał Konungów żywot i pochwały. *Flokkr*  
także był śpiewem charakteru uroczystego, lecz zwykle  
krótszy od *Drapy*; mógł brać za przedmiot rozmaite wy-  
padki i przygody.

(\*\*) *Krakas maal udgivet af Rafn*. 1. vol. in 8vo. Copen-  
hague. 1826.

(\*\*\*) *Hist. de Danemarc. trois. edition. 1787. Genève.*

(\*\*\*\*) *Lettres sur l'Islande par X. Marmier. 1837. Paris.*

(\*\*\*\*\*) *Pugnarinnus' ensibus* i t. d. (T. III. *Oeuvres compl.*,  
ed. Furne. Paris).

wie Ragnara dwadzieścia ośm, a każdy poczyna się od przechwałki w smaku całkiem bohaterским: „Uderzyliśmy w miecze” i t. d.

Owoż, by poczerpnąć ztamtąd dowodu do naszego przedmiotu, przytaczam w wolnym przekładzie trzecią strofę śpiewu Ragnara Lodbroga:

**3.**

„Uderzyliśmy w miecze!...—Pomnę ów dzień sławy,  
 „(Lat mogłem mieć dwadzieścia) gdy stał mój dru-  
 żyna,  
 „Lśnić wzroki, biegła przodem do bojowej sprawy;  
 „I ósmiu Jarłów padło tam przy ujściu Diny.  
 „Pamiętam..., znój (\*) po brzegu łał się tak strasz-  
 liwie,  
 „Że od strumieni jego morze szcerwieniło.  
 „I wielką mieli ucztę wilcy na tej niwie;  
 „Lecz jakże wielu mężnych ztamtąd już nie wstało!...

**4.**

„Uderzyliśmy w miecze, i t. d.

A tak nazwa *Diny* jest utworem niewątpliwie skandynawskich korsarzy, często (jak wiadomo z dziejów) nasze białorusińskie, a zwłaszcza

---

(\*) W hyperbolicznym zmysle Sag skandynawskich, *znój*, znaczy krew.

cza inflantskie napadających kraje. W tym samym śpiewie, com go dopięro przytoczył, jest ślad nawet wierutny naszej Iwikszy rzeki, do której w strofie następnej powiada Ragnar, że z Diny w górę popłynął. Iwiksza tylko zowie się tam u niego *Ifa*, a wiadomo, że dotąd ją sąsiedzi nasi (z Inflant tak zwanych szwedzkich) *Ifst* czyli *Iwst* przezywają.

Lecz z kąd pewność konieczna, niezbędna, że Normannowie dawny Rudon *Dina* naimionowali?

Dozwolimy sobie w następny tu sposób nasze udowodnić zdanie.

Być może, że nazwa *Dina* już ma swój początek w wyżej wspomnioném przez nas źródle, w sylabach: *ton, tan, don i dan*, znaczących *bieg wody, rzekę i dno rzeki*, we wszystkich niemal djalektach indo-europejskich ludów. (Tu urywam na chwilę, i przypomnieć muszę, że kiedyś Dźwina nasza, jak się już mówiło w pierwszej części tej rozprawy, nosiła u starożytnych imię *Tanaisu*. Rzecz dziwna — u Tatarów *Don* dzisiejszy, a dawny, jak wiadomo, istotny *Tanais*, wabi się dotąd jeszcze według starożytnéj

u tego ludu nazwy: *Tuna* i *Duna!!!*) (\*) — Niech tu sobie każdy jak chce tłumaczy i wyjaśnia — ja, przestając na tém spostrzeżeniu krótkiem o zamienném nie jednej rzeki w dawnych wiekach pobratymstwie, wracam do przedmiotu mojego.

Owoż kupeczacy z Szlezwigu, w owój epoce, kiedy na pomorzu Bałtyckiem i po jego mnogich wyspach istniały Wendów i Rugianów grody: *Wineta*, *Retra*, *Gårs*, *Arkona*, *Arubion*, i t. p., o których-to miastach, słynnych czy z handlu czy też z świątyń pogańskich, dopytać się można u *Helmolda*, *Dittmara*, geografów z Raveńny i innych — kupeczacy, mówię, z Szlezwigu, a gdy nie oni, zatém normańscy po nich korsarze, lub wręście bremeńscy żeglarze, najpóźniejsi rodu germańskiego po nich przybysze, zawijając przed wieki z statkami swojemi w ujście rzeki nieznanój, a widząc przystęp do niej daleko brzegiem morza

---

(\*) Tu może mieć miejsce świadectwo Alkrona, komentatora dzieł Horacjusza, który powiada głucho, że Tanais zwał się kiedyś *Duna*. — (*Akron*, grammatyk i scholijasta średnich wieków. Wiadomość o nim i pismach jego zabrać można w wydaniu Bazelskiem dzieł Horacjusza przez Michała Boutiusus, anno 1527).



jakby zawałony piaszczystymi pagórkami (falą, jak to wie każdy, na wielu miejscach pomorskich nagromadzonemi), i nie mogąc nadto od krajowców o istotnej rzeki nazwie się dowiedzieć, zapewne od mnogości tych tam przez nich widzianych pagórków piaszczystych czy zwirowych, przeważać mogli (gdy w samej rzeczy nie tak jest że przewali) rzekę naszą domową *Dina*. — *Dina*, mówię, jeśli to byli Normanni, u których i krótkie wszędy teutońskie *ü* w tekstach pisanych zastępuje; a *Düna*, jeśli to znów byli Bremeńczycy, lub z innych stron południowych pomorza Bałtyckiego przybysze.

Usypy takie przymorskie i my w naszej polskiej mowie zowiemy *dunami* (\*). Zowią się one też w niemieckim języku *Dünen*, w angielskim *Downes* (wymaw. *Duun*), w holenderskim *Dujne*, w francuzkim *Dunes*. Słowem, jeśli handlarze różnych rodów, a tém bardziej korsarze, zbiór zwykły wszelkich nacji, przybyli, jak mniemać można, pierwsi do ujścia rzeki naszej, niezawodnie wtedy nazwa jej od nich poszła dzisiejsza; a oni znów niechybnie, gdy do chrztu nurtów dopiero odkrytych przycho-

---

(\*) *Wyrywicz. Geografja. — Linde. Słownik, Tom I., karta 574.*

dziło, nazwę tę z własnych Dźwiny brzegów, u ujścia piaszczystych, wygrzebali. Jakby się to wreszcie nie stało, była *Dina* — była *Duna* — i dziś jeszcze jest i brzmi w uściach większej części brzegowców Düny. — Niechaj zatem szczęśliwszy i przenikliwszy od nas badacz szuka istotniejszych nazwy źródeł i powodu, jak nasze, z pomorskimi *Dunami*, miana Dźwiny pobratanie.

Teraz słów kilka jeszcze o dwóch późniejszych przeistoczeniach, co je domowa rzeka nasza doświadczyła, i odtąd już (jeśli jest co trwałego na tym świecie) trwale przechowuje.

Czyliż zaprawdę *Dźwiny*, następna po *Dünie*, nazwa, nie ma eós w sobie, jakby poświęciła przelotnej strzały? Mnie zawsze marzy się, gdy to z uwagą wymawiam imię rzeki, że konny Sarmata przemknął chyżo, i mimo mnie pędząc, z dłoni, łuka wypuścił cięciwę! — Bydź może, że ci, co Dünę *Dźwiną* przewali, mieli w swym losie coś do brzmienia téj nazwy podobnego. Spoczęli bowiem na tych brzegach czas długi, i dnia pewnego z nich lotem strzały sarmackiej zniknęli. Pamięć o nich w nazwie wszakże została.

A *Dwiny* (znowu inne i ostatnie przekształcenie nurtu) *Dwiny* nazwisko — niesie niby w sobie trud jakiś wielki, dźwignię jakiegoś ciężaru, co rzece jakby leniwie i nieochoczo toczyć się każe. W samej rzeczy w języku, z którego ta nowa poszła starego Rudonu nazwa, słowo: *двинь, придвинь*, znaczy: *popychaj, posuwaj*. I jeszcze polska mowa nie zdolna wyrazić tego mozołu, jaki się w czynności temi wyrazami oddanej zamieszcza. *Двинься*, mówi się do człeka ociężałego, do konia, wołu, do wszelkiego żywiołu ospałego, leniwego. Nawet o oswobodzonej od lodów wody zwykle powiada Rossianin: *рѣка двинулась*, jakbyś rzekł: *dźwignęła siebie rzeka*.

I w istocie wielce przypada dziś to imię *Dwiny* do nurtów naszej krajowej rzeki. Ona tak modra, tak pod słońcem zda się wesoło lśniąca, płynie za naszych czasów ciężko, nie dbale, i w wielu miejscach ledwo się zdaje ruszać. Gdziekolwiek podnurtowe kamienie, jakby chcące ospały bieg jej poruszyć i do skorszego pobudzić ruchu, stawiają wpoprzek jej odwiecznego biegu opory. Natędy tylko zapieciona podnosi się, wielkim pędem wpada na twardą opokę, co jej pierś przygniata, ściiera,

miele zuchwałe zapory — i z téj walki jednochwilowej zrazu zawsze zapaleczywa, dalej jeszcze grzmiąca i gniewna, biegnie chyżo matka zdrojów naszych, biegnie, a potem — potem, wnet po dawnemu sliznie smętnie zadumana, nie racząc nigdy prawie pochlaniać, ba nawet pokołysać małe czy wielkie, próżne czy ładowne, po jój błękitném łonie w dal płynące lodzie.

Ale nie spostrzegłszy się, zamiast dalszej nomenklatury nazw *Dźwiny*, wcisnąłem tu żakowskiego toku sielankę o jój uświęconych, dziejami poważnemi, nurtach.— Nim tedy będzie kto inaczej rozvodził się o *Dinie*, *Dunie*, *Dünie*, *Dźwinie* i *Dwinie*, i dopytywał się o tych odcieniach jednéj i tejże nazwy kupców *Gołdyngi* i *Wisby* — u *Wikingów* *Danji* lub *Islan-dji*, albo-li wręście u *missjonarzy* *bremeńskich*, *lubekskich* i *wszechwładnych* tu niegdys *Krzyżaków* *Apostolów* *miecza* (\*) — ja tymczasem zbiegnę tajemnie wgląb' borów i chat *lettgal-skich* *nad-dźwińskich*, a tam pojmawszy pierwszych, jakich napotkam, starych potomków *Kau-*

---

(\*) Od których mamy *Düna-Munde* i *Düna-burg*, na pamiątkę sobie zostawione.

*pów*, *Talibaldów* i *Lembitów* (\*), na szczęście jeszcze niezupełnie wyrodných i wygasłych, u nich będę się dopytywał (choćby przyszło się na to dziesięć łotów wysmalić bahunu, i tyleż kieliszków z niemi wysuszyć brzydkiej *brandewiny*) zkał się wzięła dotąd niezagubiona u nich nazwa — runicznie brzmiąca nazwa, co w uściech każdego z *póyszków* i *miayt* (\*\*) łotwackich wdzięcznie głosi się *Daugawa!* —

Taką mnie dali o tém definicję dwaj stron naszych Lettgallowie, słynni u włóścian tutejszych z swęj biegłości w mowach: litewskiej, łotwackiej i kurońskiej. Wyraz po wyrazie, myśl po myśli u nich wydobyte, starałem się w jedną skłecić całośćkę, i przelewam tu na papier wiernie, jako materiał dotąd, zda mi się, przez nikogo jeszcze nietknięty, a przecie niosący z sobą jakiś zapach pierwobytu, niewinnych obyczajów, i w ostatku kłesk ludu, którego narodowość coraz to mniej staje się wydatną, a wrychle też może i zupełnie zaginie.

---

(\*) Imiona najstarszych panów lettonskich, znalezionych w kraju naszym inflantskim przez przybyszów zamorskich, Meinharda i następców jego dwóch Albertów Biskupów.

(\*\*) *Póyszka*—młodzian. *Miayta*—dziewczyna.

Łotwacy ostrokońcowi naszych traktów: Dyneburga, Rzeżycy, Lucyna i Marienhauza, nie posiadają wyrazów ściśle brzmiących: *Daug* lub *Dawg*.

Słowo: *Dag* znaczy u nich: *pali się*.

— Do wyrazu *Daug* mają arey podobny ale przedłużny *Daúug*, który oznacza przybywanie wody (\*). Naprzykład: *Oka daúug*, w studni wody przybywa; *Upis daúug*, rzeka się podnosi, czyli w rzece wody przybywa.

Jeszcze nieco podobne wyrazy łotwackie do nazwiska *Daugawy*, są to: *Daudź gywa*. Np.: *Daudź gywa ziwu*, ulowili ryb mnóstwo.

W parafji liwenbofskiej, w powiecie dyneburskim położonej, jak równie i po tamtej stronie Dźwiny u Łotwy seelburskiej, mówią: *Daudź gája*, gdy chcą wielką mnogość jaką oznaczyć. Np.: *Daudź gája stryūgu*, t. j., wielka gromada strugów poszła.— W przypadkach rozbitcia się statku, załamania się idących lub jadących po łodzi, albo też potonienia znacznego, powiadają także: *Daudź gywa!* t. j., że

---

(\*) A więc już tu wpadamy na ślad kłęski jakiejś pierwotnej, od którejby poszła pierwsza połowa nazwy Dźwiny łotewskiej.

wiele ta rzeka zabrała czyli zwabiła na dno swoje.

W litewskim języku *Daug*, toż samo oznacza: mnóstwo; a zaś *Gawa*: dostali v. dostał. I tak np.: *Daug gawa pyningun*, wiele dostali lub dostał pieniędzy; *Daug gawa zuwies v. zuwium*, dużo ryb dostali.

Jeśliby zatem wyraz: *Daugawa* pochodził od łotewskiego: *Daudz gywa*, początek swój brałby natędy od połowa ryb; jeśli od semi-galskiego czyli Inflant niższych wyrazu: *Daug gajá*, pochodziłby wówczas od pływania Dźwina mnogich towarów lub żywności; jeśli w ostatku od litewskiego (w liczbie mnogiej): *Daug gawom*, t. j., wiele nabraliśmy, dostaliśmy, (w licz. pojed.): *Daug gawa*, t. j., wiele nabrał lub dostał — wtedy już wynikałaby nazwa łotwacka rzeki naszój od pierwotnych litewskich napadów na te kraje, i zostałyby w nich niby ślad łupów mnogich nabranych, albo też jeńców kiedyś w wielkiej uprowadzonych ilości, przez tych niebezpiecznych łotwackiej ziemicy sąsiadów.

A więc wyraźnie w nazwie dają się dośledzać: 1. Pierwobył aborygenów tutejszych i zwykły u nich żywienia się sposób, jak u wszyst-

kich rzek brzegowców— 2. Handel znaczny odbywający się już po Dźwinie — 3. Skutki jego niezbędne, chciwość łupu i grabieży; a złąd wojny pierwsze, napady i klęski z niemi nigdy nierozdzielne. —

Oto spostrzeżenia, co je mnie nastroczyli w rozmowach swoich siermiężkowi moi philologowie.— Czy mam jeszcze zwracać uwagę czytelników na te uderzające rozmaite znaczenia wyrazów: *Dag*, *Daug*, lub *Daug*!— albo tych znowu: *Daudź gywa*, *Daudź gajá*—i w ostatku: *Daug gawa*, głoszące wszystkie, to klęski od ognia (*Dag*, pali się), to znowu przyrost wody (*Daaug*), to wręście gromadę płynącą (*Daudź gajá*)—potonienie albo raczej pochłonięcie wodą (*Daudź gywa*), — i w ostatku, to litewskie hasło przechwałki: *Daug gawom*, t. j. wiele nabraliśmy—i lotewskie od nich użyzione: *Daug gawa*, wiele nabrali! wiele unieśli! niby jęk ukrzywdzonych świadczący, że lud obcy przebiegł i spustoszył rodzinne brzegi, lasy i ogniska.

A więc *Daug gawa* lotwackie jest to *vae victis!* w spuściznie od starych zwycięzców tej podźwińskiej krainie i jej ludom zostawione!— pomyśliłem sobie, dosłuchując już dalej nie-



dbale dwóch moich interlocutorów powieści.—  
*Daugawa!*— to zawsze tenże sam wyraz, co go  
mocniejszy słabszemu zwykł narzucać; ten sam,  
(choć innej mowy kształt przybierający), co  
z strasznym mieczem Brennusa przeważał złoto  
rzymskie na kapitolinśkiej szali!....

Pamiętam—był wieczor piękny jesienny —  
słońce wrześnie jeszcze za widnokrąg niezu-  
pełnie się było skryło—Dźwina poważnie i szeroko  
płynęła—a pod pagórką, na którym sie-  
działem, *Dubna* rzeka, jakby stroskana, z wiel-  
kim szlochą w jej wpadała i kryła się ramio-  
na — różnobarwność liścia na drzewach boru  
dziwnie okolicę malowała—spóźnione stado żó-  
rawi przeciągało wysoko—błękit nieba był ja-  
sny — nigdzie po nióm ani jednego nie snadź  
było obłoku—kiedyniekiedy krzyk tęskny prze-  
wodnika ptasiej odlatującej gromady spadał na-  
głe — i głos ten o tój dobie dziwnie zapełniał  
niezwykłą powietrza ciszę—Łotwacy moi dawno  
już byli odeszli, a ja siedziałem jeszcze sam  
jeden, nie wiem poco smutniejszy jak wprzódy,  
i w tym stanie ducha, co niezbędnie lżą albo  
śpiewem uzdrawiać siebie musi.

Na szczęście, że obcując z kamiennymi ru-  
nami, sam niemal w runiczny głąz już się za-

mieniłem; a znów od sędziwego pyłu zbutwiałych kart naszych annalistów głos ochrzypł bezpowrotnie. Płakać więc, ani śpiewać, nie mogłem. Ale za to marzyć?... Ale dumać?... Powstałem wreszcie, i spójrzawszy raz jeszcze przed odejściem w dal po nurcie spokojnie płynącej Daugawy, sam nie pomnę jak i poco natedy te ostatnie do niej, z myśli mojej, wyrzuciłem słowa :

Zwodnico!... dla każdego chłodnie przymilona,  
 A przecie zawsze tęskna! — powiedz, ulubiona,  
 Jaka myśl tak potężnie pierś twą okowała,  
 Ze ty głosów nie baczysz, ni lutni zabiegu,  
 Choć te nieraz cię chciały ukołysać w biegu?  
 Czy cię dawna wciąż wabi, czy też przyszła chwała,  
 (Bo z naszych chwał, niestety! jakaż cię umili?)  
 Ze ty zawsze jednaka dla obecnej chwili,  
 Tak slizniesz rozmarzona, nadobna i cicha,  
 Jak dziewica w żałobie, której wzrok się sili  
 Łzy ukryć, chociaż sama wdzięcznie się uśmiecha.  
 Ach! i ty dziś zarówno...i twoja pierś wzdycha!...

Powiedz, jasna jak błękit, mnogich ludów wdowo,  
 Czy nie po to tak śpieszysz w Baltu słone prądy,  
 Ze twym nurtom nie tyle tam pusto, jałowo,  
 Jak tu, kędy brzeg świeci zawsze twarzą nową?  
 Ze tam goniąc pierwotnych wieków twoich lądy,  
 Gdy w bezdennych morz toniach ty ich potkasz  
 — — — — — szczątki,

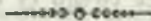
Natędy długo pieścisz je, tulisz do łona,  
 W szafir nurtu oprawiasz, jak w złoto pamiątki;  
 I o dwóch rodach zacnych Liwa Palemona,  
 Dzieci wiernych twój wody, znikłych bez po-  
 gniazła buława dęszynowa łęgiem wrotu,  
 Dopytujesz i wołasz wśród wałów łoskotu —  
 Rada, że cię tam ludzkie nie dochodzą gwały,  
 Podczas, kiedy dni dawnych ty uganiaś mary? —

Ja pytam — a ty płyniesz!... czy nie dumasz może  
 O przybyszach tajemnych, wieków przyszłych  
 gości,  
 Co nowym mianem przyjdą chrzcić twe lica hoże,  
 Do nowych cię nakłonią godów i miłości —  
 Wzroki swemi zagaszą wzroków dawnych ślady,  
 I gorętsze od naszych zleją dla cię pieśni?  
 Sędziwych cieniów spędzą łzawe dziś gromady —  
 Pomników twoich nawet nie oszczędzą pleśni,  
 I to wszystko jedynie zmiotą ztąd dokoła,  
 Byś tylko, ty kochanka, ślubów swych niepomna,  
 Dla nich stała się wdzięczną — dla nas wiarołomna.  
 A w młodocianym blasku świeża i wesola,  
 (Ach! młodość zwykle patrzy niepamiętną twarzą!)  
 Starym wiećcem wzgardziła — a z nowym u czoła,  
 Odtąd zwała się — jak tam Bóg i ludzie zdarzą! —

Na zarzut piewca twego ty odrzekasz jękiem!  
 Któż zbada to westchnienie, co pierś twą rozszerza,  
 I tak zawsze podnosi — skoro twardszym dźwiękiem,  
 Gęśli pomnój, brzegowiec o twój nurt uderza!

Ja zbadam... ja!... Ty kiedyś ciszą upojona,  
 Odsłaniałaś tajniki niebieskiego lona.  
 Lud ubogi lecz wolny siedział tu dziedziną,  
 Twoje wdzięki kołysał—strzegł ciebie jedyną.  
 I gdy już z tobą marzył wiecznych swobod szaly,  
 Oto schmurzył się błękit—grom, niebios szczeliną,  
 Wypadł—ludu sny spalił—twój byt zburzył cały!  
 I odtąd ty samotna, u pustyni brzegu,  
 (Lub, co gorzej, tam, nowych tłumów bacząc głosy)  
 Wolisz smętna sierota patrzeć się w niebiosy—  
 Sama z sobą rozmyślać, otulać się w biegu;  
 Gwiazdki tylko, w noc jasną, leczyć na błękiecie—  
 I w dal zbiegać senliwa, po złotém korycie.—

Myśl wszakże pomna zgłosek, owego imienia,  
 Co kochanek, lud znikły, twemu nadał stoku,  
 Myśl odtąd drugich imion już nie chce uroku;  
 Brzegóm tylko powierza starój nazwy brzmienia!—  
 A brzegi, co nawykły żalóm wtóżyć skrycie,  
 (Pomimo, że ich głuzy grodów ludnych wrzawa,  
 Że im patrzy się w oczy pogardliwie sława)  
 Brzegi jeszcze z sioł swoich, i z borów, i z kniei,  
 Wychylając się nieraz—głosem bez nadziei  
 Wciąż wołają za tobą: Daugawa! Daugawa!....



**DWIE KARTKI  
Z HISTORJI Powszechnéj Świata.**

**Wyjątek z pisma ze Szwajcarji**

przez

**BAZYLEGO ŻUKOWSKIEGO.**

(Przekład z rosyjskiego).



**Z**E STRONY Genewy, na odległym widno-kregu, widzieć się daje ścina, niska, jednokształtna ściana góry *Jura*.—Ze strony kantonu *Wadt* (*Pays de Vaud*) między *Klaransem* i *Moutre*, podnoszą się góry okryte winną macicą, osypane drzewami, zamkami, domami wieśniaczymi i

szalaszami; niższe z nich mają piękną okrągłą formę. Tu, między winoroślami, widzisz rozrzucone okazale drzewa kasztanowe, bukowe i orzechowe; wznioślejsze góry kończą się ostremi skałami; z tych, jedne podobne do ścian zębczastych, drugie kształtu ogromnych pojedynczych zębów, z których najznamiensza zowie się *Dent de Jamant*. Wierzchołki tych skał nagie, skruszone od nawałnic; boki okryte jodłami i sosnami; pomiędzy niemi potoki wiosenne i jesienne wyłobily kręte drogi. W czasie gdy to piszę, one, napelnione śniegiem, podobne są do zmarzłych węzów, które kończąc życie, pozwijały się w różne kręgi. Na stronie przeciwnej, *Sawońskiej*, sterczą ogromniejsze góry i przedstawiają okropny *chaos* skał, roz-targanych, pokruszonych, i rozdzielonych głębokimi dolinami; w tych bieleje śnieg; a skały siniej barwy, okryte po bokach jodłowym lasem, dają widok niezmierniej wielkości trupa zrąbanego w kawalki. Góry te podnosząc się, łączą się naprzeciw położonemi i skupiają się w głębokiej dolinie, po której płynie *Rona*, wpadająca blisko *Vilneuve* do Genewskiego jeziora. Nakoniec, dolinę tę zamykają góry wiecznym śniegiem pokryte. Na przodzie, podnosi się

w postawie olbrzyma *Dent-du-midi*; za nią, w formie konusa, stoi *Mont-Catogne*, a z tej wygląda z jednej strony *Mont-Velan*, a z drugiej *Saint-Bernard*, znamienita przecho- dem Napoleona i gościnnością szanownych mni- chów, którzy zamieszkali na jej wierzchołku i wyuczyli psy do wyszukiwania podróżnych, obłąkanych, lub zagrzężyłych w śniegach mię- dzy górami.

Tak ważne karty historyi przyrodzenia roz- wijają się przed oczyma mojemu, gdy ja, po- dobny do drobnej muszki, stawię kroki na ścieżce wijącej się u podnoża tych niezmierzo- nych olbrzymów. Byłbym nader porażony ich ogromem obudzającym przestach na samo spój- rzenie, gdyby nie towarzyszył mi podobnyż olbrzym, zdolny bez bojaźni mierzyć się z nie- mi. Ten wielkołud zowie się *myśl*, która wład- ną jest w jednej chwili nie tylko wstąpić na ich niedostępne wierzchołki, lecz przelecieć ubiegłe wieki, zmierzyć przestrzeń bez granic, być obecną przy ich narodzeniu wówczas, gdy one same były tylko proszkiem wrzącym w pier- wobytniej wodzie; która nakoniec, zgęściwszy je i nawaliwszy ogromnemi bryłami, postawiła na niewzruszonej przez tyle wieków osadzie:

sama zaś w spokojne spłynawszy ściecki, okrążyła cichém, tajemniczém morzem naszą rozkwitłą ziemię, wydobytą z pierwotnego chaosu.

Jakaż zgodność historyi tych martwych olbrzymów z historją żywego człowieka rodu? Co przedstawiała ziemia nasza w pierwsze dni stworzenia, kiedy wszechmocne słowo Boga: *stań się!* zagrzmiało pośród czczości wszystkiego; i natychmiast wszystko odetchnęło życiem? Jaki był świat w téj chwili, gdy potopy zalały i zburzyły ziemię, i gdy z tak okropnego spustoszenia powstało również straszne odrodzenie? Gdy panami ziemi były same dziwotwory, których ogromne skamieniałe kościotrupy, dobyte z jej wnętrzości, świadcząc o nader odległej epoce ich istnienia, są razem pamiątkami minionego chaosu? Jak się on zakończył dnia szóstego *stworzenia* ożywiającego wszystko?— Ustały potopy, skały wrosły do ziemi, nagie ich grzbieoty okryły się bogatym kobiercem na płodo-rodnej powierzchni; na niej powstało kwitnące życie. Na tak odnowioną ziemię *Stwórca* przywiódł nakoniec człowieka. Burzliwy okres kształcenia się fizycznego doścignął wytkniętych mu granic: teraz rozpoczęło się życie człowieczego



rodu, i ono przedstawia nam równyż chaos, w jakim okazał się świat fizyczny przy swoim nastaniu.

Patrzmy na człowieka w pierwszych czasach jego stworzenia: on w początkach godnym jest swojego Stwórcy.— Na ziemi raj.— Lecz rykło człowiek upada! — Cóż przedstawia nam po upadku społeczność ludzka? — Co wykazuje się po powszechnym potopie, w którym pierwobytny rodzaj ludzki zaginał? Czyliż nie toż samo zburzenie, nie też sama walka mass fizycznego świata? zpośród jakowych z trudnością i niesporo wzrastało porządniejsze istnienie. Wszystkie podania o dawnym świecie w czasach potopu, wszystkie pamiętniki państw ogromnych, zalegających niegdyś ziemię po potopie: kolosy Indyi i Egiptu, podboje Sezostrysów, Cyrusów i Alexandrów, sam nawet wszechwładny Rzym, czyliż nie toż samo przedstawiają nam w historyi? — Twory przed wieki żyjące, teraz martwe i skamieniałe w głębi pokładów ziemi, które czas nagromadził, spoczywające, czyliż niepodobnemi się zdają do owych ogromnych potworów władających pierwiastkową ziemią, których olbrzymie postacie tyle nas podziwiają? które dowodzą

wymównie bytności przedtém tego, co już nie jest i być na przyszłość nie może? —

Już nakoniec i dla człowieczego rodu okres powszechny burzliwych przemian doszedł do wytkniętych mu krańców; a straszliwe twory przeszłego świata zakryła powłoka, na której wzrasta nowe, wyższe życie. Powłoka ta rozciąga się coraz szérzej, coraz daléj; nie wszystko dotąd nią objęto, lecz z czasem ogarnąć musi zupełnie naszego planetę. Wulkany, potopy, burze, i temu podobne groźne zjawiska, świadczą, że się nie wszystko uspokoiło w fizycznym świecie; lecz są to tylko krótkie i cząstkowe wypadki; one sprawić nie mogą powszechnej zmiany; okazują tylko, że siła burząca jeśli zupełnie nie zamarła, to jest przecież blizką skonania. — Toż samo dzieje się i na świecie moralnym. — Nawet po przyjściu Chrystusa Pana zjawiały się wulkany burzące społeczeństwa; nawet i w naszych czasach zdarzają się; lecz cechy ich coraz bardziej się zmieniają; są one teraz ukształcone nierównie więcéj od dawniejszych. W naszym wieku jedynowładztwo nad całym światem, jak było za Alexandra i za Rzymu, niepodobne, a przynajmniej niedługotrwałe — Napoleon jest tego dowodem; a bystry

wzrost jego potęgi również prędko sprowadził upadek. — Będą zapewne jeszcze liczne wstrząśnienia; lecz wśród ich wrzawy, głos pokoju i porządku coraz bardziej władzę swą rozciągnie. — Religja Chrystusa Pana, to źródło i ochrona moralnego życia, działa niezachwianie na wzrost oświecenia ludzi, powolnym wprowadzie, lecz ciągłym wpływem. Mimo opór burzliwych namiętności, ona przywodzi wszystko do należytej równowagi. — Walka dobra ze złem nie ustała wprawdzie dotąd; lecz czyliż może być inaczej? — Ziemia nie jest rajem — człowiek nie jest aniołem — przecież pomimo rozlicznych wstrząśnień, czasy nasze lepszymi są od przeszłych. Ta lepszosc wypływa sama przez się ze zła minionego; i to lepsze człowiek nie własną siłą sprawia, lecz czas zrząda, posłuszny Najwyższej Opatrzności.

Znikają pokolenia jedno od drugich, a czas na ich mogiłach zapisuje odkryte przez nie prawdy, które czytając następujące rody, na własną obróć korzyść. — Gdy i te zejda ze świata, czas również nakreśli na ich grobach nowe prawdy, ku pożytkowi następców. — Wypadek powszechny jest zawsze tenże sam: w każdym

czasie, człowiek, na swoim miejscu, w swoim kręgu, może wypełnić to wszystko, co jako człowiek zaskutecznić jest obowiązany; a jeśliby każdy, nie schodząc z wytkniętej drogi, postępował za tą skazówką, ziemia stałaby się państwem niewzruszonego porządku. Lecz człowiek stworzonym jest nie do beczynnej szczęśliwości, lecz do pracowitego i moralnego życia. On powinien walczyć o swoje zaszczyty, powinien dościgać dobra, pokonywając namiętności i nierozłączne od nich błędy i nędze. Nie on działa na świecie, lecz Opatrzność wszystkiem kieruje. Życie rodu człowieczego porównać można z burzącem się morzem: Popęd namiętności podnosi, wzdyma te krótko-trwałe balwany, wzrastające, upadające i ciągle zamieniane przez inne; każdy z nich zdaje się być jakimś samobytnym utworem; a gdyby miał zdolność myślenia, to w chwili krótko trwającego bytu mógłby wyobrazić sobie, że działa i stwarza wieczyste rzeczy. Lecz on, łącznie z przechodzącymi rychło towarzyszami swemi, jest tylko drobną częścią wielkiej całości; wszystkie posłuszne są jednemu powszechnemu ruchowi. Ruch ten zdaje się być niekiedy burzliwym; bezdenne głębiń wre nawałnicą; lecz rychło wszystko się wygła-

dza i oczyszcza.— Po chwili w smętném zmieszaniu wód, odbija spokojnie czyste niebo.

To jest filozofja gór, na które patrzę. Toż samo przeczytałem w Monselu, który wystawia nam w podobnym obrazie wypadki naszego wieku, obfitego nader w wielkie przemiany.

*Przeł. Jan ze S.....*

## Postrzeżenia i sądy.

(Dalszy ciąg).

Najprzebieglej umówiony i wykonany, szumny *oklask* nie dorówna dość często wartością jednemu magicznemu *uciszeniu*, jakowém najgwarliwsza nieraz biesiada mimowolnie spotyka u drzwi swoich niepospolitą osobę.

Trwałość prawdziwej przyjaźni gruntuje się głównie na równowadze naszych moralnych przymiotów.

Każdy bal, mniej więcej, jest chybioną z góry spekulacją handlową; większość bowiem, chcąc się na tej giełdzie jak najdrożej sprzedać, nie da ani *spójrzeć* uważniej na swą realną wartość, a to *zamydlając oczy*, jak można zręcznie i skwapliwiej z dziwną usługomością wzajemną.

✱

Bywa kobieta dość *głośną*, chociaż i nie ma najczęściej *dobrego głosu*.

✱

Czytać bez uwagi, pamięci i celu, jest tylko: bez uwagi i pamięci, a w celu *wiecznego nieoddania*, pożyczać.

✱

Sowa i metafizyka, dotąd u *niektórych ludów* mają się za godła mądrości, przez tę osobliwość może, że obie, szermując w *pociemku* jedynie, nic o *Bożym świecie* nie wiedzą.

✱

Niesforne małżeństwo jest *długiem obokległym* nieszczęściem.

✱

Dawniejsza klasyczna prawda mniej była trudną do ujęcia, kryła się bowiem w studniach zwyczajnych; lecz dziś, tej *studniowo-romantycznej* pani z ciasnej *artezijańskiej*, naprzykład, nieco mozolniej będzie wyjść, jak *oliwie na wierzch*.

I bez Kopernika wiadomo, że Francja wiecznie *kręci się*, Anglja zaś ciągle *optywa*.

Prędko spanoszeje ten nędzarz, który żebrze u mężczyzn w imię rozumu, u kobiet zaś w imię młodości i wdzięków.

Pomiędzy tysiącem nominacji nadęto-próżnych, a jakich sobie biedni ludzie zwykli aż do śmieszności nie szędzić, owi, co nazwali *postępnego* człowieka *mikrokozmem*, kto więc, czy też mimowolnie a najbliżej nie trafili do podobieństwa: w istocie nie jestże to *gliniany* model, choćby tylko naszego *solarnego* układu, w środku którego sztucznej kuli gdy zamiast słońca umieścimy ważny holenderski dukat toż od razu, najprościej i najjaśniej wy-



tłumaczą się i bieg tego mikrokozmu codzienno-  
wirowy około *własnej miłości* (chcę mówić *osi*),  
i bieg *postępny* roczny czyli *kontraktowy* około  
owego słońca; wszystkie *wahania się* i *zbocze-  
nia*; ruchy *postępne* i *wsteczne*, zwykle spłasz-  
czenie biegunów (głowy i kieszeni) w stosunku  
do wypukłości równikowego *pasa*. Toż zmien-  
ność temperatury, odpowiednie *sferze* od *Wagi*,  
*Panny*, i tabularnej *złotej liczby*, aż do *Wolu*,  
*Barana*, *Kozierożca* i t. d. i t. d.

*Myślących* do zbytku nie mamy, ale za to  
*Myśliwych!*....

Pierwsza miłość u kobiet szczególnie jest  
ślepa, niemą a rumieniącą się i wzdychającą je-  
dyndie; za to komu już Bóg pozwoli dożyć dzie-  
wiątęj, to aż na podziw jak ta eterna widzi, ró-  
żuje się, jęczy, przemawia i kwili.

Lubię starego Węgrzyna; był to bowiem  
wytrawiony a mocny bojownik, i dla tego na-  
szym rycerskim ojeóm tak bardzo przypadął  
do *twarży*, humoru i smaku; śmiałym bowiem

tylko uderzył na głowę (\*), wytrwalszych nadto w bok rzucał, a najupartszym, niezmordowanym jedynie podrywał nogi.

Gdzie mąż jest *cudzysłowem* a żona *wykrzyknikiem*, tam wszelkim *łącznikom*, *średnikom* i *spójnikom* radziłbym zamknąć się rozsądnie *neutralnym nawiasem*.

*Exaltacja* jest chorobą, raczej głowy, niż serca.

Po wszystkie wieki *falsz* jest najplodniejszą pasorzytną rośliną; rodzi się na każdej ziemi, buja wśród wszelkiej wegetacji, dojrzewa dla się w czas zawsze, i wydaje w końcu najlichszy owoc *zaprawdę*.

*Moda* we Francji jest dziesiątą najczynniejszą muzą.

---

(\*) *Udrim na Glawu!* — wojenne hasło Słowaków węgierskich do ataku.

Im odleglejsza przeszłość, tém się bardziej zajmująca być zdaje; a jest w tém coś naksztalt perspektywy malarskiej, gdzie przedmioty najoddalsze najponętniej zwykły wpadać w oko, przy odpowiedném wszakże ku temu *świetle* i trafnym punkcie widzenia.

Mogło upaść, ale ani jedno może państwo nie zginęło inaczéj, jak wprost samo przez się.

-O ileż to najczęściéj troski, pracy, zachodu, czasu, niekiedy nawet lez i sumienia zmar-nujem na to jedynie, abysmy ceną tylu ofiar, oplakaną śmieszność, albo gorzkie politowanie kupili dla się nakoniec.

Dzieje ludzkie, jako tablice meteorologiczne, nie mogą być choćby tylko prawdopodobne inaczéj, jak układane w skutku długich, codziennych obserwacji wznoszenia się i opadania cieplomierza na różnych wysokościach, w każdym czasie, okoliczności i miejscu, a ile to można, znajomszój i ograniczeńszój przestrzeni.

*Talent* poety jest najdroższym, bo go ani zbyć, ani nabyć za nic w świecie nie można; a więc go nie jeden zakopuje z *biedy* za przyczyną radych, bezpłatnych grabarzy.

Głowy i serca próżne ani się tają z tém nawet, że czują w sobie czezość jakąś.

Miłość własna jest najpłodniejszą matką razem *opłakanego* i *śmiesznego* potomstwa.

Im tłumniczy salon, tém pustszym bywa najczęściej.

Drogi *żelazne* i *bite*, są to zwykle wszystkie drogi *publiczne*; każdy, kto podróżował ich koleją, najuroczyściej to przyzna.

Ze wszystkich i wszelkich słowników wygluzowałbym na zawsze ten marny ciarłatański wyraz: *szczęście*, co nie mając *de facto* żadnej ani postaci, ani istoty, wszelkie rad na się

drażniąc ludzi przybiera, by tłuc się swawolnie a ciągle po ich biednych głowach bez celu, jako ów Marek po piekle.

Na wiecznych kartach dziejów ludzkich, tam ówdzie świecą imiona Mocarzy: *Wielkich, Chrobrych, Zdobywców, Pobożnych i Apostołów, Łaskawych i Groźnych, Pięknych i Krzywoustych, Rzędzierzawych i Łysych, Otyłych i Laskonogich, Niedźwiedzi i Ptaszników, Starzych i Pogrobowców, Filozofów i Mnichów, Błogostawionych, Sprawiedliwych, Wstydlivych, Śmiałych, i t. d. i t. d.*; a rzecz dziwna, ani jeden, zda się, nie posiadał tytułu *Dobrego*; nikt go i nigdy tknąć nie śmiał, oprócz Najwyższego Mocarza, co imię Jemu: *Bóg Dobry*.

O podwakroć niekłopotna Grecjo! boś ty miała dziewięć tylko literatek (muz), i to pannen *świętej pamięci*, i siedmiu, tylko siedmiu, mędrców!

Tak zwane obiecujące fizjonomje są nieraz pięknie a grzecznie tylko zapisaną listową ko-

pertą na *prima Aprilis*, we środku której zawiedziona smutnie ciekawość nic nie znajduje.



W każdej gminnej biało-ruskiej bajce, gdzie się tylko mówi o trzech braciach, zawsze to *trio* rozegrywać musi dwóch rozumnych a trzeci..... Zaiste byłby to nader pochlebny dla ludzkości stosunek, a czemuż więc, jak na złość, *bajeczny!*



Lekkomyślna i *niestanna* nadzieja nie traci nigdy u dobrych ludzi kredytu, ani wówczas nawet, kiedy *a conto* niespłowiełego wiecznie uśmiechu, odłuzwszy się bez miary, odsyła wiecznie swych łatwowiernych wierzycieli *ad bona reparabilia.....*



Sąd ostateczny obejdzie się zaprawdę bez *adwokatów* i *pisarzy*; mimo to jednak ci panowie niemalej doświadczyć mogą *mitręgi* i kłopotu na nim.



Znakomity krytyk, jak dobry strzelec, *bierze na cel* jedynie co jest istotnie korzystne a god-

ne jego trafnego strzału; pocieszne samopały to tylko mierzą do lada gawrona.



Odwieczne genealogiczne drzewa nie są, zda się, z natury swojej do przesadzenia; mimo to jednak, w naszych czasach bardzo wielu przemyślnym *ziemianóm* udało się, chociaż z nie-małym nakładem i forszą, gdzieś je odkopać i na swoją własność przesadzić.



Rachunek *chybi-trafi*, odkryty a przynajmniej wydoskonalony przez prorokinię delficką, został dziś zarzuconym zupełnie, nawet przez *graczy uczonych*.



Niepodobna taniiej, bezpieczniej i snadniej na dziwną głosność wyskoczyć, jak wyskoczył ni ztąd ni zowąd nasz ś. p. *Filip 'z Konopi*; wypłynął wprawdzie na nią i *Zablocki na mydle*, zawsze mu to przecię drożej miało kosztować.



Boska muzyka przy ludzkim obiedzie jest najniedorzeczniej, bo *najniezdrowiej* zainwizowaném *utile dulci*.

✱

Jakby nie trzymać o *duchach*, a pewna przynajmniej, że w ogóle dziwnie są wybrykliwe i psotne; na szczęście, każdy z nich czémś się zatrwaza: ten kura, owy się lęka kropidła, a inny, jak czupurny *duch czasu*, truchleje nieraz przed lada policyjną kozą.

Zawistna krytyka jest niezręcznie chociaż i z namysłem wyrzuconą strzałą, zwrót ostrza której razi nieraz samegoż właśnie łucznika.

Fatalizm i wolna wola dla bardzo wielu są jako węzeł gordyjski, splątany przez nich niebacznie na to tylko, zda się, ażeby, chcąc go jakkolwiek rozwikłać, coraz nedorzeczniej gmatwali. Przeznaczenie ubiło drogę doczesną najprościej i najbezpieczniej wiodącą mimo ciągłych przepaści, do wiecznego celu; objawienie wskazuje i oświeca cel ów i drogę od



początku do końca, wolnej zaś woli obok rozumu i pamięci zostawiono, na karb zasługi lub winy, isć jej koleją lub zbaczać.

✱

Nie będąc może poetą, miewam jednak widzenia ultrapoetyczne, co się niekiedy zbyt boleśnie pastwią nade mną biednym, a z których-to choć jedno, dla ulżenia sobie niejako, wypowiadać muszę. Oto, gdy samotny, wskazdém słowie tego znaczenia, zasiadam machinalnie, o zmroku jesiennym szczególnie, w obec ściennego zegaru, i myślę, bębniąc palcami, o tém naprzykład, jakby się udało najzręcznieńj zabić ten niecznośny, zagląający w okno wieczór, a tak szczęśliwie, jak to się ś. p. dzień zabiło, zrazu tém, owém, a w końcu najdzielnieńj talerzem, butelką i poduszką, owoż kiedy znów myślę i rozmyślam tak sobie i długo, długo jeszcze bębnię palcami..... aż oto—słyszycie?—cós się zaczyna wiercić i swargotać krescendo w gotyckieńj zegarowěj szafie; wybiło nawet tam, zda się, lecz któraż? Owoż się zamyślać—ani zliczyłem. Dźwigam zatem znów z *biedy* a *machinalnie* wzrok mój ociązały na zegar..... Boże! jakaż to wskazówka?

cóż to za słowo?..... na rozszerzonej, bladej jego tali przesuwają się ze środka, zamiast indexu, długi, koseisty palec, przesuwają się i znacząco zatrzymują na żarzystych mrugających głoskach; *Mane-Tekel-Phares...*, Precz, widmo! przepadnij! ja nie król Baltazar, ja tylko biedny, prosty gnuśnik, oh! już nie patrzę, nie, nie!..... Ale cóż to? mówi tam nawet i powtarza, powtarza i mówi: *tak ty! tak ty!...*

ALEXY HORODZIENSKI.

(Dalszy ciąg w tomie następującym).



## **Korrespondencja literacka.**

### **LIST I.**

#### **Do Wydawcy Rubona.**

**K**omu szósty krzyżyk wieku upłynął i siódmego do połowy dochodzi, kto przebywszy burzliwe życia podróże, miotany rozlicznemi, a często-kroć od nas niezawisłemi przygodami, uniośł ostatek zdrowia i umysł nie nader przytępiony, temu na resztę życia ciepły kącik własnej zagrody, posilna acz niewykwintna strawa, wystarcza za wszystkie inne roskosze, zużyte już dla niego. A gdy jeszcze dobra książka zastą-

pi bytność miłego towarzysza, którego nie często los pomysłny nam zsyła, ja przynajmniej niezego już więcej do żądania nie mam i dni mojej spokojności wyżej oceniam nad wszystkie świetniejsze posady.

Będąc obywatelem kraju, którego byt polityczny tyłu uległ przemianóm, świadek jednych, uczestnik drugich, żyję tylko pamiątkami przeszłości, rozmyślam o nich, przenoszę wyobrażenia do tego, com widział i doświadczał, do ludzi już po większej części w mogile, z którymi zawód życia publicznego i domowego przechodziłem. Przesuwa się to wszystko na tkance moich wyobrażeń jak fantasmagoryczne cienia w czarodziejskiej latarni: niekiedy się zbliżają i właśnie zdają się żądać ściślejszych ze mną stosunków; niekiedy, gdy ich z uprzejmością powitać pragnę, z wolna usuwają się coraz dalej, zmniejszają stopniami swoje objętość, i nakoniec nikną w ciemnej mgłę oddalenia. Ten umysłowy świadek, który mi czasem zastępuje nader wygodnie rzeczywisty, nie połyska wprawdzie jasną różoną barwą, w jakiej widzi przedmioty niedoświadczona młodość, nie tworzy nadprzyrodzonych istot z romansów czerpanych, za jakimi nie jedna roz-

kwitająca piękność, jak za kraśnym motylkiem, napróżno, się ugania; ale też nie nawodzi czarnym pokostem myśli moich, nie dręczy mnie boleścią i zgryzotą.— Jest to sen miły, który nas zabawił, i po obudzeniu się jeszcze przyjemne zostawia wrażenia; jest to piękna sceniczna wystawa, o której długo jeszcze marzyć można, chociaż gruba zasłona oddawna pokryła widowisko.

Te ode mnie samego zawisłe rokosze, tu z nikim podzielić się niemogące uczucia, zjawiają się najczęściej wówczas, gdy nowa przychodzi książka, a szczególnie taka, która stronę przeszłości naszej uroczenie porusza. Gość ten dawniej nader rzadki, teraz, dzięki pracowitości uczonych rodaków, częściej przecież i do naszych zawędruje zakątków.

Na mogile klasycyzmu wzrastać wszędzie zaczęły jakieś nieznane rośliny, których cechy naznaczyć niełatwo było. Zmieszany cały porządek społeczny przez polityczne burze, również nieład i do piśmiennictwa wprowadził: obalono ołtarze i trony, zdeptano wiekami czczone świętości, wyszydzono wiarę i cnotę, zdarto pokrywkę z najhydniejszych występków, ukazano ich okropność ubraną w cza-

rujące wdzięki, zręcznym piórem i szczytnemi pomysłami nadane. — Przeszła ta groza zburzonych żywiołów; chmury, na zachodzie i południu zebrane, tam ciskały najstraszliwsze pioruny, lecz odnogi ich przeciskały się i ku naszym ziemniejszym strefóm; nie tak przecież gwałtownością swoją odznaczane, nie tak długo-trwale, mniejsze tém samém zostawiły ślady. Przywykliśmy, mianowicie po odrodzeniu nauk za Stanisława Augusta, czerpać język i obyczaje z francuzkich zakładów; dawne wzory, pisarze XVI. wieku, poszły i u nas w pogardę prawie; twory ówczesne były wprowadzie w narodowym języku, ale ich obrazy, ich postacie, były najeczęściej francuzkie; z pod kontusza i żupana, z pod czupryny po szwedzku ostrzyżonej, wyglądała francuzka peruka i dalsze ubiory, niedobrze długimi połami naszej czamary lub bekieszy zakryte. — Oddajmy przecież komu należy zasłużone uwielbienie, i chociaż wiek XVIII. na słusze zarobił przygany, nie unosmy się stronnością, owszem zostawmy należne (w XIX.) miejsce pisarzóm i utworóm, pod względem narodowości zawsze szanownym, zawsze obok najlepszych dzisiejszych w tym przedmiocie płodów stanąć powinnych.

*Pan Podstoli, Satyry*, dowcipny *Doświadczyński* i wiele pism ulotnych Krasickiego do tego rzędu należą; a może o dziełach jego, uznany za poehlebny, sąd Franciszka Dmochowskiego, pomysłwszy bezstronnie, sprawiedliwszym się okaże:

„W Twych dziełach Polski pamiętka zostanie;  
 „Wdziękiem ich wnuki będą się poili.  
 „Zginęli Grecy, zginęli Rzymianie,  
 „Lecz żyje wiecznie Homer i Wirgili.”—

Nie będę tu przywodził niektórych jeszcze z tej epoki pisarzy, również na imie narodowych zasługujących, o których na inném miejscu pomówić może przyjdzie; obrałem najpopularniejszego, bo i młodszym naszym literackim znamienitościóm nie jeden czasami wierszyk dowcipnego Krasickiego wprowadzić zdarza się; lękam się nawet, żebym i tak, starego gawędy nie zarobił miana; ale trudno poprawić się z naciągniętego przez lat 64 uczucia; przysłowie: „Czego skorupa za młodu się na-  
 „piła, tém na starość pachnie.” Otoż, Szanowny Redaktorze, odprawivszy krótkim wspomnieniem pisarzy XVIII. wieku, zastanówmy się nieco nad czasem obecnym, a mówmy tylko o naszych, patrzajmy swego!—

Z początkiem XIX. stulecia, Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie założone, powagą rządu uprawnione, miało najszlachetniejszy zamiar przechowania pamiątek narodowych, i utrzymania bez skazy świętej puścizny po ojcach, ich języka i ducha. Ówczesne literackie znamienitości w jedne sprzężone ogniwo, rozpoczęły prace swoje; wydanie chociaż niedokończonych dzieł pisarzy z świetnych czasów naszych i własne członków prace, niemało rzuciły nam światła, nie słabo krzepiły narodość. Prawda, że z francuzkich form uwolnić się nie zdołano, że biedną polszczyznę, skoszlawioną oddawna łaciną, do galicyjskich silnie naginano zwrótów; ale *nie razem zbudowano Krakow*, nie za jednym skokiem wydobyć się można z obszczyzny, w której ledwo nie poszyję zagrzechliłmy; na to dłuższego nierównie potrzeba było czasu, do którego Towarzystwo nie dożyło, i w odmęcie politycznych wiechrów zniknęło. Tymczasem w Anglii, na literackim niebie niewidziany dotąd ukazał się kometa. Szkocki bard, na nowo nawiązanych strónach, zaczął wyśpiewywać starożytne w ojczyźnie swojej przygody, odkopał zwyczaje przodków, z ulamków rozwalonych klasztorów i zamków po-



składał upłynioną całość, i nowój gałęzi literackiej dał życie. Za nim ledwo nie cała różnorodnych ludów przeszłość do romansów historycznych i powieści się przeniosła. Naśladowcy Walter-Skota śpieszą własną narodowość, źle lub dobrze, na wzór szkockich malować obrazów; dzieła podobne cheiwie poszukiwane od różnej płci i wieku czytelników, zajmują i rodaków naszych pióra, i już nam dostarczyły pięknych utworów, ludzi i czasów, które do przeszłości należą.

Lecz wszystkie początki są małe i niezajmujące; wieleż to z błot dzikich sączących się poników, ile nędznych i niedostrzeżonych prawie źródeł, w jedno skupić się musi, wyczyścić swe wody, wznioślejsze przebywając błonia, dopóki z nich jasna i poważna powstanie rzeka, która na nurtach swoich unosi wędrownika w miejsce dotąd nieznanne, odkrywa mu pomniki pierwój niedostrzeżone, i do nowych obrazów coraz okazałszych, coraz trafniejszych przedmiotów dostarcza.

I nasze narodowe powieści, w dziś przyjętój barwie, ukazały się naprzód w odłamkach lada jak skleconych: wileńskie drukarnie *Dworca*, *Blumowicza*, i inne staro-zakonne pseudo typografje, pierwsze im dały życie. Brodaci prze-

myślnicy, z krobeczkami na plecach nawiedzający miejskie okolice, obok szpilek, igielek, kamfory i tym podobnych drobiazgów, przysługiwali się publiczności nie tylko Kabałą, Kalendarzami, lub *Turezynem Wojażującym*, lecz i nowemi młodych pisarzy płodami, żółtym najeczęściej papierem dla ozdoby pokrytemi; ich część większa, podług skazania samych autorów, służyć tylko miała: „do zapalenia fajek;” ale niektóre wykazywały dość jawnie przyszłość, jakiej przy wprawie i pracowitości oczekiwać od nich mogliśmy. Nadzieje te ziściły się pomyślnie: najpopularniejszy dziś narodowy pisarz z tych drobnych wywinął się nasionek, uczuł, czego mu potrzeba było, aby dojść do znaczenia i na słuszny szacunek spółziomków zasłużyć.— Oby i inni też samą udali się drogą, ciernistą wprawdzie, ale jedyną, mogącą ich wprowadzić do świątyni pamięci!

Piszącym w tak ponętym przedmiocie najwięcej zyczyćby należało, aby nowej francuzkiej szkoły, czyli prościćj mówiąc, szalonej ich literatury, jako prawdziwej zarazy, unikali; straciła już ona swoją ponętę i na ziemi rodzinnój; dziś uwielbiają wzniosłe pióra autorów, szczytność ich obrazów pod względem sztuki

ki, słowem, to wszystko, co artystyczności przybrało miano, ale odrzucają ze zgrozą niepodobne prawie do wiary zbrodnie i obrzydliwości, w jakie bohaterów swoich oblokłszy, stawiają na widok i zgorszenie publiczne, tém jałowitsze, im ozdobniej i przyłudniej okazane. Nasza zimniejsza strefa mniej nierównie zarażiła się tą dżumą, przecież i lepsze pióra nie uniknęły jój skutków; zdarzyło się w fantastycznym utworze skupić na kilku kartach zbrodnie skalanej duszy, i serca z wszelkich szlachetnych wyzutego prawideł, podzielić na kontuszowe postacie, i z tego wysnuć wątek powieści. Lecz to już przeszło, już późniejsze różnorodne płody zatarły owe ślady, a nowe utwory, nieskąpą sypane dłonią, doskonałości wyższej przybierają cechę.

Pisarze obrazów, szkiców i powieści narodowych, najtrafniejsze wystawią nam postacie, jeżeli niektóre z nich przynajmniej sami znać i z niemi obcować będą; z téj przyczyny wszystko, co z innych źródeł czerpają, wynijdzie na podrobione, zająć może osoby ich wieku, ale nie oszuka starszych, którzy nie znajdą znajomych niegdyś sobie, w nowomodnych Panach Skarbnikach, Starostach lub Podczaszych.

Przy schyłku XVIII. wieku zmieniła się postać polityczna naszego bytu, niektóre części dawniej ojczyzny pokilkakrotnie się przeobraziły, wszystkie zaś z upływem czasu traściły stopniami dawniej swojszczyzny cechy; przyłączone do innych plemion, ich prawami i zwyczajami rządzone, nie mogły pozostać w dawniej samoistności. Młody zatem malarz swoich rodaków odda nam dobrze rysy tegoczesne, ale jeśli lat ze dwadzieścia przed rokiem 1800 z niemi nie przeżył, jeśli nie słyshał opowiadania starszych, pod panowaniem Sasów żyjących, nie uchwyci zarysów przodków; będą one blade, czasem prawdopodobne, ale nigdy trafne: bo najbieglejszy artysta, nie widząc osoby, doskonale jej przenieść na płótno nie zdoła. Z XVIII. wieku trzy tylko znam dzieła, z których dawniejszych Polaków widzieć we właściwych typach można: *Pana Podstolego*, *Doświadczyńskiego* i *X. Plebana*. Pamiętniki Paska i Maskiewicza później drukowane, sięgają wprawdzie czasów starożytniejszych, ale pojedynczych różnostronnych charakterów niewiele dostarczają.

Nie jest zamiarem moim, Szanowny Redaktorze, kręślić ci roztrząsanie lub krytyki plo-

dów, któremi obecna literatura nasza coraz się bardziej z bogaca; mamy właśnie to, co w tym zawodzie jest niezbędne, mamy w czasowych pismach i osobnych dziełach sądy bezstronne, przychylnie wzrostowi literatury, mężów, których z uwielbieniem czytamy, których braterskie przestrogi z wdzięcznością przyjmujemy; na ich czele stoi zasłużoną okryty sławą autor *Literatury i Krytyki*.

Powiedzmy jeszcze słów kilka o dziełach równie nas obchodzących, które rozszerzającej się oświaty niezaprzeczoną są dowodem. Pod względem historycznym (że tylko o Litwie wspomnę) *Dzieje Narodu Litewskiego* (kilkunastu lat praca Teodora Narbuta), *Wilno*, J. I. Kraszewskiego, *Wizerunki Naukowe*, w Wilnie u Zawadzkiego wydawane, leżą u mnie obok siebie; czytam je i porównywan; dziwię się pracowitości i mozolnej pracy ich autorów, ale podziwiam więcej jeszcze skromność i prawdziwą braterską przychylność, z jaką jeden drugiego ozdorzonych usterkach przestrzega. Ileż to piór zkąd inąd zaszczytnie znajomych jęło się najmozolniejszej, najnudniejszej pracy, zbierania i uporządkowania z rozsypanych rękopisów, starożytnych druków, i tego wszystkiego,

co tylko dziejów ojczystych tyczyć się może. Z każdej strony gromadzą się materiały i pomoce, gotowe dla historyka, którego z utęsknieniem czekamy, aby wystawił nam ojczyste dzieje, godne wieku teraźniejszego, i znamienitości, do jakiej ta najważniejsza literatury praca u oświeconych narodów doszła, — Powrót, coraz większego postępu, na łono wiary przodków naszych, jakże się znamienicie, z jakim zbudowaniem w nowoczesnych pismach naszych odbija! Kilka świątłych duchownego stanu rodaków jak piękne Chrystjanizmu malują obrazy! To pisząc, opuścić przynajmniej nie można *Pielgrzymki do Ziemi Świętej* X. Hołowińskiego i przeslicznej allegorji: *Sen w Podhorcach* X. Chołoniewskiego; wymieniać dzieła ich dalsze, wymieniać autorów duchownych i świeckich, pełnych religijnych uczuć, byłoby nad zakres ulotnego pisma. Falszywa mądrość, gminne z rzeczy poważnych i świętych przekąsy, zniknęły jak nocy brudnej mary przed światłem ewangelicznej pochodni.

Co ważniejsza jeszcze, że nowoczesna filozofja, ten przewodnik mądrości ludzkiej, uznała nakoniec nikczemność swoją, gdy walki z Księgami Świętymi, z prawdami objawienia i

wiary toczyć usiłowała; gdy zagłębianą w mgłę mistycyzmu, przez Hegmatyczne i wytrwałe głowy niemieckie przechodząc, brzmiała dotąd nadętymi wyrazami, których częstokroć i sam ich twórca nie ze wszystkiem pojmował, teraz, światłem prawd odwiecznych objaśniona, uznała ich Boskość, i naukę mądrości wspiera Pismem Świętym, wyprowadzając z niego najszczytniejsze prawdy.

W szkołach niemieckich doskonalili się i nasi rodacy; współczesnych przynajmniej wymienimy: Gołóchowski pierwój, w tym zaś czasie Szczeniowski i Bronisław Trentowski; ten ostatni na wysoki szczebel sławy u zimnych Niemców zasłużył; jego publiczne prelekcje, jakie wykladał w Frejburgu, powszechny aplauz, podziwienie nawet obudzają. Idąc za Szellingiem, odtwarza nowe filozofji prawa, łączy je ściśle z zakonem wiary, i na tej podstawie świątynię mądrości ludzkiej wznosi. Załować tylko należy, że to, co dla Germanów w ich mowie pojętnem być musi, przeobleczone w naszą narodową szatę, zupełnie kazi czystość języka, podstawianiem nowych wyrazów całkiem niezrozumiałych, lub obraźliwie na składnię niemiecką przekręconych.

W pismach czasowych polskich, tegorocznego wydania, zdarzyło mi się czytać *Listy naukowe Trentowskiego o Szellingu*; przywodzę z nich małe wyjątki dla pokazania ci języka, jakim są pisane; np: „Powstaje przeciw filozofji Fiech- „tego, utrzymując, że *Jaźń* moja, *Jaźń* ludzka „jednostkowa, znikoma, podmiotowa, złą jest „mądrości krynicą; że filozofja zacząć musi „od *Jaźni* Boga, będącej tém, mniej więcej, „czém *rozłoga* (substantia) Spinozy.” — Ta nowomodna polska *Jaźń* bydz musi, jak się domyślam, niemieckie *ich* (ja) nasze (\*). — Przypominam, że w piśmie: *O dziełach polskich i sposobie ich układania*, w pierwszych latach XIX. stolecia wydaném, to *ich* tłómaczył poważny nader autor przez *jajość* i *mojność*. Co z tego lepsze, sądowi twemu, Szanowny Redaktorze, oddaję. Posłuchajże jednego jeszcze okresu: „Zaczém w bezwzględny *podmiocie*, „przedmiotującym się ustawicznie, i przecho- „dzącym z tej przedmiotowości jako znikomego „powiatu *myślenia* w nową lepszą *podmioto- „wość* zwyczajko, a to tak długo, aż wyczerpnie „całą swęj *osobistości* t. j. podmiotowości sfe-

Raczej *Ichheit*, bo *Ich* nie przestało być, zdaje mi się, po polsku *ja*. — *Przyp. Wyd.*



„rę i dostanie się w końcu do zupełnie tryum-  
 „fującego podmiotu.”—Niech i tak będzie, ale  
 póki nam uczony autor jaśniej po polsku tego  
 nie raczy wyłożyć, wyznaję z pokorą, że go nie  
 rozumiem. O jakbym pragnął, aby więcej nie  
 znalazło się podobnych do mnie!

Mamy niezaprzeczenie naszą narodową li-  
 teraturę w tém stolecu; ta ledwo nie przed kil-  
 kunastą laty powstała z gruzów, i otrzęsnęła  
 się z obszczyzny. Nie będzie jej brakować i  
 i uczonej historii, skoro olbrzymią pracę Wi-  
 szniewskiego pożądaną uwieńczy koniec; zgro-  
 madzi ona w jedno miejsce, i umiejętną ręką  
 połączy, tyle już w tym przedmiocie dzieł wy-  
 danych i wydających się przez naszych uc-  
 zonych. Poezja na grobie klassyczności i jej  
 mistrzów ożywiła zapomnianego prawie Szeks-  
 pira; za jego przewodnią wyżej jeszcze Göte  
 i Szyller narodową nastroili lutnię. Nie brakło  
 tego uczucia i naszym ziomkóm; odgadli, że  
 chcąc zostać narodowemi wieszczami, wszelkie-  
 go naśladownictwa, aż do końcówek nawet, wy-  
 rzec się bezpiecznie można, i rodzimém czu-  
 ciem zaśpiewać spółbracióm. Mamy ich aż  
 kilku prawie w jednym czasie; są oni w ustach  
 i pamięci wszystkich czytających; wymienienia

zatem szczegółowego nie wymagają. Kwiaty przez nich posiane nie zniszczą, bo ziarno wrodzimą ziemię rzucone przyswojenia nie potrzebuje, a własnem oddychając powietrzem, bujno zawsze wzrastać, zawsze pieścić ucho i serce nasze będzie.

W ten znamienity poczet policzmy z lubością i pleć piękną; już to nie *Heloizy*, nie *Korynny*, nie *Malwiny*, i tym podobne sfrancuziałe Słowianki; miękkie ich usta nauczyły się wymawiać dźwięcznie narodowe wyrazy; cudzoziemskie fraszki opuszczają po kolei buduary; ich miejsca zajęły utwory rodaków.

Czytelniczki same po narodowemu myśleć i pisać probują, a te probki prześlicznie wyglądają. Jedne w powieściach i trafnie zastosowanych przykładach, zwabiwszy młode pleci swojej plemiona, uczą je obowiązków, do jakich przeznaczone, a nauką przykładami ich babek i matek podsycają; drugie niewieścim żywym dowcipem i pięknem wysłowieniem, czysto narodowem, dają nam wesołe powiastki, listy i tym podobne ładne ulotne twory. Pod ich piórem i *Pantofel* wdzięcznej nabiera krasa, traci zupełnie zwyczajną niezgrabność. Są, co śmielszym polotem wyżej nie-

równie sięgając, wlatują aż do mistycyzmu; piękne i to, ale żeńskie pióro, podług mojego wyobrażenia, czaruje tylko wówczas, gdy nam właściwe płci swojej kręśli obrazy; surowość, zbytnia powaga, głębokość nauki, psuje ich wdzięki i pozbawia uroku.—Pism czasowych niewiele dotąd liczymy. Warszawa ogłasza ich najwięcej, lecz tych krótka trwałość, niewykazana pewna i stała dążność, duch stronnictwa a czasem i zarozumienia, mało zaspakaja czytelników. *Biblioteka Warszawska* jest dotąd najlepszą z ich liczby. Bliziej nas wychodzące przez lat kilka w Wilnie *Wizerunki Naukowe*, mianowicie z roku przeszłego, żalować każą, że się ich wydanie przerwało (\*).—*Tygodnik Petersburski* zasługuje na wdzięczność obywatelską dla światłego wydawcy, za dostarczenie nam ciągle wiele różnorodnych roztrząsań, bezstronnych krytyk, pod względem recenzji dzieł nowo wychodzących. Najznamięnitsze pióra skupiają pomysły i zdania swoje do tego jednego o-

(\*) Szkoda zaiste *Wizerunków*, ale szanowny korespondent zapomniał dodać, że mamy na to miejsce *Athenaeum*, pismo zbiorowe, zalecające się wielką różnorodnością artykułów.

gniska, które wartości swojej i spóluczucia, jakie u rodaków obudza, dowodzi najlepiej trzy-nasto-letniem istnieniem.

Tak więc, Szanowny Redaktorze, my, starzy zwolennicy tego, co nasze, z postępu literatury rodzimój możemy się szczerze przy końcu tego roku ucieszyć, wnosząc gorące życzenia, aby zbliżające się nowe-lato dało nowe popędy i coraz więcej krzepiło tak pięknie rozkwitające latorośle.

*J. ze S..... herbu Kościeszka.*

16 października,  
1842.

---

**L I S T II.****Siostrzenica do Wuja.**

---

Szczególną mam dziś chętkę pomówić z Szanownym Wujaszkiem, pomówić z nim otwarcie i swobodnie, jak dawniej: bo też szczególny mój humor dzisiaj i jakieś dziwne usposobienie. Nie uwierzysz, mój Wujaszku, jaka tego przyczyna! — Przed kilką dniami wezwaną byłam do nagle zaniemogłej kobiety we wsi. Pojechałam. Ze łzami mię prosiła, aby ją ratować; że jej się bardzo chce żyć! — Obejrzałam się wkoło, czyli też nie znajdę, co ją tak przywiązuje do życia? — Ciemna i dymna lepianka,

wszędzie ubóstwa oznaki. — Kilkoro nędznych dzieci i jedno malutkie, które z płaczem do niej rączki wyciągało, spragnione pokarmu, a tego matka schorzała udzielić nie mogła. — Dalej: chrapiący na ławie w pół-pijany mąż, chrapiący mimo stękań i jęków żony, i dorodna u komina córka, warząca nędzną strawę z pokrzywy, strawę dla chorąg matki. — Oto wierny obraz życia tęg kobiety! obraz, który ona ma zawsze przed oczyma!... życia, które tak ceni, że myśl nawet rozstania się z niem jest dla niej najdotkliwszą. — Rozstanie się z życiem, pędzonem wśród ubóstwa i najzimniejszég obojętności! — z życiem bez myśli, czucia i wyobrażeń! z życiem, że tak powiem, instynktowem tylko! —

Może to zanazbyt mocne i oburzające ludzkość wyrażenie; lecz gdybym w tęg klasie więcej widziała religji i moralnego ukształcenia, nazwałabym jęg życie inaczej: byłoby ono arcydziełem religijnego poddania się wyrokóm Opatrzności i przestawania na swoim. —

Chorąg moje męczyły robaki; trafne lekarstwo uleczyło ją. Nie były to bowiem owe moralne robaki, rzucone w naszą duszэг ręką *ego-*

izmu lub niewyrozumiałości; nie owe, które toczą serce, gryzą duszę i wirują w myśli — o! na takie niema lekarstwa! od nich w sercu głęboka i nieuleczona zostaje rana, w duszy pusta przepaść, a w myśli, że nie powiem, rozpacz! O, biada! w czyją duszę taki się wtoczy robak! Ten choć się ujrzy w światłej i wygodnej izbie, choć go otoczą zewsząd dostatkiem, nie pragnie jednak daru życia, bo ono się dla niego wlecze wśród bolesnych wspomnień i boleśniejszej jeszcze rzeczywistości.

Zgadniesz łatwo, mój Wujaszku, że jeden z tych robaczków wśliznął się do mojej duszy, maści myśl moją, i aż w tym liście prześwieca się. Wczoraj tak mię zmęczył, że czując się osłabioną zupełnie, położyłam się w łóżko. Zapytano mię: czyli nie posłać po lekarza? — Oh! nie! dla mnie w większych udręczeniach najlepszy Bóg i religja; w mniejszych, jedno przyjazne słówko sprawi ulgę, a drugie i trzecie uleczy. Jakże często żałuję, że mi Bóg dał czucie i pojęcie; bez nich takbym może gonila za życiem, jak moja chora włościanka; bez nich, w ciemnej izbie, wśród ubóstwa, z obojętnie chrapiącym mężem, możebym była szczę-

śliwą i tylko cierpiała na robaki, które kropla szpikanardu zniszczyłyby mogła! —

Ale dosyć już na dziś, Wujaszku, bo z splinowym humorem lepiej sztor spuścić i spać się położyć.....

T.....





## LIST III.

**Odpowiedź Wujaszka.**

Jakby to przyjemnie było dla mnie, żeby zacna T... częściej doświadczała chcenia do gawędki piórkowej i darzyła nas pomysłami czulej i badawczej swój wyobraźni! Podobne gawędki robią we mnie skutki iskry elektrycznej, wstrząsają czucia wiekiem przygniecione i przenoszą na chwilę w młodociane czasy, w których mniej było rozumowania, ale więcej, nierównie więcej, prawdziwego życia, że go nazwę, eterycznego, bujającego po obszernej przestrzeni słodkich marzeń i ułudy świata umysłowego. Wówczas znalazłbym zapewne

trafniejszy wykład *robaczków*, których tak rzewne, tak właściwe dajesz opisanie.

Kobięta chora na robaki dręczące ją materialnie, osłabiające jej fizyczne zdrowie tak dalece, że nawet nie jest zdolną dopełnić najpierwszego obowiązku matki, nakarmić własną piersią wyciągającego do niej rączki niemowlęcia.

Kobięta również cierpiąca na *robaczki uczuciowe*, które między jej sercem a nerwami przewijają pasmo nudoty i wzbudzają pozorne obrzydzenie życia.

Pierwsza szuka ulgi w pomocy leczebnej, pragnie życia i zdrowia, nie dba na doskwierne ubóstwo, aby tylko zdolną była pełnić obowiązki od przyrodzenia i przez stan społeczny włożone; druga, otoczona dostatkiem, nie wie gdzie szukać zaradczych środków, chwyta się rozmaitych, a po chwili odrzuca wszystkie z odrazą, jako nieprzynoszące ulgi, i nakoniec mierzi życie. Pierwsza jest dzieckiem natury; druga, zwichniętego wychowania. U pierwszej choroba jest rzetelną; u drugiej, zle skierowanemi uczuciami nabytą. Dla pierwszej znalazłaś w twojej medycynie kroplę szpikanardu i wróciłaś jej skarb najdroższy: zdrowie; dla

drugiej nie znalazłaś zaradczego środka dla tego, że żaden lekarz nie rad sobie zaradzać, ale w cierpieniach szuka pomocy drugiego: bo ten *ja*, którego więcej jak nam się zdaje kochamy, jest pieszczoch i nie chce użyć heroicznych, chociaż cierpkich, lekarstw dla siebie, któreby innym bez zmarszczenia się przepisał.

Czy to w cierpieniach ciała, czy w chorobach uczuciowych, zabierając się do podania rady, należy piérwój zbadać gruntownie przyczynę, która wprowadziła nieporządek do naszej budowy. Przypatrzyłaś się okiem badawczém cierpienióm wiejskiej niewiasty, odgadłaś trafnie z czego pochodzą, i znalazłaś, że kropla szpikanardu zniszczy nudotę, uspokoi robaki i powróci jój zdrowie. Ale nie z taką łatwością, nie tym sposobem poznać i ocenić można chorobę na *robaczki* gnieźdzące się w sercu, nerwach i innych uczuciowych narzędziach naszych; niejednakowego one są rodzaju, chociaż podobne obudzają słaboście; a ztąd i różnych potrzebują środków do uśmierzenia cierpienia. Trzeba je rozłożyć na drobniejsze poddziały, a potém szukać bacznie, do którego należą te, co nas trapią. Nie zacieka-  
jąc się w nader szczegółową *analizę*, rozdziel-

my je tymczasem na trzy gałunki, nader bijącej różnicy:

a) *Muszki* — drobne robaczki, opatrzone skrzydełkami, ciągle z miejsca na miejsce przelatujące, uprzykrzone choremu i drugim do nieznieśnienia. Nazwiemy je dawném mianem: *muchy w nosie*.

b) *Glisty sercowe* — cieniučne jak włoski, ślizkie, zwinne, snujące się około serca, nerwów i wszędzie, gdzie tylko nudotę i niespokojność sprawić mogą; często nawet aż do mózgu załazą, i tam dziwne obudzają *fantazje*, i to są właściwe *robaczki uczuciowe*.

c) *Wężę*. — To rodzaj najjadowitszy: gryzą ciągle moralne nasze władze, nie dają spoczynku w dzień i w nocy, kręślą okropne obrazy przyszłości i do rozpaczki przywodzą chorego. Plaz ten, podobny do straszliwego *Boa*, zowie się *robak sumienia*.

*Muszki*, chociaż najmniej są niebezpieczne, najtrudniejsze przecież do wyleczenia bywają. Cierpka ta, mianowicie dla drugich, choroba zawiązuje się w nas jeszcze na ręku piastunki. Kaprysy dziecinne, napiekania się wszystkiego, są jój pojawem. Wzrasta ona z laty, a płeć niewieścia, jako słab-

szych nerwów, mocniejsze cierpi napady. Rzecz przecież dziwna, i téj słabości tylko właściwa, że dziewczęta, dochodząc do lat drugiego dziesiątka, mniej nierównie jéj doświadczają; owszem, uległość, łagodność i potulność, sprzeczne zupełnie charakterowi *muszek*, gatunkową stanowią cechę dorodnych panienek. Lecz to uzdrowienie pozorne jest tylko: rychło po wyjściu za mąż, powraca choroba z większą siłą.

Zaradcze środki są rozmaite; najpewniejsze przecież: dla dzieci uważne prowadzenie ich przez same matki, zaraz od powicia. Na mocniej zakorzenione *muszki* wyborna rada w Pismie Świętém od Mędrca Pańskiego podana, a w dawnych elementarzach tak powszechnie zalecona: „Rószczką Duch Święty dziateczki bić radzi.” —

Dla osób dojrzałych płci obojéj: obojętność na kaprysy, zręczne ukazanie ich śmieszności, czasami puszczenie fochów mimo uszy, czasami wprowadzenie w lepszy humor przedstawieniem nowego przedmiotu lub rozrywki, nakoniec, zadosyć uczynienie możliwym żądanióm, gdy te łagodnie i bez pomocy *muszek*

oświadczone zostaną; w przeciwnym zaś razie męzne i stanowcze odmówienie.

*Glisty sercowe czyli robaczki uczuciowe.*

Te, podobnie jak mole, gnieżdżą się najchętniej w drukowanym papierze, z tą różnicą, iż mole szukają starych i nadpleśniałych druków, a *uczuciowe robaczki* w świeżych i ładnie oprawnych książeczkach rade się mnożą. Skład tych żyjatek cieniuchny, giętki, prawie niedostrzeżony okiem, wije się bezprzestannie między pismieniami utworami *młodej Francji*, które z taką chciwością czyta młodź nasza. Zatopiona w tych uroczych płodach, na ich rychłym przetrawieniu dni i nocy przepędza; przeniesiona w świat marzeń, zapomina o tém, co ją otacza. Nowa moralność, w fantastycznych obrazach pojawiająca, podkopująca jawnie prawidła religji i towarzyskie ustawy, owładła wszystkie ich uczucia, odjęła rozwagę. Wszystkimi narzędziami zmysłów połykają te łakocie, gdy tymczasem *robaczki*, przewijające się po kartach wirowym ruchem, załazą im do mózgu i serca, zapalają wyobraźnię, obudzają uczucia dotąd nieznanne. Stan tak gorączkowy pomnaża się stopniowo w miarę postępu w *szalonej literaturze*. Świat rzeczy-

wisty, obowiązki stanu w społeczeństwie, uchodzą ich pamięci; budują sobie w wyższych przestrzeniach nowy, polotny, luby światek; pragną naszego ciężkiego planetę na swój ład przekształcić, i dręczą się, że tego dokazać nie zdołają. Podobni upojonym opium, pływają w najroskoszniejszych marzeniach; ale po nich, następują nudę, słabości nerwowe, spazmy, migreny, *et compagne*, różnej nazwy cierpienia, które coraz silniej budowę całą wstrząsając, nabawiają rzeczywistę choroby. Gwałtowne jej skutki zwiększają się codziennie; brzydnie życie nieszczęśliwym ofiarom własnych urojeń, i częstokroć w pół wieku kończą dni swoje.

Stan to jest nader okropny! A jeżeli *uczuciowe robaczki* w początkach cierpienia nie poskromione, jeżeli głęboko załazły i długo w nas goszczą, ratunek niepodobnym się staje, chyba brzemie srogiego nieszczęścia i nędzy przyniesie uzdrowienie. Należy zatem przez wczesne prezerwatywy, przez wybór książek dla czytania młodym osobóm ku ich rozrywce przeznaczonych, zapobiegać tak jadowitej chorobie. Rząd baczny zabrania przedawać trucizny osobóm nieupoważnionym do tego; niech-

żeby podobnym sposobem ludzie światli i sumienni odbywali sąd ścisły na zastawach granicznych o literackich płodach, jakie nam obcych pisarzy pióra przesyłają, aby ta moralna *dżuma* wzrostu nie brała. Lecz na tem nie dosyć: tryb cały wychowania młodzi, mianowicie domowego, szczególnieź dla płci żeńskiej, zmienićby należało. Uczmy ją naprzód tego, co w przyszłości główny cel ich życia ma stanowić, co ich powołaniu w społeczeństwie najpotrzebniejszém będzie; a języki obce, taniec, muzyka nawet, dziś najgłówniejszą wychowania stanowiące zasadę, niech się staną, jak być powinny, podrzędnymi, niech służą za rozrywkę i szlachetne wytchnienie po pracy, do jakiej nas religja i społeczność obowiązuje. Przyjdzie czas, zdaje się nawet, że nań niedługo czekać mamy, gdy wszyscy uznają tę prawdę, gdy pochodnia wiary, rozpędzając resztę ciemności na ścieżce wiodącej do prawdziwego na tej ziemi szczęścia, oswoi nas z nierozdzielniemi od życia przykrościami, i nauczy, gdzie na nie pociechy i ulgi szukać mamy. Z odmianą trybu wychowania, zniknie niebezpieczeństwo tak rozgałęzionej choroby *uczuciowych robaczków*, bo im odbie-



rzemy najmiłą strawę w nowomodnych romansach i powieściach zawartą.

*Wąż* czyli *robak sumienia*. Płaz ten straszliwy, olbrzymiej miary, równie okrutny jak Boa, gnieździ się w sercu występkami skalaniem. Próżno nieszczęsny winowajca szuka materialnych środków, aby go zniszczyć lub przynajmniej srogość katuszy uśmierzyć. Sumienie, obrażone spodleniem godności człowieka, chwili spoczynku nie daje; szczypie ciągle jadowitą potworę, aby nie oszczędzała swojej ofiary. Jeżeli świętej religji pomoc nie pośpieszy mu na ratunek, jeśli łza skruchy, pokory i serdecznego żalu nie zaleje jego źrenicy, nie wywoła Ojca litości, miłości i przebaczenia, „którego miłosierdzie nie ma granic, a dobrego skarbu nieprzebrany!” Niech nie szuka innego ratunku odstępcą praw Boga i ludzi; życie jego doczesne i wieczne bez powrotu stracone.

Dzięki ci, szanowna T...., że nie lubisz czytania tych uludnych błyskotek, że wolisz poważniejszymi zająć się dziełami, a i tych wybor najmiłszy dla ciebie w pisarzach ojczystych. Właśnie dla tego, chociaż cię zakli czasem *uczuciowy robak*, chociaż twoja

wyobraźnia wzniesie się nad nasz poziom na chwilę, powracasz szybko do stanu rzeczywistego życia, do zatrudnień odpowiednich twojemu przeznaczeniu. Złośliwe żyjątko, pokonane wytrwałą wolą, musi się przeobrazić w natchnienia szlachetnych uczuć, w pojawę pięknych pomysłów. Upokorzone, samo ci podaje pióro do ręki, abys nam to gładko rodowym językiem okrzyknęła, coś w owych złudzenia chwilach uczuła.—

*Wujaszek.*

*Pisałem w Krz....*

*1845, stycznia 19.*

## LIST IV.

**Siostrzenica do Wujka.**

Lubisz, szanowny Wujaszku, wśród lata, przysyłać mi piękną wiązkę kwiatów, i lubisz także przysyłać mi piękną książkę; za tę więc dwoistą przysługę, tak dla mnie miłą, odpłacę ci się dzisiaj *kwiatnikiem książek*. Będzie to wdzięczności fantazja za kwiatki i książki, którem nieraz miała od szanownego Wujaszka—bo mi na sercu była grzeczność i dobroć Jego—fantazja, którą proszę przeczytać z pobłażeniem: bo wszak wiesz, mój Wujaszku, że ja mało mam zdolności do pisanja, i piszę dla tego tylko, bo chcesz tego, bo mówisz, że to cię bawi.

— Nie prawdaż, że kwiaty i drzewa, co się wznoszą wśród łąk i ogrodów naszych, z pośród téj mieszaniny ziół, traw i krzewin różnych, są najpiękniejszą ich ozdobą? Pierwszych kształt, woń i różnobarwność mile zajmują wyobraźnię i zachwycają oczy nasze; drugie podziwiają nas swym ogromem i dobroczynnego udzielają cienia. Pierwsze mile i zajmujące; drugie pożądane i upragnione.

I świat w ogólnym rysie wzięty jest nakształt łąk i ogrodów: na nich i większe i drobniejsze krzewiny, i kolący oset, i gorzki piołun, i blahy passorzyt, i wybujała dziewanna, mdła i miła powojka, i krasno-pyszna lilja (kościelna), i inne rozmaite ziele i kwiecie rosną. To zmieszane niby w gromady społeczne, to niby w kupkach pokrewnych, to gdzieś tam wśród innych poziomych i niskich trawek, zblakany i kryjący się wzrasta wdzięczny fijałek, lub tkliwa niezabudka; słowem: tak rozmaity i charakterystyczny obraz łąk, jak rozmaity i różny obraz społeczeństw i charakterów ludzi, po nich się przewijających.

Lecz wśród téj mieszaniny żyjących roślin, wznoszą się bujniejsze łodygi, i na nich

się zwijają urocze kwiatów korony, wonne, ponętne i barwne.

I wśród tego tłumu ludzi, wykwitają genjusze piękne, urocze i porywające, lub uludne, a twory ich pomysłów zwijają się w drukowane książki ich genjuszów.

Bo świat w ogóle wzięty jest naksztalt łąk i ogrodów, a świat literacki naksztalt drzew i kwiatów barwiących je. Bo książki są najpiękniejszymi kwiatami wykwitłymi z duszy, rozumu, serca, pojęcia i wyobraźni ludzi.

Kto staranniej koło swego krząta się ogrodu, temu piękniejsze nad inne wyrastają kwiatki; z czyjego umysłu grządka staranniej uprawiona, temu wykwitają pomysły żywsze, bujniejsze, trwalsze i piękniejsze. Na łące i w ogrodach zbierane kwiaty tworzą piękne bukiety, wzory dla malarzów, i ponętne dla zbierania; i kwiaty genjuszów, to jest, pomysły ich, wyciśnięte na papierze, tworzą piękne biblioteki, ponęty czytelników. A jak kwiaty dla miłośników natury, tak te dla czytelnika są mile, zajmujące, pożądane i upragnione.

Jeszcze, mój Wujaszku, nim poszczególnie mówić będę o rodzajach książek i podobieństwie ich do kwiatów, napiszę ci kilka ogół-

nych rysów jednych i drugich, zbliżających to podobieństwo. I tak:

Są drzewa, które bujnie wzrastają i cień swój szeroko dokoła rozpostrzeniają; a zdala drogę wskazując zbłąkanym podróżnym, zmordowanych znojem i upałem chłodzą i orzeźwiają swym błogim cieniem; jak tkliwa matka na swém łonie, darzą go snem wypoczynku i pokrzepiają zwątłone siły.

I są książki, które człowiek znękany wirem życia, upałem uczuć i namiętności, chciwie przebiega, bo w nich radę, ulgę, pokrzepienie i ochłodę znajduje; a zasilony tém czytaniem, wznosi się w górną nadziei krainę, i tam wzrok duszy jego z upojeniem spoczywa. Tam odżywionych uczuć zapasem pędzi dni życia swego błogo, pokrzepiony i niejako obwarowany na wszelkie przygody. Bo drzewo błędnemu podróżnikowi zdaleka drogę wskazuje; bo taka książka jakby za rękę wiedzie błędnego człowieka i chroni go od upadku.

Są kwiatki, które nie znoszą letniego słonecznego skwaru, a dopiero z powiewem wieczornego wietrzyka rozkwierają się mile, napawa-

ją się wieczorną rosą, i w jej kropelkach lsknią odblaskiem łagodnego księżycza.

I są książki, które dla namiętnego i burzliwego czytelnika są niedostępne. Bo jak skwar słoneczny kwiatek zawiera, tak wrzący wir namiętności nie chce przyjąć do swego łona ożywnych rosy kropelki, które one ze swego kielicha zwolna i łagodnie sączą. Lecz powolniejszy czytelnik przyjmie w swą duszę przekonywającą prawdę, i ożywne jej rosy kropelki, i blask jej, w życiu czynném odbije.

Są kwiatki, które jakby niechętnie ukazują się ze swych obłonek, lecz je woń zdaleka zdradza; a kto znajdzie luby kwiatek, nie żałuje trudu szukania, i uradowany, wraca do domu.

I są książki bez szumnych i wydatnych tytułów, przecież skwapliwie je wyszukują; a kto je przeczyta, tego dusza napoi się słodką, niewinną, wewnętrzną roskoszą, i chętnie po tem czytaniu, wraca do zatrudnień właściwych sobie z nową troskliwością i cierpliwością.

Lecz są kwiatki, które ludząc ponętnym pozorem, wiele szkodliwego mają jadu, a z u-

pajającą wonią mile i uroczy jad ich wkra-  
da się do serca, pozbawia prawie nas przy-  
tomności i zwolna niszczy życie.

I są książki, które ludząc ponętnemi ob-  
razami, uroczym stylem słodko nam zapra-  
wiają zjadliwą i niszczącą truciznę, którą  
wszystkie ich tchną kartki; a czytelnik, chei-  
wie je przebiegając, kończy książkę z głębo-  
ko częstokroć wkorzenionym, a czasem i wy-  
hubiałym już zarodem, niszczącym życie jego  
moralne.

I takie są kwiatki, które nęcą blaskiem,  
wonią i kształtem, a za bliższém dotknięciem  
ich, zlekka nas bolem ubodą.

I powabne są książki, słicznie pomysłane i  
i pięknie napisane, co pod barwnym pozor-  
rem lekko nam wady nasze wytykają, których,  
zaslepieni miłością własną, nie postrześliśmy  
w sobie.

I nareście, są piękne, okazale kwiaty,  
które i oczy i inne zajmują zmysły; a patrząc  
na nie, mimowolnie serce nasze ulata wyżej  
i wyżej, aż do ich Stwórcy.—

I jakże wiele takich książek, które zaj-  
mując nas mile, wwodzą niejako w uroczą  
myśli i marzeń krainę, tak miłą, tak błogą....



i nawet nieszkodliwą, gdy w pewnych granicach — gdy nazbyt nie wybuja. Bo i cóż to szkodzi trochę pobujać, pomarzyć czasem, w wolną od zatrudnień chwilkę? Świat rzeczywisty często tak gorzki i zatruty! Błogosławim miłą książkę, która, odrywając nas od poziomu, wznosi czucia i myśli wyżej i wyżej; byle ich tylko nazbyt nie wywichnąć, nie przekształcić w jakiś dziki i szalony świat, który spadającym z niego, wszystko dokoła mierzi i obrzydza.

Lecz boję się już, mój Wujaszku, gdybyś nie znalazł nazbyt długim i nudnym ten rozbiór i porównanie; kończę je więc tą uwagą, że na każdym tworze spoczął ułamek myśli Stwórcy; tylko miejmy oczy do wykrycia go, serce do pojęcia i wolę do naśladowania.

I Stwórca w duszę wielu ludzi wlał rozum, czucie i pojęcie wyższe, które prostują nas i oświecają; tylko abyśmy sercem je pojmowali i stałą wolą skorzystali z tego promyka mądrości Twórcy, który zajrzał do duszy wybranych przez Niego istot; aby go nam jasno i ponętnie wytłómaczyli.

Lecz jak różne są rodzaje kwiatów i ludzi patrzących na nie, tak różne są rodzaje

czytających. Jednych i drugich, trzy wybitniejsze charaktery: *człowiek i czytelnik motyl*— *człowiek i czytelnik pszczołka*— *człowiek i czytelnik gąsiennica*.

Pierwsi, to jest, *motyle*, jak te istoty płochy, polotne, pstrę; bujają wprawdzie, lecz nisko, poziomo; i tu chwilkę, i tam chwilkę; w tém miejscu to go znęci, tam owo. Pierwszy bez myśli i uwagi patrzy na kwiatki, drugi bez korzyści i uwagi przewraca książkę.

Różny zupełnie rodzaj *czytelników i ludzi pszczołek*. Oni wszystko pilnie i starannie zbadają, i wszędzie wynajdą pożywną kropelkę słodyczy, a nawet z zatrutych oddzielą ją kwiatów, i nawet z zatrutych wysysają książek.

O jakże nieskończenie odmienny od dwóch pierwszych poprzedniezych rodzaj *czytelników i ludzi gąsiennic!* i jak te owady wszystko brudzą swoim dotknięciem, tak tamei zarażają wszystko jadem brzydkiej swęj duszy. Oni w pięknym kwiatku widzą tylko drobne jakieś *atomy*, ręką przypadku lub trafu zwinione w całość, które również traf niszczy. Bo żaden piękny widok ani utwor w przyrodzeniu nie zwróci wyżej myśli ich, nie ukorzy bardego czoła przed jego Twórcą;

wszystko chcą wyklądać swoim sposobem, swójm jakimś materjalnóm tlómaczeniem. I czytelnicy takowi najszczytniejszą prawdę w książkach brudzą swém tlómaczeniem, naginając wszystko najświętsze i najprawdziwsze do swego potępionego materjalizmu.

Teraz, mój Wujaszku, zblizka, poszczególnie i porządkiem pozwól mi się przypatrzeć rodzajóm książek i kwiatków.

W całym tym *kwiatniku* dwa tylko umieszczę drzewa: *cedr Libanu* i *palnę oazy Arabji*, bo te dwa najokazalsze, najtrwalsze i najwzynioślejsze; i między wszystkiemi książkami, dwie najświętsze, najszczytniejsze i jedyne w swoim rodzaju: *Stary i Nowy Testament*. Te dwa drzewa nieporównanie wyżej wznoszą się nad wszystkie inne; a jak wzrok gubi się, mierząc ich wzniosłość, jak pojęcie maleje w obec tak wspaniałego dzieła Twórcy, tak pojęcie i wzrok duszy, korzą się przed świętymi tych ksiąg prawdami. Pierwsze wzniosłe, daleko dokoła cień swój rozpostrzenia, zdala błędnemu podróżnikowi drogę wskazuje, i roztaczając szeroko swe konary, zdaje się niemi widnokrag obejmować, zziajanym lu-

dzióm cienia dobroczynnego w skwarze dnia użycza, a w burze i ulewy jakby opoką osłania. Jakże pożądany, jak rajski widok zbłąkanym w stepach Arabji, widok niebotycznej *palmy oazy!* Zbłąkany wśród śpiekłych piasków, czując żar pod nogami, jakże bieży do niej! bo tam i ochłodę, i cień, i źródł żywy zazwyczaj znajduje; i człowiek blakający się wśród stepów życia, z żarem uczuć i namiętności w łonie, jakże uleczaający źródł, jak dobroczynny cień znajduje w naukach świętych ksiąg *Starego i Nowego Zakonu!* Bo cóż go w niedoli pocieszy? co smutek ulży? co nadzieje pokrzepi? co zbawienną postępowania wskaże drogę? w namiętności powstrzyma?—te to święte księgi, i ich zbawcze nauki! One z nad przepaści wydzwigną człowieka i wzniosą go ku sobie—ku swemu Twórcy!

Ale nie dla wszystkich czytelników równie korzystne te księgi — Biada im!

*Czytelnik motyl* płochym swym wzrokiem szczytności ich nie zmierzy, nie pojmie—Biada mu!

*Gąsiennica.* Próżno wierci i szpera; korę tylko drzewa lekko zadraśnie, a cedr i palma, jak pierwój, pozostaną niezwiędłe, niebotycz-

ne, okazałe: bo drdzeni ich nie nie uszkodzi i nie zabrudzi. Szczęsny jeszcze brzydki twór, gdy w korze drzew tych potrafi znaleźć szczelinę do swego przeobrażenia się na schyłku zwierzęcego życia. I czytelnicy tego rodzaju próżno wiercą i brudzą święte ksiąg tych wzory i nauki, które z litością i pobłażeniem zdają się oglądać na te wysilenia próżnych i samolubnych umysłów. Te nihy, na czas niejakiś, zachwieją powabem nowości umysły zbyt łatwowierne; lecz one później z tém korniejszą wolą, z tém czystsza wiarą, wrócą na ich łono dobroczynne i ożywne. I tamci najczęściej na schyłku dni swoich uciekają się z upragnieniem na łono ksiąg świętych. Te przyjmą i przytulą zbłąkane swe dzieci, ożywią posilnym zdrojem i swym cieniem ochłodzą.

Tylko *czytelnik pszczołka* cześć im głęboką oddaje, cześć zachwyconej duszy i wzruszonego serca; a jak pod drzew tych cieniem, tak na ich łonie, używa dobroczynnego spokoju i ochłody.

Nie chciałem, mój Wujaszku, między ziemskich genjuszów kwiatki mieszać tych książek; ale sam chciałeś, gdybym je umieściła, sam mi

nawet myśl cedru podałeś. Teraz wszystkie inne książki już tylko do kwiatków porównywać będą.

I tak: *wszystkie historyczne książki* wydają mi się podobne *do róży*; naprzód, z kształtu: *róża* składa się najpierw z drobnych niekształtnych listków, najczęściej uszkodzonych, nim się zwinie jej korona w te żywe, barwne, kształtne i wonne listki; a i między temi jeszcze jakże się wiele znajdzie nieforemnych, uschłych i bladych! I *dzieje narodów* naprzód składają się z urywkowych i niepewnych podań, baśniami oszpeconych i skrzywionych, nim się wywinie *historja* pewna. W tej zazwyczaj, nie same dzieje piękne i czyny szlachetne: wiele zaburzeń, nadużyć dumy i gwałtownych namiętności. I w koronie *róży* wiele listków niekształtnych, uschłych i bladych. Bliziej rozważając *różę*, znajdziem w niej kolce, mniej więcej bodzące. Uważnie roztrząsając *historję*, wiele kolących błędów i zawichrzeń! których, jak ciernia kwiatka, strzedz się nam należy.

*Róża* na uprawnej tylko ziemi pięknie i bujnie wzrasta; głowa tylko uprawna i pełna zdrowego rozsądku, poda nam dzieje prawdzi-

we i uczące. Na pustej i jałowej ziemi głóg rośnie; pusta i jałowa głowa baśnie pisze, niegodne nazwiska *historji*, jak głóg niegodny róży imienia.

Na róży często motyle siadają, uchwycą kropelkę jej słodyczy i lecą dalej—i drugiej szukają róży, lub innemi na chwilkę zabawiają się kwiatkami, zapominając o piérwszych; a gdy zima nadejdzie, *motyl* z głodu ginie... Jakże wiele takich czytających *motylów*! Lecz są pracowite *pszczółki*; te starannie słodycz róży zbierają, a skrzętnie ją chowając, i same się żywią, i innym rokosznego dostarczają pokarmu.—O! wyznać z chlubą potrzeba, wiele takich *czytelników pszczołek* mieliśmy i mamy w każdym zawodzie, i w każdej klasie społeczności!

Dalej: *wszystkie filozoficzne książki* zdają mi się podobne do *zawilca*. On z bagnistej i mętnej wyrasta kałuży, i wznosi się nad nią złotą koroną w kształt róży zwinioną. O, z iluż to mętów i nieczystych kałuż wykwitła czysta, prawdziwa i jasna filozofja, i zwinęła się w systemat tak jasny i przejrzysty!—Jak listki *zawilca*, choć zwinione na pozor, jednak łatwo dają się rozdzielić i rozwinać, tak

prawdy czystej filozofji dają się pojąć i zastosować. Korona *zawilca* zwraca się ku słońcu i uchyla się przed niem; prawdziwa filozofja gruntuje się na wierze i cześć Twórcy oddaje.

Często z *zawilca* drobne, czarne, brzęczące, dają się widzieć *gąsiennice*; często słyszym płaskich, fałszywych i szumnych filozofji krzykaczów. Lecz jak tamte owady nie mogą zupełnie zniszczyć korony *zawilca*, i póty w nim tylko goszczą, póki im słodyczy dostarcza, a trwalszym jej cząstkóm nie mogąc poradzić, odlatują kwiatek, tak i tamci często usiłują fałszem i błędem skazić czystą filozofji naukę; lecz jaśniejszym jej prawdóm uszkodzić niezdolne, zmykają, zostawiwszy po sobie szum i brzęk, najczęściej czezych wyrazów i fałszywych wyobrażeń. Mimo to jednak, łatwo znaleźć piękny kwiat: on zdaleka świeci, żywo nęci farbą i wonią; i łatwo rozróżnić prawdziwą od błędnej, mętnej i zarozumiałej filozofji: pierwsza jaśnieje żywo, duszę wznosi, serce pokrzepia i rozum prostuje.

Teraz wszystkie te *książki*, co nam malują jakies czyny *światne ludzi wielkich*, obrazy



*i pamiątki narodowe, wszystkie historyczne lub domowe zacnych mężów sprawy, ja porównywan do nieśmiertelki, która, jak one, zawsze nam mile świeci. One zazwyczaj rosną na mogiłach, i tam nigdy nie usychają; te przechowują się w czułych serecach i tkliwej pamięci, i tam nigdy nie więdną. Bo pamięć i serce jest niezwiędłą przeszłości mogiłą, z której wykwita nieśmiertelka czucia i wspomnień. I jak ten kwiat rosnący na drogim dla nas grobie zdaje się mieć jakiś blizki związek z lubą nam zmarłą osobą, tak również i takie wszystkie opisy wiążą nas niejako ściśle i rzewnem do ogniwa łańcucha, spojenego ze wspomnień lubej lub drogiej nam przeszłości.*

*Wszystkie piękne i wzorowe poczje, są to lilje. Jak one świeże, wonne, wspaniałe i zachwycające, tak tamte żywe, mocne, pociągające i wzniosłe. Lilja pysznie i mile kwiatnik zdobi a wonią do zachwycenia upaja; poezja życie umysłowe ubarwia, kształci serce, i duszę wznosi w krainę zachwycenia. Lilja, jak królowa kwiatów, wznosi wśród nich białe, wyniosłe i poważne czoło; poezja, królewski kwiat czucia i wyobraźni, jest naprzemian*

poważna, czuła, rzewna, zachwycająca i wielka.

Wszystkie *wzorowe, moralne książki i powieści* także są, jak *niezabudka* lub *fijałki*. Miłe i niezatarte robią na nas wrażenie te kwiatki; miłe i niezatarte robią na nas wrażenie te książki. Niebieska *niezabudka*, drobna, żywa, jasna, skromny i zachwycający *fijałtek*, wszystkich nęca, i *pszczółka* starannie na nich miodek zbiera; *moralne książeczki*, zwłaszcza w *powieściach*, czyż nie tak nęca, bawią i poruszają *czytelnika pszczółkę*? Tylko płochy *motyl* igra z nimi bez korzyści; tylko *czytelnik motyl* za chwilę znudzony rzuca książeczkę, którą przebiegał bez pożytku. Lecz jak starannie wyszukujem *fijałków* i skwapliwie zrywamy *niezabudki*, układamy w równianki, zanosim do domu, skrapiamy wodą i wzrostowi ich przypatrujemy się z lubością, obysmy tak mogli zrywać *moralne* z tych książek *niezabudki*, krzepić ich wzrost szczérą wolą i stałą chęcią, a potem z taką rokoszą patrzeć, jak staraniem naszym pielęgnowane, żyją w duszy naszej i krzewią się w sercu.

Teraz, te wszystkie *książki*, tak *na pozor wabne, pociągające i błyszczące*, lecz w grun-

cie *podkopujące czyste, święte moralności zasady*, zabijające, że tak powiem, *moralnie niewinne dusze*, ja porównywan do *naparstnika* — kwiat ozdobny, żywej farby, nęcący; lecz w nim zjadliwa trucizna tém niebezpieczniejsza, że tylko umysł truje i szaleństwa nabawia. Lepiej zaiste zabić od razu, niż o taki stan przyprawić. Ach iluż widzimy czytelników takich książek w moralném obłąkaniu! Błyszczą oni na pozor jakby dowcipem, bo zazwyczaj pięknie i płynnie mówią; lecz rzeczywiście wiara ich i moralność wywrócone, społeczność gorsząca. W błyszczącym welinowym kielichu tego świata gnieździ się jad szkodliwy; w welinowych kartach takich książek mieści się jad zabójczy obyczajów i wiary.

Jakże porównać te *nadęte, szumne, z niezrozumiałemi wyrazami i treścią książki*, rzeczywiście *puste*, lecz *brzęczące w uszach i świszczące w myśli*? Są to owe puszki *polnej cykorji*, zdała tak połyskujące się, nastrzępione, lecz zaledwie się ich dotkniemy, uleci daleko, rozproszy się lekki, błyszczący, nastrzępiony puszek, a tylko pstra łodyga w ręku pozostanie, którą odrzucim z gniewem, żalując, żeśmy się napróżno po nią schylali.

Wszystkie *drobniejsze poezji twory*, *żywego czucia i wyobraźni*, ja porównyвам do *rezedy*. Miły to kwiatek! choć drobny, skromny, ale nader przyjemnie wonny; nie iskrzy się barwą, a przecież się podoba, i chętnie roślinę tę pielęgnujem; miła, ulotna *poezja*, gdy zgrabna i zwrótna, czuła lub rzewna, czyliż się każdemu nie podoba? czyż nie odczytujemy jej chętnie, sercem i pamięcią powtarzając?

Nareszcie te wszystkie *drobniejsze pisemka ulotne perjodyczne*, i inne tym podobne, są naksztalt *drobniejszych kwiatków* z mniejszą lub większą wonią, bladszą lub żywszą krasą, których tak pełno po łąkach naszych. Niektóre ponętne, i chętnie je zrywamy; innych barwa żywa lub kształt zabawia nas na chwilę; niektóre przelotnego nawet spójrzenia nie zasługują. Nieraz na łące zdala wabniejszy i okazalszy znęci nas kwiatek; lecz nim do niego dobieżymy, ileż to roślinek ugniata stopa nasza! Również i książek podobnych dużo czasami kartek przerzucić trzeba, nim trafimy na jakiś pomysł oryginalny i piękny. Jest to wielka przyjemność popatrzeć na ubarwioną kwiatami łąkę i spocząć chwilę na niej;

jest to wielka przyjemność z dobrą w tym rodzaju pobawić się książką. Nieraz na łące zdarzy się ujrzeć nowy, nieznaną, śliczny kwiatek; i nieraz w takiej książce spotykamy talent nowy, nieznaną, oryginalny i prawdziwy.

Ale czas już zakończyć ten list tak długi, przewlekły, nudzący zapewne Wujaszka. Jego to wprowadzie wina, że zawsze mię zachęcasz do pisania i właśnie podobasz sobie w skreślaniu moich marzeń.

T.....

LITERATURA.





## II.

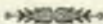
# LITERATURA.

.II

.ASUTASETIC



## K o ś c i o ł .



W niemieckim mieście, gdzie cicho, jak w wiosce,  
 Obey, nieznanym pielgrzym nikomu,  
 Dumał i marzył o zwykłej trosce,  
 O swój podróżny, o swoim domu.

Wspomnień różaniec on wydobył z łona,  
 Każdy paciorek ze łzami witał;  
 Ach! kiedyż spadnie życia zasłona?  
 Gdzie klucz zagadki?—sam siebie pytał.

Dziewięć był mglisty, posępny i wietrzny;  
 Wiatr smutną piosnkę pocichu dął—  
 Wtém, z wież kościoła, głos napowietrzny  
 Zdaleka wzywać pielgrzymy jał.

Pielgrzym w tę stronę zwrócił myśl i oczy,  
 Kędy się skarżył miedziany głos,  
 Kędy nad miastem w nieba przezroczy  
 Olbrzymią kościół wieżycą rośl.

—Katedro stara!—dumał nieznajomy—  
 Twój szczyt wywiodły miłość i wiara;  
 Pod płaszczyk twój cieni garną się domy;  
 Matką-li czuwasz? katedro stara!—

Olbrzymie stary! jesteś dziełem trwogi—  
 Duma dźwignęła twój skład poczwarny.  
 Czyś gród podesłał pod swoje nogi?—  
 Czyś tyran dziki?—czyś genjusz czarny?

O gmachu stary! zbawczym-li fanalem  
 Świecisz żeglarzóm na morzu duszy?  
 Jesteś-li skałą, gdzie, gnana wałem,  
 Zbyt wątła myśli łódka się kruszy?

Wyjaw, o wyjaw, świątynio tajemna!  
 Jaką myśl kryjesz, jaki sąd Boży?  
 Bo twój kształt groźny, twa postać ciemna,  
 Dręczy myśl moję i serce trwoży.—

I ku świątyni szedł smutkiem przejęty;  
 Lecz gdy ją zbliżka zmierzył oczami,  
 Uczul pociechę i zapal święty,  
 I uczucia swoje objawił łzami.

Na stare mury, u gmachu podnoża,  
 Jak welon lekki, różowy, lśknący,

Zachodni promień, wieczorna zorza  
Rzuciła światło, blask czarujący.

Tam, na krużganku, piastunki i matki,  
Kaźde z niemowlem, siedziały wkoło,  
A tuż, pod okiem, starsze ich dziatki  
Biegały sobie rzezko, wesolo.

Ze szczeliny muru i ze framug głębi,  
Deszczem splókany zwisał bluszcz świeży;  
Wysoko w górze stado gołębi,  
Gruchając, wkoło bujało wieży.

I stary kościół uśmiechać się zdawał,  
Jak dziad, co wnuków swych uszczęśliwi—  
Pielgrzym pokojem serce napawał,  
Odmawiał pacierz nabożniej, tklivięj.—

Bracia Chryścejanie! do świątyni owej  
Podobny kościół, co nas jednoczy:  
Zdaleka widok jego surowy  
Płoszy roskosze i świat nam mroczy;

Ale kto bliżej pozna jego prawa,  
Uczuje słodycz pociechy Boskiej,  
Ustąpią z łona jego obawa,  
Wątpliwość, chucie, znikome troski.

Tysiąc harmonij cudnych go owionie,  
Rzewne kwilenie i głos radości;  
Niewinność jasną tam szatą płonie,  
Tam czule grucha gołab miłości.

*Igu. Chr.....*

\*\*\*\*\*

---

## B a r k a r o l a.

---

Po Weneckim morzu, w dali,  
 Cudzoziemca łódka młnie;  
 On chce słuchać szmeru fali,  
 Lub w rokosznym marzyć śnie.

Niechaj fale łódź kołyszą,  
 Wolnym tchnieniem, wietrze, więc!  
 Może myśli się uciszą,  
 I na sercu będzie lżej.

Ach! tu trwałeŝ kraj pogody;  
 Laury, mirty, w słońcu lśnia;  
 Wieczny urok wiosny młodej;  
 Melodyjne śpiewy brzmią.

Tutaj marzyć, tutaj śpiewać,  
 Gdy się serce z łona rwie,  
 Tłumione uczucia wylewać,  
 W czarnookiej kochać się—

Tu się wszystko wkoło śmieje,  
 Tutaj słońce, wznosząc skroń,  
 W serce więcej szczęścia leje,  
 Więcej blasku w głębie toń.

Lecz te głosy, lecz te wonie,  
 Tych przemienionych krocie farb,  
 Nie zagaszczą w jego łonie,  
 Nie dla niego jest to skarb.

Pamięć czasu minionego,  
 Przeszłe błędy, walki, szal,  
 Uderzyły w piersi jego,  
 Jak burzliwy morski wał.

I cierpienie, jak cień chmury,  
 Zasepiło jego skroń;  
 Spojrzał smutno w nieb lazury,  
 Spojrzał dziko w jasną toń.

*Tenże.*

**D o . . . . .**

Co mi oczy zaciemia?  
 Co jasny mięsza wzrok?  
 Promieniami złotemi  
 Rozjaśnił, z nad doliny,  
 Gęste miesiąc mgły.  
 To niebo — to ziemia. —

I spojrzę w niebo.... w niebie, tam jedyny  
 Mój wielki, wieczny Bóg....  
 Na ziemię.... co mnie ziemia.... co na ziemi?  
 Tylko jedna ty! —

Zkąd mi marzeń mieszaniina mętna  
 Nasuwa myśli rój?  
 To surowa, to śmieszna,  
 To wesola, to smętna,

To rokoszna to krwawa,  
 To pobożna, to grzeszna;  
 A każdej sroga moc  
 Tysiące ran zadawa.

Gdzie nie rzucę wzrok mój:  
 W pół-jasną noc, czy w pół-ciemny dzień?

Wszędzie śmierci krwawy trop.  
 Na ziemi wszystko cień,  
 Na ziemi wszystko noc,  
 Na ziemi wszystko grób.

Cyt!... co tam w oddaleniu  
 Dźwięk roznosi srebrzysty?

Ach! to chłodny i czysty  
 Strumyczek po kamieniu.—

I jasność słońca rozżarza,  
 Rozświeca bladość dnia.—

Na ziemi kwitnie kwiat,

Na ziemi szumi gaj,

Na ziemi żyję ja,

I ty moja kochana.

Na ziemi dla mnie świat,

Na ziemi dla mnie raj.

Lecz chłodny wiatr powieje,

Strumyka zamrze bieg;

I zieloność drzew zginie,

I kwiat świeży zwiędnieje,

Wszystko zniknie i minie—

Ach! i nasz minie wiek.

Na wszystko śmierć i zguba  
 Rzwawą paszczę otwiera,  
 I wszystko leci tam...  
 Wszystko ginie, umiera...  
 Ach! i ja umrę sam,  
 Ach! i ty moja luba!—

I w niebo zwróć mój wzrok;  
 Tam myśl moja ulata,  
 Gdzie żadne cieniów mgły  
 Nie émią jasności dnia,  
 Gdzie wieczne trwają lata,  
 Gdzie wieczny mieszka Bóg,  
 Gdzie wieczny będę ja,  
 Gdzie wieczna będziesz ty.—

*Walerjan Grzymałowski.*



## Izmael i Marja.

### *Improwizacja Greka w kawiarni Smyrnięskiej.*

Błogo mi z wami! w błogim pokoju  
 Zwolna zabywam przeszłego znoju,  
 Pokaleczone zdrowieją nogi,  
 Z serca uchodzą żale i trwogi,  
 Na poręcz sofy głowa się składa,  
 Na stróny cytry sama dłoń spada,  
 I dzwonią stróny, i marzy głowa —  
 Słuchajcie, będzie powiastka nowa. —

Wziął srogi tygrys Damaszek łupem,  
 I ten raj ziemski padł przed nim trupem;  
 On trupa swojej dał żarłoczności,  
 A swym szakałom rozrzucił kości;

I jeden szakal ten gród zagrabił,  
 Drugi ten, trzeci najgorszy dlabił  
 Cichą swą pastwę, gniazdo naszój wiary,  
 Gród święty, grzeszny, Jeruzalem stary.  
 Dla trzody straszne lwy i szakale,  
 Lecz orzeł o nie nie stoi wcale;  
 On śmiałem skrzydłem kędy chce toczy,  
 Szponem i dziobem urąga w oczy.  
 Orły pustyni, Arabi nie chcieli  
 Uginać czoła, że inni gięli,  
 Że wielkie grody, chroniąc ostatki,  
 Szły dobrowolnie w rzezuicze jatki;  
 Nie chcieli oni iść ich przykładem.  
 Wzrosłszy swobodnie w pustyni z gadem,  
 Jak gad pustyni z wrogiem, co drażni,  
 Kończyli śmiercią, wolni bojaźni.

Zżyma się, złości, Damaszku Basza,  
 I swych sąsiadów na łowy sprasza,  
 I strojno, zbrojno, jedzie na łowy  
 Polować w stepie wiatier stepowy.  
 Wiatier miał rozum, Baszę zrozumiał,  
 Wiatier miał skrzydła, ulecieć umiał.  
 Basza pustynię opędził kółem,  
 I z pustą dłonią, i z chmurném czołem,  
 Wrócił jak wyszedł strojno i zbrojno,  
 A w jego ślady biegł Arab z wojują—  
 Choć nie czyniący tyle zachodu,  
 Stokroć szczęśliwszy z świętego grodu

Wyszedł Motsalem (\*), lecz nie dziw temu,  
 Bo wróżbit porę wywróżył jemu,  
 Wywróżył porę, nasłał tumany...  
 Izmael, jak ptak na lep schwytyany,  
 Padł w Motsalema napięte sieci,  
 A z nim połowa Huadych dzieci (\*\*).

Izmael orzeł, ten lew pustyni,  
 To słońce, które dzień z nocy czyni,  
 Ta manna, którą Huadym z nieba  
 Posłał Bóg, gdy go prosili chleba—  
 Izmael upadł; wszak na Libanie  
 I cedr upada, gdy pora stanie;  
 A choć nie pora, jednak upada,  
 Kiedy zły człowiek topor przykłada.  
 Izmael upadł, lecz nie wprzód z dłoni  
 Uroni wiernej ojców swych broni,  
 Aż z piersi ducha uroni.  
 Izmael upadł, a przy nim kołem  
 Gorący piasek skrwawioném czolem  
 Nakryli mężne Huadych dzieci,  
 Wierne swój sławie, co z wieków świeci.  
 Lecz cóż po jabłku morza martwego,  
 Gdy usta popioł zasypią z niego?  
 Lecz cóż po sławie, gdy za nią w ślady  
 Idzie płacz gorzki, idzie żal błądy?  
 Marny zarobek! zdobycze próżne!

(\*) Nazwisko dawane rządcy Jerozolimy.

(\*\*) Nazwisko jednego z plemion arabskich.

Białe namioty swe skrzydła podróżne  
 Po nad zieloną oazą wznoszą,  
 Do wczasu dzieci Huadych proszą,  
 Biegną w namioty Huadych dzieci,  
 Lecz nie dla wczasu, bo z niemi leci  
 Boleść i rozpacz . . . . .  
 Wyją ojcowie, jęczą matrony,  
 Targają krucze warkocze żony,  
 Córki szakałą żalością głoszą,  
 Synów się piersi z płaczu zanoszą,  
 Drobiazg na starszych patrząc wrzeszczy.  
 Dawno nieszczęście konia duch wieszczy  
 Przeczuł, przewidział, zwieszając głowę,  
 Teraz łzy z oczu ronił perłowe.  
 Smutne wielbłądy nie żując stoją,  
 Wzdychaniem żalność zdradzają swoją;  
 Trzody przy studni skupione ryczą,  
 Nie piją wody, snąć je goryczą  
 Smutki zatrwały.—

Nie tak się dzieje,  
 Gdzie Motsalema dworzec bieleje,  
 W pysznej komnacie, w której fontana  
 Gra pieśń uroczą do zmroku z rana.—  
 Tam puste śmiechy, tam pieśń wesola  
 Na złotych strónach radość rozstrzela,  
 Tam po marmurach wieszając wieńce,  
 Wzięli się powój z różą za ręce,  
 Tam z jednej strony swe paw roztoczy  
 Naprzeciw słońca tysiące oczy

A z drugiej ptactwa rajskiego rzesza  
 Stokolorową chorągiew wieszca.  
 Tam grono dziewie, jak wkoło słońca  
 Grono gwiazd, świetny marmur potraça,  
 I lekki taniec prowadzi wkoło,  
 Śmiejąc się, nócąc, gwarząc wesolo.  
 Lecz Motsalema fontana nie bawi,  
 Ani blask pierza rajskich i pawie,  
 Ani królewski ten kwiat różany,  
 Ni odalisek czarowne tany;  
 Ale go bawi, szczęściem rozmarza  
 Zwycięstwo, które ślepy los zdarza.

Śmieciem pod jego stopy rzucony,  
 Okaleczony, zesromocony,  
 Lecz nieczujący sromoty swojej,  
 Zalegał trupem na szczątkach zbroi,  
 Co jak on przeszła niedolę wojny,  
 Jakiś wojownik, dziś trup spokojny.  
 Krew zapieczona czerniła lice,  
 Bielmem świeciły martwe źrenice,  
 A usta! usta, wyrojem—muchy.  
 Istny trup.... tylko niekiedy głuchy  
 Oddech, co z jego piersi wylata,  
 Mówi, że jeszcze on z tego świata,  
 Że nitką życia boleści książe  
 Jeszcze z tym białym światem się wiąże,  
 Małeńką nitką, co zerwie dziecię.

Hej! hej! za morza myślą gonicie,  
 A za plecami śmierć stoi z kosą;  
 Orle was skrzydła do nieba niosą,  
 Tylko że błoto pióra zalepia,  
 Młynowy kamień do nóg się czepia.  
 Co to nie roił Izmael młody,  
 Na jakie rano wstawał on gody!  
 Szcześnie z nim w upał sorbet dzieliło,  
 Za niewolnika w wieczor służyło;  
 I nie tak czysta w wielbłądzie woda,  
 Jak czysta była w duszy pogoda,  
 Kiedy ten piorun spadł mu na głowę.

Motsalem oczy swe szakalowe  
 Puści na paszę, i ani spocznie,  
 Tak je na jeńcu pasie żarłocznie;  
 Dobywa kindżał, obraca w dłoni,  
 Pomyśli, kindżał do pochwy schroni,  
 Starego z miasta wzywa lekarza  
 I te pół-prośby, pół-groźby powtarza:

— „Słuchaj ty stary, ty Eben-Tymie!  
 Allah twe w świecie rozśławi imie,  
 Bo dwie niebieskie da ci siostrzyce,  
 Na twoich ślepych kroków strażnice:  
 Mądrość i cnotę; za to twe oczy  
 Na słońce swojej wiary zamroczy.  
 Na tym tu marnym padole słyniesz,  
 Lecz w tautym świecie jako pies zginiesz;  
 Ale w tem Allah, wola to jego.  
 Słuchaj ty stary gniewu mojego.

Nigdy na ciebie burze nie wiały;  
 W zaciszu mojej bezpiecznej skały  
 Wieku dożyłeś, skarby zebrałeś,  
 Córkę Huriskę wyhodowałeś...  
 Bledniesz ze strachu — jeszcze nie pora.  
 O twém ojcowskiem kłamstwie nie wczora,  
 Nie pozawczora, nie miesiąc temu,  
 Jak wiem; bo cóż to oku mojemu  
 Tajnią zakryte? Chcesz? a wyliczę  
 Gdzie swe pieniądze chronisz zdobycze.

Widzisz psa tego? jego oczyma  
 Już śmierć się patrzy, ale się trzyma  
 Jeszcze w tém sercu życia iskierka.  
 Spraw, niech z iskierki płomień się wzmoże  
 I trup swój śmierci opuści łożę;  
 Spraw, Ebeu-Tynie! Damaszku Basza  
 O toć przez moje usta uprasza,  
 A Baszy prośba, woła Padyszy.  
 Otwórz twe prawe ucho, niech słyszy,  
 Otwórz i lewe, a klejnot pamięci  
 Chowaj pod strażą rozumu pieczęci.  
 Zawróć psa tego ze śmierci drogi,  
 Oddaj mu ręce, oddaj mu nogi,  
 Oddaj mu oczy, oddaj mu głowę,  
 Lecz woli tylko oddaj połowę.  
 O! nie! i tyle nie oddaj woli;  
 Niech go rozumu twego okoli

Sieć wielo-oka, i niech go trzyma  
 W dzień, w noc, na wodzy tysiąc oczyma.  
 Na hak Padysza chciał głowy jego,  
 A ja mu poszlę żywcem, całego.  
 Niechaj stambulskie nie płaczą kruki,  
 Że im ktoś kradnie należne sztuki.  
 Pomnij co, stary, na swój włos bierzesz!!  
 Lecz jeśli ty mi go nie ustrzeżesz,  
 Jeśli w czémkolwiek, w czémkolwiek zdradzisz,  
 Sam córkę swoją w Harem wprowadzisz,  
 A głowę swoją na hak osadzisz.  
 Pomnij!” — I groźnie rzucił oczyma,  
 Powstał i odszedł od Eben-Tyma.

. . . . .  
 Do miasta pyszna szła karawana,  
 Z samych bogaczy kupców zebrana,  
 Przy dromaderach konie hasały,  
 Bębenki brzmiały, surmy swistały.  
 Dwieście Arabów poprzemie biegło,  
 A drugie tyle wkoło ją strzegło.  
 Kupce bogacze w pysznych zawojach,  
 Z błyszczącą bronią i świetnych strojach,  
 Jechali szumnie na podziw miasta,  
 Które w ciekawy tłum się rozrasta.  
 I karawana wśród zgiełku, szumu,  
 Przeszła na podziw miejskiego tłumu,  
 Przeszła, za wrzawę i niepokoje,  
 Nie zostawiwszy, jak śmiecie, gnoje...



— Lepszy ten pielgrzym z prostym kosturem;  
 Szedł on z modlitwą pod miejskim murem,  
 I nieczekany, i niewitany,  
 Siadł na ustroniu, światu nieznanym;  
 Nieznany światu, lecz znany Bogu,  
 Bo wkrótce zewsząd do jego progu,  
 Wszelki niemocny, wszelki kaleka,  
 Po moc i zdrowie tłumem się ściera.  
 Już karawany lud nie pamięta,  
 Przyjście pielgrzymy między dni święta  
 Dotąd zalicza, i Bogu szczerze  
 Dziękuje za nią w wszelakię wierze...  
 Był tym pielgrzymem Eben-Tym stary.

*A. Groza.*

**(Dalszy ciąg później nastąpi).**

---

## O Sextynach,

---

**P**RAWIDŁA *Sextyny*, z wzorem nawet pod okiem, trudno dają się objaśniać; spróbujmy je tu jednak wypisać:

Należy utworzyć *sześć strof sześciowerszowych* (z kąd nazwa *Sextyny*). *Każda strofa* kończyć się powinna u rymu jednemi i temiż wyrazy, a to w taki sposób, by wyraz kończący ostatni wiersz pierwszej strofy kończył też pierwszy wiersz strofy następnej; i tak wciąż dalej, dopokąd się nie użyją wszystkie sześć końcówek pierwszej strofy. Lecz to jeszcze fraszka;

poeta bowiem nie ma prawa układać w każdej strofie rymy, jakby mu się zdało. I tak: w strofie wtórej, uczyniwszy rym *piérwszego jój wiersza* z ostatniego wyrazu strofy poprzedniej, powinien zakończyć *drugi wiersz* tejże strofy wyrazem ostatnim, czyli rymem, piérwszego wiersza strofy piérwszej; *trzeci zaś wiersz* (zawsze tój drugiej strofy) ma się kończyć rymem piątego wiersza piérwszej strofy; *a piąty i szósty wiersze*, zakończyć rymami *czwartego i trzeciego wierszów* naczelnój strofy *Sextyny*.

Trzecia strofa układa się w tenże sposób, i w takimże stosunku do strofy wtórej; czwarta, skazówki swe czerpa w trzeciej; i takiego wciąż należy się trzymać porządku, aż do szóstej i ostatniej strofy.

*Sextyna* zamyka się zwykle *tercetem*, rymowanym przez *trzy* wyrazy, z *sześciu* użytych na końcu wiersza każdej strofy.

W numerze 25 b. m. *Przeglądu Zagranicznego* (Revue Etrangère), kędy się mieści *Sextyna* przez Hr. F. de Grammont napisana, recenzent, piękną przywodząc próbę, tak się o tym rodzaju poezji wyraża:

„Nader wielkie trudności, jakie wiersz podobnego kształtu przedstawia, przelamać u-

„dało się jednemu tylko Petrarckowi. — Słynny  
 „ten poeta kilka napisał *Sextyn*, które nazwać  
 „śmiało można arcydziełem myśli i sztuki.  
 „W tym małym poemacie pomysł autora powi-  
 „nien bujać tak wolnie, jak gdyby mu żadne  
 „jarzmo prawideł nie ciążyło; słowem, fantazja  
 „poety ma tak igrać lekko, jak Panna Taglioni,  
 „gdy z okowy na nogach wdzięcznie przed pu-  
 „blichnością płąsa.

### S e x t y n a.

W owych dniach, kiedy kwitła, u nas, luba wiara,  
 Jakże jaśniej to słońce na niebiosach lśniło!  
 Zieleńsze były smugi — cnota nie tak szara:  
 Serce ludzkie zaledwo znało co przywara,  
 A gdy mu smętnie czasem w życiu się marzyło,  
 Blask nowy mary spędzał — i znów serce żyło!

Tam — na błoniach przeszłości, kędy wszystko żyło  
 W obec Ducha — i kędy osładzała wiara  
 Niedolę by największą — o jak się marzyło  
 Cudownie! — o jak błogo przyrodzenie lśniło! —  
 Cóż mogła znaczyć wtedy rzadka serc przywara,  
 Gdy występku oblicze skrywała noc szara?

Wprawdzie trosków godzina gdy wybiła szara,  
 Nie jeden często mawiał, że się lepiej żyło;  
 Lecz starych, tak jak u nas, była to przywara.  
 Za to nikt nie wyrzekał, że zła przeszła wiara,

I gdziekolwiek cnotliwych przypomnienie lśniło,  
Drżał samolub — a wiernym błogo się marzyło.

O pomnę... i mnie nieraz o nich się marzyło!  
Zwłaszcza, kiedy zbiegała z niebios chwila szara,  
Natedy jam ich wołał — i przede mną lśniło  
Widm grono; — a jam pytał: jak się niegdyś żyło,  
Gdy każdy, głosem wielkim, wykrzykując: wiara!  
Niosł ją wszędy, nie mieniając, że w tém jest przywara?

Nie powiem, (choć milczenie czasem zła przywara),  
Jak się wówczas tęskliwie oczóm mym marzyło. —  
Błade widma znikwały... a za niemi wiara! —  
Na niebie, jakby całun, wiała chmura szara;  
Serce w piersiach, czuć było, że zaledwo żyło,  
A przed splakaném okiem nie już.... nie nie lśniło!

I cóż ztąd, gdyby nawet przed nim wciąż się lśniło,  
Ze u nas niepamięci wieczna jest przywara!  
Ze obcyśmy wszystkiemu, co w przeszłości żyło!..  
Czy snadniejby dla tego myśli się marzyło? —  
Ach! strasznie po niej wionie mgła niedoli szara,  
Bo głos — nie serce pyta: gdzie jest dawna wiara?!

Przeszłości! nie dość wołać to, co w tobie żyło!  
Usta modlą — nie serca; i ta jest przywara,  
Dla której światło dawne już nie będzie lśniło! —

M\*\*\*



---

## Wianek z kwiatu pomarańczy.

(Zdarzenie prawdziwe).

---

### 1.

**W**ielkie się czyniły przygotowania w jednym z najpiękniejszych pałaców Lwowa. Pokoje pełne były tapicerów rozstawiających kosztowne sprzęty, zawieszających bławatne firanki, przepyszne opony, i rozścielających kobierce; zwinne frotery ślizgali się zadyszani, na wszystkie strony, po błyszczących parkietach; posługacze ogrodników znosili donice, z których się wznosiły precudne *kamelje*, *rododendrony* jaśniejące purpurą i złotem, *azalea* z kiciastemi kwiaty, wszystkie wręście bogactwa roślinnego kró-

lestwa. Śród tego ruchu, tego ogłuszającego gwaru, poważna, lat średnich dama, opuszczała na chwile swój uboczny gabinet, by nagłądać roboty i upewniać się o należytém wykonaniu swych rozporządzeń; wyjrzała też czasem przez okno z wyrazem skrytej niespokojności, jakby niecierpliwie czegoś oczekiwała. Już się to kilka razy powtórzyło bez skutku, gdy nareszcie wszedł kamerdyner i podał jej pudełko, z którym natychmiast pośpieszyła uradowana do swego pokoju.

To się wszystko działo z okoliczności wesela ślicznej, jasnowłosej Panny Karoliny D..... (której matką była ta zakłopotana dama) z Panem Władysławem "... Związek to był ze wszechmiar pożądany. Urodzenie, majątek, piękna powierzchowność oblubieńca, nic nie zostawiały do życzenia; ślub zatem odbyć się miał naza jutrz. Owe tajemnicze pudełko, z taką oczekiwaną niecierpliwością, zawierało w sobie przesliczny wianek z kwiatu pomarańczowego, z takimże bukietem, sprowadzone, nie wiem dla czego, z Paryża, kiedy przecie mamy w kraju doskonałych w tym rodzaju artystów. Tego to wianeczka przyjscie cokolwiek się opóźniło, lecz doczekano go się nakoniec, i niezego już nie

brakowało do ślubnego ubioru panny młodej.

W kilka godzin potém odurzona zgraja rzemieślników i służących wyniosła się z apartamentów; nadeszła chwila podpisania interecyzy, i przystępujące do téj formalności strony, z orszakiem powinowatych i prawników, zebrały się w salonie. Nikt wszakże nie przewidział jednéj rzeczy: pan młody, nie zgadzając się na główny punkt dokumentu, podawał z swojej strony warunki, których znowu matka panny młodej, ze słusznych także względów, przyjąć nie mogła. Wszczęła się dyskusja i coraz się stawała żywszą, w miarę jak się do niéj mieszały krewni, jak ją podniecali prawnicy. Już słówka uszczypliwe, pewne wyrazy obosieczne wymykały się z téj i z owéj strony, aż nareście Pani D....., z godnością obrażonej matki i niewiasty, zerwała nagle układy; zemdloną oblubienicę zaniesiono do jej pokoju, i wnet w tym przed chwilą tak ożywionym salonie żywej nie zostało duszy. Rozerwało się zatem małżeństwo nieodzownie i rzecz się skończyła.

W kilka dni potém, w pokoiku sypialnym młodej dziewczicy, stara Generałowa B....., dawna przyjaciółka domu, siedziała na kanapce obok biednéj Karoliny, ściskając z czułością



jéj rękę. Widać było, iż ta świątobliwa, pobożna matrona, przemawiała do dziewicy słowami pociechy, pełnemi chrześcijańskiego namaszczenia, przychylności i szlachetnej rezygnacji. Twarz Karoliny była bardzo blada, oczy jéj spuszczone; chciała się atoli uśmiechnąć do swéj szanownéj przyjaciółki, i podniosłszy głowę, wzrok jéj padł na pudełko, zawierające w sobie ów pamiętny wianek z kwiatu pomarańczy. Na to bolesne i gorzkie wspomnienie, dreszcz lekki przebiegł po wszystkich jéj członkach, usta konwulsyjnie drgnęły, chciała mówić—nie mogła. Nie tak srodze bolała ją strata lubyh nadziei, marzonego i zbyt okrutnie zniszczonego szczęścia, wszystkich tych złudzeń, co ją tak nagle odbiegły, jak raczej wiary, jaką pokładała w szlachetności charakteru, w czystości uczuć człowieka, który miał zostać jéj mężem! Sądziła go wspaniałomyślnym, rozumiała się kochaną tak, jak kochała sama, a tu jéj przyszło odkryć nagle, w jednej z tych chwil trujących cały bieg życia, że się straszliwie w tém wszystkiém zawiodła, że serce, w którym była złożyła całą swą przyszłość, całe swe szczęście, było zimne... samolubne!... Biedna Karolina!....

—Ach! weź go, Pani!—zawołała nakoniec, ubazując staruszcze pudelko— weź ode mnie ten wianek, co już nigdy czoła mego nie ozdobi!...—

— Zbawiciel świata nosił podobny z cierni— odrzekła z żywością pobożna kobieta— podzieli się z nim napoly.

Zgodziła się jednak Generalowa wziąć z sobą ten wianeczek i zachować na pamiątkę tych smutnych dni zawiedzionych nadziei i żalu. Złożyła go więc w swoim gabinecie pod szklaną banią, i nikt o nim przez czas długi nie wspomniał.

## 2.

Równiutko w rok potem, w odległej części miasta, na trzecim piętrze kamieniczki, w pokoiku czysto lecz nader skromnie przybranym, podeszłego wieku dama, w ciemnej peruczce, na której siedział tiulowy staromodny czepeczek, przyglądała się przez potężne szkielko garniowaniu prostej ale świeżej muślinowej sukni, którą córka jej właśnie przymierzała. Była to także suknia ślubna. Panna Eugenia R....., lat około trzydziestu mająca, córka tej starej damy, miała nazajutrz zaślubić Pana Williams'a, młodego Anglika, rów-

nego prawie z nią wieku, przebywającego od dwóch lub trzech lat dla handlowych interesów we Lwowie. Pani R.... i jej córka pomysłniejszego niegdyś doznawały losu; ale nieszczęśliwe okoliczności, opieszałość samego Pana R..... zmarłego od lat już wielu, chybione oraz niektóre spekulacje, postawiły tę rodzinę w przykrym niedostatku. Nie była to jeszcze nędza, ale stan bardzo jej blizki. Eugenja wychowana jak najpiękniej, pełna talentów i wiadomości, dawała w mieście lekcje w godzinach rannych, a wieczorami pomagała Pani R.... w doglądaniu i uczeniu dwóch małych, chorowitych, kapryśnych, niezdolnych dziewczeczek, które straciły matkę, a pan ojciec, nie mając wcale ochoty zajmować się nimi, ulokował je u Pani R.... na pensji. Kiedy się z tak szczupłych środków utrzymywały jakkolwiek te damy, Eugenja poznała się ze swoim Anglikiem Sir Williams'em. Eugenja była kiedyś wcale ładną, ale troski i trudy życia wystawionego na smutne koleje, starły świeżość jej słodkiej, melancbolijnej twarzy, chociaż całego jej uroku odjąć nie zdołały. Anglik zakochał się w niej i prosił ją wnet o rękę, wyznając oraz, że osobiście żadnego nie posiadał majątku, lecz

że miał nadzieję otrzymać miejsce Agenta Konsulatu w Belgradzie, zapewniające im obojgu utrzymanie się przystojne. Nominacja ta powinna była, jak mniemał P. Williams, przyjść niezabawem; postanowiono przeto pobrać się niezwłocznie, aby za otrzymaniem potrzebnych papierów można było puścić się natychmiast w podróż. Było to więc w przed wigilją ślubu, że matka i córka zajmowały się przygotowaniami, jakieśmy powiedzieli wyżej. Pani Generalowa B...., z którą te damy, od lat najmniej dwódziestu, ścisła łączyła przyjaźń, przybyła nawiedzić je w dniu tym, i przywiozła z sobą ów wianek i bukiet z kwiatu pomarańczowego, podług wyraźnego żądania Karoliny D..., ażeby nimi Eugenja czoło i gors do ślubu przyozdobiła.—Szczęśliwszą będziesz ode mnie—mówiła jej—nie masz przynajmniej powodu obawiać się tego rodzaju rozczarowania, którego pamięć dotąd jeszcze boleśnie serce me dotyka.—Generalowa B.... odchodząc, uściskała czule Eugenję, życzyła jej wszelkiego na tej ziemi szczęścia, i przyrzekła być na ślubnym obrzędzie w kościele, gdzie jej towarzyszyć miała Karolina z jedną ze swych przyjaciółek.

Eugenja lzy miała w oczach a uśmiech na

ustach; kochała, widziała przed sobą szczęście, nie rozdzielała się z matką, zapewniała jej byt spokojny. Mój Boże! jakżeby jej życie było piękne i słodkie!... Williams miał przyjść tego wieczora. Czekają—nie przyszedł; wyglądają go nazajutrz przez ranek — lecz znowu napróżno; po południu przynoszą im list — list to od Williams'a... Cały w rozpacz... donosi, że ktoś od niego szczęśliwszy, czy też lepiej protegowany, otrzymał ów Konsulat w Belgradzie, że mu się zatem rzec trzeba było szczęścia... małżeństwa... i, koniec końców, nasz Anglik, prawdziwie po angielsku, zegnał obie damy — pismem, nie mogąc się z nimi widzieć dla zbyt znacznej boleści czulego serca swego i t. d.

Cios to był okrutny! — Powiedziałam wyżej: biedna Karolina! mówię tu: biedna! i stokroć biedniejsza Eugenia! — Karolina, jaśniejąca całą świeżością pierwszej młodości, wysokiego rodu i bogata, łatwo nową znaleźć mogła partję; wolny był dla niej wybór z ubiegającą się o jej rękę młodzi; Eugenia zaś, bez imienia, bez posagu — któżby pomyślał teraz o biednej dziewczynic? — Miała tedy przed sobą widok sędziwej matki, wlokącej dni ponure wśród trosk i niedostatku, wśród cierpień i dolegliwości.

Lekcje, które dawać mogła w mieście, tak były  
 nędznie opłacane, że cały zysk z nich nie wy-  
 starczał na dwóch osób utrzymanie. Słabego  
 przytém zdrowia, gdyby, broń Boże, choroba  
 nie dopuściła jej pracować, co wtedy począć?—  
 Szukać wsparcia u kilku co in: jeszcze pozostało  
 przyjaciół, szlachetne serce nie pozwalało; przy-  
 tém też nikt nie znał rzeczywistego ich położenia,  
 oprócz Pani B...., która sama żyć musiała bar-  
 dzo oszczędnie ze szczupłej pensji, pobieranėj  
 od rządu, Chwilowe wsparcie nie mogłoby za-  
 radzić potrzebóm przyszłości nieograniczonej,  
 prosić zaś, wyciągać rękę, słowem, żebrać!!!  
 ach! czy pojmujecie co to za męka dla obda-  
 rzonej czuciem delikatném duszy?! — Bogacze  
 świata, szczęśliwey wiekn, przesyconi wszyst-  
 kiem i wyschłego serea! jakieżbyście otworzyli  
 sobie źródło niewyczerpane rokoszy, jeśliby  
 samolubstwo, ta straszliwa choroba mniemanėj  
 naszej cywilizacji, nie skępowało was swym  
 żelaznym, lodowatym łańcuchem! — Nie posu-  
 wam o tём dalej mych uwag, chociaż mnóstwo  
 mi się ich następuje; każdy z myślących i czu-  
 jących napotyka codzien do podobnych uwag  
 powody, a co do reszty ludzi, mniejsza czy się  
 oni nad tём zastanawiają lub nie. Eugenia

odesłała wianek z kwiatu pomarańczy Pani B..., a ta go znowu przykryła szklaną banią, pod którą przez rok cały już był spoczywał.

### 3.

Czas jednakowoż płynął zwyczajnym swym trybem, wywierając wpływ swój dobroczynny na cierpienia Karoliny. Zapomniała, a przynajmniej mało już pamiętała o tém co przeszło. Uśmiechająca się przyszłość rozwijała się przed nią. Znowu jak dawniej świeża i wesola, szczęśliwa miłością czulej swój matki, piastowała nadzieję innej jeszcze miłości.

Wcale się inaczej działo w rodzinie R..... Lica Eugenji bardziej jeszcze poblady, czoło jej się zachmurzyło; bolała nad sobą, a więcej jeszcze nad swą matką; ale mężne te niewiasty pracowały spolem i wspierały się wzajem na stromiej i najeżonej przeciwnościami drodze swego życia. Ich wzrok, ich uśmiech, zwrócone były ku niebu. Czas więc, niewstrzymany w swym biegu, rzucił niemało cierni na ścieżki, po których my wszyscy biedni śmiertelnicy wędrować musimy; uronił też, rzadka wprawdzie, nieco kwiatów na nie,

ale obficie rozlał Letejskie zdroje na ludzkie boleści, uśmierzył niektórych srogosć, a sprowadził uspokojenie i rezygnację tam, gdzie nie lepszego sprawić nie mógł; można zatem powiedzieć, że równą prawie ilość szczęścia i niedoli rodzajowi naszemu wymierzył.

Dwa lata upłynęło, gdy jednego ranka Pani Generalowa B... ujrzała u siebie swojego piekarza, który od lat trzydziestu chleb i ciasta jej codziennie dostarczał; była przytęm chrześną matką młodą jego córki Marysi, tatulo więc przyszedł z weneracją donieść przeznaczoną kumie o nadchodzącym weselu swą jedynaczką i prosić o błogosławieństwo. Pani B... pobłogosławiwszy z całego serca, dała mu oraz dla panny młodą także wianek z kwiatu pomarańczowego, który pod szklaną swoją banią nic ze swą świeżością nie utracił.

Zawiodę teraz czytelników moich do skromnego mieszkania fabrykanta struclów i obwarzanków. Wydawał córkę za młodego czelaka, zasiadającego w biurze (nie wiem jakim), a co większa, szlacheć, z czego się pocziwe piekarzysko pyszniło niepomaln. Wszystkich też krewnych, przyjaciół i znajomych zaprosił na dziewięć-wieczór. Zgromadzili się więc u niego



licznie i strojnie piekarze ze swemi połowicami; majster rzeźnik, pięknej tuszy, rubaszny, ze swoją imością i z godną konsolacją; zegarmistrz, fircyk, z repetjerem w każdej kieszonce, z łańcużkami z semiloru pysznie krzyżującymi się na arcy-osobliwej pąsowej aksamitnej kamizelce; aptekarz, wyperfumowany różanym olejkiem, niedostatecznie atoli tłumiącym zdradzieckie wyziewy rąbarbaru i assafety; tłum nakoniec figur tegoż kalibru, wystrojonych, utrefionych, sztywnych, fertycznych i ceregielnych. Wszystko to, stosownie do okoliczności, zachowywało się zrazu poważnie; ale wnet zapach potraw i myszka starego wina wywiodły gości z chwilowego otrętwienia, a facjaty rozkwitały w miarę wypróżniających się butelek; kieliszki krążyły bez liku za zdrowie i pomysłność nowożeńców; panna młoda rumieniła się bez końca, kiedy tymczasem na twarzy oblubieńca malował się jakiś przymus połączony z dziwnym wyrazem jakby bojaźni i nieokreślonej niespokojności. Biesiada stawała się coraz weselszą, luczniejszą, i należało wnosić, że dójdzie szczęśliwie do końca. Cóż, kiedy bo to szatan, jak wiecie, nie zaśnie ani na chwilę! — Tą razą podobało ma się przybrać na się

postać zagniewanego ojca i porwać nieposłusznego i nierozważnego syna. Winniśmy albowiem wam powiedzieć, że pan młody zapomniał był o jednej malutkiej formalności: zapewnić się o zgodzeniu się ojca swego na ten mariaż. Nie wiem jakim sposobem udało mu się wyjednać ogłoszenie zapowiedzi; nie sądzę żeby się posunął aż do zaparcia exystencji swego rodzica—zdania przynajmniej podzielone są w tym względzie, i mało to wręście obchodzić nas powinno. Dość tego, iż ten pan ojciec, który sobie spokojnie rzepę kopał gdzieś tam w głębi Wołynia czy na Litwie, dowiedział się, Bóg wie jak i od kogo, że synał jego chce się żenić z mieszczką, z córką piekarza—CHRYSSTE JEZU!!!—Lubo weale niebogaty, szlachciura nasz wbił to był sobie dobrze w pamięć, że jego pra-pra-pradziad piastował niegdys godność drażkowego Kasztellana; sądziecie tedy, czy mógł się zgodzić na tak straszliwie źle dobrany związek?!—Zdawało mu się, że wszystkie szkarady i okropności zwały się na genealogiczne jego drzewo, otrzęsły starożytne fascykuly autentyków rodowitości z ich ezcigodnej pleśni, i że ś. p. protoplasta poruszy się w grobie i szczękiem szlachetnych swych kości protestować, manife-

stować i oppugnować będzie przeciwko takiej niesłychanej kolligacji!— Długo więc nie myśląc, każe zaprzadzić trzy szkapy do swej brodzkiej bryki, rusza do najbliższego miasteczka, bierze tam pocztę, i pędzi, co konie wyskoczyć mogą, dniem i nocą, aż stanął we Lwowie przed kamienicą, w której syn jego miał mieszkanie.— Pyta o niego—niema—uleciał ptaszek. On za nim, ślad w ślad, rozpytujać, badając, aż nareście wpadł, jak bomba, wśród weselnym gości, i takiego narobił hałasu, że potrwożeni mieszczanie na widok tej figury zaperzoniej, wrzeszczącej i miotającej przeklęstwa, nie wiedzieli co się z niemi działo. Można sobie łatwo wystawić scenę, jaka potem nastąpiła. Nadaremnie syn przeprasza i błaga; ani jego modły, ani łzy z pięknych oczu Marysi płynące, nie wzruszają najmniej serca szlacheca. Otulony swemi pargaminami jak pancierzem, nieporuszony jak opoka, odparł wszystkie prośby i groźby, dokazał, że pan synal zwiesiwszy uszy pójść za nim musiał, że się małżeństwo zerwało na zawsze, i że *wianek z kwiatu pomarańczy* wrócił znowu do Pani B.... i dawne swe pod tą szklaną banią zajął miejsce. Opuścił je raz jeszcze, ale zmieniwszy swe prze-

znaczenie; zawieszony bowiem został u ołtarza Najświętszej Panny, i tam już szkodzić nie będzie nikomu.

Dotąd przesąd przypisywał coś fatalnego pewnym ludzióm, dnióm i miejscóm, czy nie ma czasem przywiązanej fatalności i do pewnych rzeczy? —

L.....a.



Wydruk w drukarni w Warszawie

## **Akt piérwszy**

z Komedji, pod tytułem:

# **SŁOWO HONORU.**

zaczyna, i w końcu powiem został a oltara  
Najświętszej Panny, i tam już wskazała mi  
dla siebie.

Ustał przeto przepływał mi latwego  
parowym łodziem, śród i wodzian, czyż  
nie znowu przywrócić kłopotu i do  
ucieczki.

**Osoby w tym Akcie.**



**SĘDZIWOJ**, niegdyś Półkownik wielkiej armji.

**ARTUR** }  
**HELENA** } jego dzieci.

**SKORUPIAK**, człowiek z *jutrem*, powiatowy szachraj i nowiniarz.

**LOKAJ.**



## AKT PIĘRWSZY.

### Scena I.

(Gabinet pół-wojaka, pół-literata, ze drzwiami na prawo i na lewo, w głębi stół duży, zawalony książkami i papierami, ze środka których wygląda globus i popiersie Napoléona).

#### SĘDZIWOJ

(w szlafroku i w okularach siedzi przy stole, czyta gazetę, poglądając niekiedy na mapę; niecierpliwi się w końcu, rzuca na nią gazetę, zdejmując okulary i mówi):

Widzę w końcu i trzymam z mądrym Kuapiusem,  
 Że ciekawość jest pierwszym do piekiel gradusem.  
 A toż trzeba szaleńca, głupca nad wyrazy,  
 By czekać codzien pocztę, ślać po nią sto razy,  
 Aż w skutku z tylu plików in folio, quarto,  
 By za grosz sensu; *vox, vox...* a wszystko nie warto.  
 Chartysci, radykalni, budżety, bilanse!...  
 Bugeaud z Abd-el Kaderem tańczy kontradanse,

Wciąż Karlos, Esparterro lub Mehmed brodaty,  
 Lwy, Karter, Taglioni.... nowiny za katy!  
 Tam czekają na Księcia— tu połogu Księżnej,  
 A wszystko to uwieńczy kurs wexlu pieniężny,  
 Taryfa, wywoz, przywoz, i podobne wieści.—  
 Nasze czasy, Mospanie, z lepszej były treści:  
 Kiedy to dzień w dzień bitwa, a co bitwa, snadnie  
 Ten, ów błysnie koroną, gdy ta innym spadnie,  
 Na tydzień wieczny pokój, przymierze— a potem...

(*Porywa się z krzesła i z gestem.*)

*Vive l'Empereur!* basta!— — lecz co i śnić o tem...

(*Po chwili, przechadzając się.*)

Ha, niechby tam gazeciarz, dla własnej rachuby,  
 By czémś zapchać swój arkusz, plotł smalone duby;  
 Ale, przez siedm boleści! po co czytelników  
 Dręczyć w końcu tą całą kohortą krytyków,  
 Z których wielu tak, niby sumiennie, chcąc uczyć,  
 Tych znudzi, owych zgorszy, by komuś dokuczyć.  
 Patrz, na przykład, z téj całej ramoty szkolarskiej,  
 Na wstyd zdrowego sądu i sztuki drukarskiej,  
 Jakiegoś tam laika, niech kto, ku naucz,  
 Znajdzie sensu by za grosz w całej banialuce,  
 Gdzie przez złość wciąż rozlaną z zawiści zakalą,  
 Na wykaz świętej prawdy wiersza nie zostało.  
 Oj, pocieszy się Artur, przebiegłszy ten świstek,  
 Z wieńca, którym pomiać wolen lada chłystek.

(*Dzwoni — wchodzi Lokaj.*)

Prosić do mnie Artura.

(*Lokaj wychodzi.*)

Przejrzyjmy te listy.



*(Biorąc z nich jeden).*

Za rewersem — toć ważny, dowód oczewisty.

Hem — pilno... któżby taki?—

## S c e n a II.

SĘDZIWOJ

*(do wchodzącego ARTURA).*

Dzień dobry, poeto!

Może się tu nam świeżą zabawisz gazetą?

Są nowinki, jak komu, do gustu i miary,

Nimi tu przejrzę te listy..., daj me okulary.

*(ARTUR podaje okulary i siada do czytania przy stole, SĘDZIWOJ podchodzi na przód sceny i czyta pół-głosem):*

» Stary, jedyny przyjacielu! »

*(Do siebie).*

Staryć, prawda; ale czyjże to jedyny?— spójrzmy na podpis,

*(Wola).*

Bojomir! lecz czy wzrok mię nie zwodzi czasami?

*(Wpatrując się w list).*

On!.. Major Jan Bojomir... czary! Pan Bóg z nami!

Porucznik w mym szwadronie, tak, z Dąbrowskim razem.....

Przeszłości! jakimż starca rozrzewniasz obrazem!—

Ha, obok przy Arkole, Mondowi i Lodi,

Wciąż sami, ramie w ramie, na gody i głody.

Jak niewolnik, jam, potem zagnany daleko,

On z kolci Rotmistrzem, z Rotmistrza kaleką;

Długo nędzarz laurowy, znów bogacz przez wiano;

Przeszły lata, wśród boju znówu nas widziano,

Gdzie każdy już był ojcem i cieszył się synem,  
 I dzielnie ich zasłonił piersią pod Raszynem.  
 Tam to oba żołnierskie zaprzysięgli słowa,  
 Że jeśli się dni naszych przeciągnie osnowa,  
 A córkę z nas któremu poszle Niebo w darze,  
 Gdy się skłonią ku sobie, odrodzić w ich parze.  
 Jakbym dziś pragnął skutku, cieszył się i szczycił!  
 Co marzyć... serce Helci znać Adolf podchwycił,  
 A Bojomir maż dzieci i łozniż mi jeszcze?—  
 Ha, gdyby jak przedwidzieć, a coś wszakże wieszczę.  
 Lecz czytajmy...

*(Czyta cicho; na twarzy gra podziwu, zafrasowania się i radości; składa list powoli, i mówi w zamyśleniu zrazu).*

Toż dobrze komuś tam marzyło,  
 Że są cuda, o których mędrcom się nie śniło,  
 A cóżby nam prostakom? Niech jak chce kto sądzi,  
 Święta prawda: człek marzy a Opatrzność rządzi.  
 Ot naprzykład to wszystko, co ta karta mieści,  
 Któsby liczył do bajek arabskich powieści,  
 A jednak, choć tak dziwne w osnowie i wątku,  
 Dałby Bóg równie skończyć, jak poszło z początku.  
 Lecz czemuż się gdzieś skrycie bez wieści zasiedział?  
 Piszeć wprawdzie, że o nas dziś jeno dowiedział,  
 Że rok ledwo jak ujrzał rodzinę kochaną,  
 A odkrywszy, że żyję, mam dziewczkę pod wiano,  
 Nim mię wobec uściśnie, zbadać miałby chęci,  
 Jak słowo zaprzysięgłe w mej dierzę pamięci;  
 Że nim sam, syna pierwěj przysłać do mnie woli,  
 Skarbić względy u córki, gdy ojciec pozwoli.

Pozwoli? mógłże zwątpić choć na chwilę o tém,  
 Znając mię i me słowo? Lecz większym kłopotem  
 Nabawia nas ten Adolf, młodzieży ozdoba,  
 Co nie mnie tu samemu tak, zda się, podoba.  
 Walny chłopak, na honor, aż mi żal biedaka;  
 Lecz że myśli o Helci, zkądże pewność taka? —  
 Lub ta o nim? bo jeśli... hem, w całej intrydze,  
 Gdy ważę, trudniej coraz jest, zda się, jak widzę  
 Trzeba tu ich zdaleka, nieznacznie wybadać;  
 Lecz się gorzej to wszystko może w końcu nadać,  
 Gdy sam ich wwiodeę na tor.... Złe to, złe i owo...  
 Fe, Panie Półkowniku, ze twą starą głową!  
 Bądź co bądź, wyrozumieć ich muszę i kwita.

*(Do syna).*

Cóż, Arturze, jakże się ciekawie nam czyta,  
 Cóż tam na polu sławy, jakże los mu isci,  
 Laury, ciernie?

A R T U R.

Nic, oprócz głupstwa i zawiści.

SĘDZIWOJ.

No, gdyby aż zawiści! to jeszcze problemma.

A R T U R.

Głupstwo zajrzy i temu, co wartości nie ma;  
 Byle strawa, a jednak im ta słodsza będzie,  
 Tém ją brudniej pokala, tém tłumniej osiedzie.  
 Każdy pisarz przejść musi te ostre koleje.

SĘDZIWOJ.

Że Pan Artur nie pójdzie niemi, mam nadzieję.

A R T U R.

Jak to rozumieć? ojcze!

SĘDZIWOJ.

Jak rozumieć?— znaczy,  
 Ze mi pióra ni do rąk, do kroć set kartaczy!  
 Prostaczek nierozumieć, to mnie wykręt śliczny;  
 Gdy nań klecha wyszczekacz, lub malec uliczny,  
 Rzuca błotem w dziennikach, takięj godnych treści,  
 Filozof mój w tém nawet nie widzi boleści.  
 Co za płaskie przytyki, rynkowe koncepta,  
*Ni fallor*, żak to z bursy lub mozoł adepta,  
 Co z za kraty lub choru na pismaka puie się—  
 Powtarzam, tych przytyków twój ojciec nie zniesie!  
 A więc mądrze zważywszy, jak ta kolej zdrożna,  
 I że mi wszystkich głupców wystrzelać nie można,  
 Dla świętego pokoju, racz kazać swęj wienie  
 Pójść mnie do stu.... rozumiesz? proszę uniżenie.

A R T U R.

Ależ, ojcze, to jakaś do pozłoty głowa.  
 Wartoż.....

SĘDZIWOJ.

Więc oczem lepszem, bo o tém ni słowa.  
 Uniosłem się zbyt. prawda; no, puśemy nawiasem.  
 Wiesz, chłopcze, jak cię kocham, choć i suknię czasem.  
 Dwoje was u mnie tylko, a o waszëj doli  
 Radbym w końcu stanować, gdy Niebo pozwoli.  
 Owoż żatém poradźmy, u dni mych ostatka,  
 Jakby snadź z mianem ojca złączyć imie dziadka?

Boć czas już przestać, sądzą, jakąś wolność cenić.  
Rozumiesz mię?

A R T U R.

Nie spełna.

SĘDZIWOJ.

Ha, chcę cię ożenić,  
To jest, widzieć żonatym, z kim? wybór twój własny.  
Cóż na to?

A R T U R.

Na to?—nie wiem...

SĘDZIWOJ.

Fe, wywód niejasny:

*(Drażnić piskliwie).*

Nie spełna, nie wiem... Coż to, trwożnaś mi  
dzieweczyna?

Jakem żołnierz, a toż mnie pociecha jedyna!  
Nie wieć, biedny, jak począć w tak ciężkiej potrzebie;  
Trudnyś w wyborze? sam więc wybiorę dla ciebie.  
Znasz dom Państwa Pająków?

A R T U R.

Ojczy! Pan Bóg z nami!

SĘDZIWOJ.

Ha, drasnąłem! Więc po cóż tam bywasz czasami?  
Po co ludziom do wniosków snuć choć błahy powód?—

A R T U R.

Bywać gdzie, bez zamiaru, i jakież w tém dowód?..

SĘDZIWOJ.

Mówię wniosek nie dowód, a w świecie te słowa  
Blizko-znaczne są, jako plotka i obmowa.

Lecz po cóż ta znajomość, te choćby momenta?  
 Nie chceż syn Półkownika wyjść tam na klienta?  
 I zszargawszy sumienie, powytarłszy czoła,  
 Wyszczekiwać pieniacze matactwo z za stoła?  
 Lub wzdychać do córeczki? oh, nadto honoru!  
*Ergo*, by nie mieć nawet plamy i pozoru,  
 Życząc zerwać z tą lichą, czupurną hołotą.  
 Lecz gdzie zniknął nasz Adolf? miałem pytać o to.

A R T U R.

Pisze, łącząc dla ojca tysiąc uprzejmości,  
 Że krewny z stron dalekich przybył doń i gości,  
 Wielce miły dla niego, i że w ważnym względzie  
 Chce go z nami zapoznać, jeśli wolno będzie;  
 Darowanego charta szle razem przez łowca,  
 Z wieścią, że dla mnie wkrótce ujezdzi wierzchowca;  
 Ojcu książki, dla Helci szle kwiaty i nóty.

SĘDZIWOJ *(na stronie)*.

Oh tak, dla niej jedynie, wszystko co do joty.

*(Głośno)*.

To mi sąsiad, to młodzian! Pisz więc, że najmilej  
 Dziękuję mu za pamięć, i że w każdej chwili  
 Rad im będę w mym domu, jak go kocham, ecić.

*(Do odchodzącego)*.

Niech tu przyjdzie na moment, powiedz tam Helenie.

### S c e n a III.

SĘDZIWOJ *(sam)*.

Projekt napięty, widny i jasny jak słońce:  
 Codziem mnie, albo sam tu, lub przysła gońce;

Skarbi mię, a przy Helci i zawsze i wszędzie,  
W końcu ma tu z pokrewnym przybyć w ważnym  
względzie;

Że mi więc chce być zięciem, samo przez się znaczy,  
Lecz jak z tem będzie w końcu, Bóg to widzieć raczy.  
Nie mu wprawdzie zarzucić, chłopiec ja należy,  
Greczny, świątly, przystojny, kwiat całej mło-  
dzieży,

Dla wszystkich z uprzejmością, dla nas i z respektem;  
Słowem, co się nazywa, z sercem i subjektem,  
Choćby zajął Helenę, nie trza ją w tem winić;  
Lecz jej ojciec rozważnij, mądrzej w tem ma czynić.  
Miły wprawdzie pan sąsiad, wylany, gotowy,  
Lecz kto on? z kąd nam upadł, jako śnieg na głowy?  
Hem, rok ledwo, jak wioskę kupił ztąd o milę,  
Kto? Adolf, herbu Kozie, jakoś w tem zawile.  
Z kąd? z Podgórze; po cóż tu od znajomych, krew-  
nych?—

Majaczy; z tych więc wszystkich względów tak  
niepewnych,

Gdy rzecz ważę, Bóg świadkiem, choć wbrew  
własnej chęci,

Widzę, tak, dziwnie jakoś w tem wszystkim się  
święci.

*(Wchodzi SKORUPIAK, a niepostrzeżony dybie na palcach,  
usilując podслуhać).*

Nadmieniał mi i Pająk, tak, niby niechętnie,  
Po swojemu, nawiasem, stroną, obojętnie,  
Że choć ceni Adolfa, nierad słuchóm wierzyć,  
A przecie jest się nad czem a smutnie rozszerzyć...

Lecz dajmy, że, jak zwykle, rzuca tu fałsz, zawiść,  
 Na blask cudzej zalety potwarz i nienawiść,  
 Cóż, im będzie nam miłszym, tęp gorsza z nim rada,  
 Bo, gdzie *słowo honoru*, żaden wzgląd nie nada.

(*Podniosłój*).

Jakem szlachcic, Półkownik Sędziwoj, na bogi!

(*Obracając się żwawo, tak, że prawie trąca SKORUPIAKA,  
 mówi z podziwem i niechęcią, a dalej z ironją*).

## S c e n a IV.

SĘDZIWOJ I SKORUPIAK.

SĘDZIWOJ.

Pan Skorupiak!?

SKORUPIAK.

(*odskakując i zmitrężony*).

Do usług.... ściele się pod nogi!

SĘDZIWOJ.

To nisko, niech Pan siada.

SKORUPIAK.

Pokornie...

SĘDZIWOJ.

Lecz proszę:

Cóż go do nas sprowadza?

SKORUPIAK.

Śpieszę.... Wieść przyoszę....

SĘDZIWOJ.

Naprzykład:— półprocentu z targów na arendę,  
 Nową z Hirszą o wódkę sklecił faciendę,



Obryweczek z podradu, z odkupu coś warty,  
Prowizijka, he, zgadłem?

SKORUPIAK.

Żarty, wolne żarty,  
Półkownik drwi rad zawsze z najniższego sługi.  
Zginąłby dziś z obrywków i Salomon drugi;  
Świat dziś zmańdrzał; co młodzik, to mason, statysta!  
Fe, zły świat, zginie marnie...

SĘDZIWOJ (*w sens wpadając*).

Gdy Pan nie skorzysta...

SKORUPIAK.

Korzyćś! oh namże biednym dójść do téj zdobyczy,  
Gdy tak każdy sam dla się i waży i liczy?  
O konkursach ni słuchu, o lichwie ni wieści!  
Świat niewdzięczny!...

SĘDZIWOJ (*jak wyżej*).

Tak, od sta nie da dziś trzydzieści.

SKORUPIAK.

Trzydzieści?! o mój Boże! połowęż da właśnie?..  
Oj *tempora* i *mores*! niech ich piorun trzaśnie!

(HELENA pokazuje się we drzwiach).

Czy Pan wiesz, co muie wczora zaśpiewał ten panek,  
Co tam kupił włość niby, *alias* zaścianek—  
Oh jakże?... Adolf... gość tu w wieczory i ranki,  
Narzeczonny Anieli, Pańskiej wychowanki?

(HELENA szybko odchodzi).

SĘDZIWOJ (*zdziwiony*).

Kto? Adolf narzeczonny?

SKORUPIAK.

Już nie tajemnica,  
 Biją jak w bęben, lata wieść jak błyskawica;  
 Sędzina u Pająków by przysiądz gdy klęka,  
 Córka ledwo nie plasła, a matka nie pękła.  
 Wieść tę właśnie... lecz wracam— cóż panicz rzekł  
 przecie,  
 Gdym mu chciał służyć sumką ku tak ważnej fecie,  
 Na dziesięć?

SĘDZIWOJ *(w zamyśleniu do siebie)*.

Frant!

SKORUPIAK.

Fe, nie to.

SĘDZIWOJ *(jak wyżej)*.

Lis!

SKORUPIAK.

Gorzój.

SĘDZIWOJ *(jak wyżej, a z gniewem)*.

Oszuście!

Precz, nim ci uszy otnę!

SKORUPIAK

*(sądząc zawsze, że SĘDZIWOJ jest tu tudzysłowem Adolfa)*.

Tak, tak... coś w tym guście,  
 I mnie, mnie tak powiedzieć! jak to Pan uważa?

SĘDZIWOJ *(powtarzając machinalnie)*.

Jak?

SKORUPIAK.

Hem, tak, o tych uszach, gdy je kto obraża.

SĘDZIWOJ *(dwóznacznie, odwracając się)*.

Głupiec....

SKORUPIAK.

Wiem, że on głupiec, lecz zda się do szabli  
Mędrszym nieco ode mnie.

SĘDZIWOJ *(na stronie)*.

A, niechże cię djabli...

*(Głośno)*.

O co chodzi?

SKORUPIAK *(zwierając się, półgłosem)*.

Hem, uszy.... to zgroza! ten śmiałek  
Śmieć i Pana Artura krzywdzić wśród przechwalek,  
Że odsadzi...

SĘDZIWOJ.

Od kogo?

SKORUPIAK.

Znów żarty. Sam ojciec  
Czyż nie wie, co już zdołał świat dójrzyć i dociec?  
Wolne żarty. Pan nie wie, ja z kądże wiem przecie?  
A gdy wiem, czyż nie wiedzieć może kto w powiecie?—

SĘDZIWOJ *(zniecierpliwiony)*.

Co, o czym?

SKORUPIAK *(głosem stentora)*.

O tem, co dość naturalnie, jasno,  
Że za zgodą rodziców, a za chęcią własną,  
Po zwalczonych trudnościach, sprzeciwieństwach  
długich,  
Po targach i petitach stron jednych i drugich,  
Pobiorą się nakoniec, w mięsopust najdalej,  
Za indultem, prywatnie, bez kosztu, co chwale...

SĘDZIWOJ *(przycrywając)*.

Ale kto? z kim? czy w końcu wypowiesz rzecz główną?

SKORUPIAK (*opatrując się*)●

O, najchętniej— Pan Artur z Panną Pająkową.

(*Sędziwoj jak odurzony*).

SKORUPIAK (*na stronie*).

Żle, uchodźmy nim swoje: do kroć set wypali.

(*Wymyka się przez drzwi najbliższe*).

## Scena V.

SĘDZIWOJ (*sam*).

Co, co? powtórz, mój Panie!

(*Postrzegając się*).

Plotkarzu, ha dalej! —

Niedość ci lichwy, matactw, chcesz fałsze roznosić!

Muszę też, raz na zawsze, tych wścibskich wyprosić,

Tak, grzecznie, furt mnie drzwiami lub oknem do

licha!

Toż że język tych chłystków bez plotek usycha.

Wpadł, skrzesał jedném cięciem dwa śluby, dwie

żony,

A jak wpadł niedojrzany, znikł niepostrzeżony.

Fraszka, czas wskazał nawet, w którym się pobiorą.

Oh snadniej niebo z ziemią, góra złączy z górą,

Niż z Pajakiem Sędziwoj, z szczekaczem mąż prawy!

Zgroza myśleć.... lecz że tak Pan Adolf łaskawy

Tumanił mię i Helcię, gdy Anielę zwodził,

Ha, ten mnie wsamo serce niewdzięcznik ugodził!

Byłóż tu kłaść potrzeba obludy maskarę,

Gdy mógł iść wprost do celu— a me oczy stare

Tak zawiodły, gdym mniemał i marzył daremnie!

Lecz czyż to i Anielę nie ma ojca we mnie?

Nie jaźm w wojnie ostatniej malutką, zblakana,  
 Wyrwał zgubie, od Helciź mnićj była kochana?  
 Bo też anioł prawdziwy, lepszej godzien doli.  
 Adolf, czemuż... rad będę, gdy Niebo pozwoli.  
 Heleny żal mnie jednak, chociaż wciąż się marzy,  
 Że w tém wszystkiém jest nieco plotek i potwarzy.  
 Tak, nie tak — a zbadajmy, gdy oto nadehodzi,  
 Jak dalece wpadł w oko Pan Adolf Dobrodziej.  
 Już to ja z tém poradzę ostrożnie a ślicznie,  
 Tak, niby od niechcenia, zdala, okolicznie,  
 Manowcem, byle tylko trafnie dojść do skutku.

## S c e n a VI.

HELENA (*z bukietem kwiatów podbiega do ojca*).

Na dzień dobry dla papy zebrałam w ogródku  
 Wiązkę kwiatów — a za to uściśnij mię przecie.

SĘDZIWOJ (*całując ją w czoło*).

Helciu! tyś mnie najmilsza z wszęch kwiatów na  
 świecie;

Lecz im czulęj cię kocham, tém troskam się srożej  
 O stróża twęj przyszłości, gdy głowę położę,  
 O stróża, przyjaciela... czy dość mię rozumiesz?

HELENA.

Ojeze! czyliź radościęj przemówić nie umiesz?  
 O ja biedna! (*Placze*).

SĘDZIWOJ.

Lecz, Helciu, zważ bacznij i ściślej,  
 Że muszę przecie kiedyś...

HELENA.

Ach, zkadże te myśli?..

A więc mię już nie kochasz, nie miła ci Helka!  
 O, wiem za co, bo wciąż mię ostrzega Anielka,  
 Że się trzpiocę czasami, dziwaczę i drażnię,  
 Że twe marsze, mazurki, gram niedość uważnie,  
 Lub roztargnę w czytaniu dziejów naszej ziemi.  
 Ach! gdy mię za to dzisiaj martwisz słowy twemi,  
 Przemów tylko weselój, patrz mi się łaskawiej,  
 A przyrzekam, że odtąd zmądrzeję, poprawię;  
 Będę smętną jak Artur, jak Anielka trwożną,  
 Dobrą, jak ty, mój ojcze!...

SĘDZIWOJ *(w ciąg)*.

Jak Adolf?

HELENA.

Usłużną.

SĘDZIWOJ.

Tylkoż usłużny?

HELENA.

Nad to nie byłam ciekawa.

SĘDZIWOJ *(na stronie)*.

Jakżem błędził!... tém lepsza z Bojomirem sprawa.

*(Głośno, od niechcienia niby)*.

Mówisz.. usłużny... reszty ciekawą nie byłam.

HELENA *(w zamyśleniu)*.

Usłużny—kto?—Pan Adolf? tak, zda się, mówiłam?

SĘDZIWOJ.

I nic więcej dla siebie?

HELENA *(z przekorą)*.

I nic więcej dla mnie.

SĘDZIWOJ.

Jak-to, ani na jotę?

HELENA.

Ni na ćwierć, bynajmniej.

SĘDZIWOJ *(zacierając ręce)*.

Tak i trzeba. Pójdź, niech cię uścisknę, ma duszko!

*(Na stronie)*.

Chwałaż Bogu, że jeszcze wolne jęj serduszko,  
Bo inak... Ot, co miałem tak mądrze, zdaleka,  
Wymknęło się to, jakoś od razu u czleka;  
Teraz z nią co innego.

*(Głośno)*.

Czy też pomnisz przecie,  
Gdym nieraz o mych prawil wędrówkach poświecie,  
O bitwach i rozejmach, szturmach i obronie,  
O kim wspomniał najczęściej?

HELENA.

O Napoleonie.

SĘDZIWOJ.

Jużci tak, ale i po nim i po wodzach wielu,  
O jakim to mówiłem nieraz przyjacielu,  
Co mnie życie zachował, wciąż kochał tak szczerze?

HELENA.

Oh! już wiem, o tym mężnym Janie Bojomirze.

SĘDZIWOJ.

A przecie...

HELENA.

W każdej z tobą co stawał ruchawce.

SĘDZIWOJ.

A widzisz....

HELENA.

Jakbym chciała znać ojca wybawcę!

SĘDZIWOJ.

Poznasz go, z synem u nas będzie tego lata.

Cóż? pokochasz?

HELENA.

Jak ojca.

SĘDZIWOJ.

Lecz syna?

HELENA.

Jak brata.

SĘDZIWOJ.

Hem, jak brata.

*(Na stronie).*

Frant dziewczka, otwartszym być trzeba.

*(Głośno).*

Sluchaj, Helciu! Gdy druha wracają mi Nieba,  
Z którym tyle dni lepszych spędziliśmy razem,  
Co był męztwa, prawości, przyjaźni obrazem,  
Dla którego mam takie długie, obowiązki,  
Chciałbym wzmocnić ów węzeł przez nowe zawiązki;  
A ponieważ ma syna i sprzyjać mu zdajesz,  
Adolf zaś nie dla ciebie, jak sama wyznajesz...

HELENA *(zakłopotana, prędko).*

Adolf! owszem...

SĘDZIWOJ.

Wiem wszystko: do Anieli wzdycha.  
I żeś mnie tak rozsądna, posłuszna i cicha,  
By więc każdy miał udział szczęśliwy w tej sprawie...



**HELENA** (*przerywając*).  
Lecz, ojcze!....

**SĘDZIWOJ** (*stanowczo*).

Jej i tobie rad pobłogosławię.

(*Patrzy na zegarek*).

Dwónasta... czas się przebrać, nim zajrzy kto z gości.

(*Całując ją w czoło*).

A ty, moja sarneczko, wyskakuj z radości!

(*Na stronie*).

Owoż, szturmem do celu iść, co się nazywa:

Stań się — stało: rad ojciec i córka szczęśliwa.—

(*Odchodzi*).

## S c e n a VII.

**HELENA**

(*budząc się z zamyslenia, po chwili*).

Dziś jeszcze tak marzyłam, tak ufna niewczesnie!

Więc to szczęście mnie tylko mignęło, jak we śnie!

Biada mnie, com słyszała!... Ob! serce się kraje!...

Adolf łudził, a ojciec mą rękę oddaje

Komuś, co tu nam wszystkim jest dotąd nieznanym,

Co nie może przeze mnie być nigdy kochanym.

Ojciec! ach! on tak dobry, tak kocha mię szczerze,

Lecz trwa stale do końca, co raz przedsięwzię;

Wziął mię jakoś za słowo, gdy oto przed chwilą

Snuł tu z gościem o losie Adolfa z Anielą,

Z tym wścibskim Skorupiakiem, samotnie, tak zwana;

Artur sarka, przymawia, Anielą zmięszana,

Ojciec, jakby sam nie swój, przez jakieś tam listy...

Że więc wszystko stracone, dowód oczywisty.

Toż Aniela... Bóg świadkiem, nie zajrzę jęj doli,  
 Lecz podejście, obłuda — nikczemuie, to boli!  
 Po ojcu, bracie, po *nim*, co dla mnie tu jedna  
 Zdrad tyle, i od kogoż? — przeniosę ją biedna....  
 Od dzieciństwa z nią razem, w jedną istność złana,  
 Calem sercem i myślą byłam jęj oddana;  
 Lubość, troski, nadzieje, i co tylko sniłam  
 O *nim* w końcu, niestety! czemuż się zwierzyłam?  
 Teraz prysła zagadka, że biorąc to mile,  
 Ośmielając mię nawet, były jednak chwile,  
 Gdy badała, wzrok miewąc aż do serca głębi,  
 Czy wypadek, czas, rozmyśl, uczuć mych nie zziębi?  
 Dość-że kocham Adolfa? — a sama z *nim*, nieraz  
 Tak się rada zejść była! — ślepa, widzę teraz.

(*Z rezygnacją*).

Ha! niech będą szczęśliwi, kiedy tak chcą losy;  
 W czas jeszcze, zniosę dumnie, w milczeniu ich ciosy,  
 Wyrwę strzałę, choć z sercem, na wieczny z *nim* prze-  
 dział;  
 Nie dojrzy łez, co dość się bliźni mych nie dowie-  
 dział;  
 Wyrzucę go z męj duszy, nie mogąc z pamięci.  
 Wszakże nie mię na sprzedaż uczuć nie poświęci;  
 Tak, kocham i czezę ojca, lecz stanie mię na to,  
 Bym dotrwała męj doli, chociażby za kratą!...

**Koniec Aktu Igo.**

*Alexy Horodziński.*

1843 r., ezerwca 10 d.

Horodzieniec.

WIOSNA

# Akt drugi

Dramatu fantastycznego:

## PRZESILENIE DNIA Z NOCĄ.

(Z powieści gminu).

OSOBY AKTU DRUGIEGO.

**Król.**

**Doktor.**

**Dworzanin królewski.**

**Warabades.**

**Indjanin.**

**Piérwszy Pan**

**Drugi Pan**

**Trzeci Pan**

} Członkowie ciała dyplomatycznego.

**Artur.**

**Dziewica.**

**Wajland, naczelny wódz wojsk nieprzyjacielskich.**

**Jenerał Konas, drugi wódz.**

**Oficer, goniec Króla Tysiaca Rzek.**

**Dwaj inni Oficerowie.**

**Dymitr,**

**Walenty,**

} Żołnierze.

I cały oboz nieprzyjacielski.

## AKT DRUGI.

### Scena I.

(Pokój sypialny królewski).

(Król chory, leży uspiiony. — Przy stoliku siedzi Doktor. —  
W oknie stoi Dworzanin królewski).

(Długie milczenie).

KRÓL (budzi się).

Która godzina?

DOKTOR.

Czwarta.

(Król patrzy na strony).

Kogo szuka N. Pan?

K R Ó L.

Gdzie jest Matyllda?... Zawsze mię odwiedzała o tej godzinie. Doktorze! nie broń jęj widzieć się ze mną.

(*Do Dworzanina*).

Powiedz, niech przyjdzie Królowna.

(*Dworzanin stoi*).

Nie jesteś głuchy; nie możesz powiedzieć: nie słyzałem. Idź, powiedz Królownej, niech przyjdzie.

(*Dworzanin okazuje chęć iścia, nie rusząc się z miejsca*).

*Do Doktora, z uzaleniem*).

Widzisz, Doktorze, jak, za życia jeszcze, wypełniają moje rozkazy?...

DOKTOR.

Niech się W. K. Mość uspokoi. N. Królowna bez cudu przyjść tu nie może.

K R Ó L.

Prawda.... Zapomniałem.....

(*Wzdycha; tzy mu po twarzy sypią się gradem*).

DOKTOR (*przystępując do łóżka*).

N. Panie! racz pamiętać, że spokojność koniecznie potrzebna do zdrowia.

K R Ó L.

Daj mi już pokój — chcę umrzeć.

DOKTOR.

Życie W. K. Mości jeżeli nie dla Niego, potrzebne jest dla jego poddanych.

K R Ó L.

Gdybym był gorszy od Nerona, powiedział-

byś to samo... Życie moje jest śmiercią moich poddanych.— Ale nie mów nikomu.

*(Dworzanin usuwa się na stronę).*

Co to przemknęło koło okna?

**DOKTOR.**

Rzecz marna—jakaś cień.

**K R Ó L.**

Cień!... Mara!... nie prawda — Duchy nie łamią słowa..... Albożem złamał daną obietnicę?—

*(Długie milczenie).*

Doktorze! usiądź przy mnie.

*(Doktor siada).*

Powiedz, mój Doktorze, czy będę zdrow?

**DOKTOR.**

Zacóżbyś W. K. Mość nie miał być zdrow? Oprócz lekarskich środków, tysiące modłów wznoszą się za zdrowie W. K. Mości.

**K R Ó L.**

Takim sposobem żyłbym wicznie. — Co jutro?

**DOKTOR.**

Środa—Przesilenie dnia z nocą.

**K R Ó L.**

Godzina dziwów — Czy wierzysz, Doktorze, w dziwy?

**DOKTOR.**  
 Niech się w tém W. K. Mość poradzi spowiednika.

**K R Ó L.**  
 Spowiednik, jak każdy ksiądz, powie, że diwów niema; ale daję ci królewskie słowo, że nie tylko umarli chodzą po śmierci, ale tak są żarłoczni, że na raz zjadają całych żywych ludzi... Ale nie mów nikomu — jest to tajemnica królewska.

*(Milczenie).*

**DOKTOR.**  
 Czy pamięta W. K. Mość, że jutro koniec rozejmu?

**K R Ó L.**  
 Jutro?... dobrze mówisz. Niech się biją; za kim będzie Bóg, ten zwycięży.

**DOKTOR.**  
 N. Pan mówi, jak osoba zupełnie obojętna, nienależąca do żadnej strony.

**K R Ó L.**  
 Bo poznałem marność świata. I gdyby nie to, że śmierć moja będzie piekłem dla mojej córki, chciałbym dziś umrzeć.

*(Wchodzi WARABADES, niosąc pod pachą szkatułkę).*  
 Przychodzisz, mistrzu, po mą duszę? — Żadnego nie dałem ci nigdy na to cyrografu.



WARABADES.

N. Pan dziś w dobrym humorze.

K R Ó L (do DOKTORA).

Doktorze, zostaw na moment nas samych, ale nie odchódź.

(DOKTOR wychodzi, za nim DWORZANIN).

Jakież, mistrzu, przynosisz wieści? Pokaż fatalne zwierciadło, czyją patrzy śmiercią?

(Pauza).

Cał do grobu—krwią niewinnych muszę ma-  
zać sumienie.... Jest to okropnie! — nie praw-  
dą? — Ale ty tego nie rozumiesz.

WARABADES.

W. K. Mość pełni swoje powinność.

K R Ó L.

Powinność? przelewać krew!

WARABADES.

..... są jako lwy.— Ich....., jako za-  
jające — lisy — tchórze — osły.... Tamci pełnią  
swoje przeznaczenie, a ci ulegają swemu —  
i wszystko idzie dobrze.

K R Ó L.

Przestań nierządnicę ubierać w suknie bia-  
łe. Jest to jedna z starych córek twojego mistr-  
za, Belzebuba.

WARABADES.

Przez ciągle użycie zestarzała; ztąd wnoszę,  
że nierządnicą—bo z cnotą zdaleka nawet zejść  
się trudno,

K R Ó L,

Nie wiedząc co mówisz, mądrześ powiedział.

WARABADES.

Podły knecht uliczny powie W. K. Mości  
toż samo.

K R Ó L,

Knecht, giermek, rycerz, kobieta, król...,  
wszyscy powiedzą to samo i więcej jeszcze nad  
to; ale niema ktoby uczuł, oprócz na łożu  
śmierci,

WARABADES

*(stawiąc przed KRÓLEM zwierciadło).*

Oto zwierciadło!

K R Ó L

*(patrzy w zwierciadło... nagle marszczy brew, trąca  
o stół, spada zwierciadło i tłucze się w sztuki).*

Jak śmiecz z tém stawać przede mną?

WARABADES

*(zdziwiony, do siebie).*

Orestes i Pylades!—Rzecz dziwna... tyłem  
zglębił tajemnie przeszłości i przyszłości—ta  
jedna została dziewicą!... Jest to nad moje  
pojęcie....

K R Ó L.

Od jakiegoż to czasu brzuch córki będzie grobem jej ojca?

W A R A B A D E S

*(poznawszy omyłkę królewską).*

N. Panie! zaszła tu mała omyłka.

K R Ó L.

Jaka omyłka? niewolniku!

W A R A B A D E S.

N. Pan wziął kogo innego za siebie.

K R Ó L.

Nie mamże oczu?— nie znam téj twarzy?— tych włosów?— téj brody?—co?— Nie czyni mię, proszę, głupcem.

W A R A B A D E S.

Tyleś razy, Królu, patrzył w to zwierciadło, czyż nie zawsze pierwszém jego odbiciem była postać W. K. Mości?

K R Ó L.

Prawda—a dla czegoż teraz nie było drugiej?

W A R A B A D E S.

Kiedy zamknięty w mojej pracowni wywoływam duchy, żadna żyjąca postać nie ukazała mi się tą razą. Aż za trzeciém ledwo zakłębieniem zabielało: KANCLERZ.

K R Ó L.

Co to wszystko znaczy?

WARABADES.

Znaczy wielką, niedaleką odmianę.

K R Ó L.

Nie wiesz jaką?

WARABADES.

Czas to wytłómaczy. Nie chcę niepewnych domysłów udawać za objawienia.

K R Ó L.

A słowo: *Kanclerz* co znaczy?

WARABADES.

Słowo to znaczy, że jutro przyszła kolej na Kanclerza.

K R Ó L.

Napisz dekret, a ja podpiszę.

WARABADES.

Dobrze, Królu!

*(Do siebie).*

Nie umkniesz, stary lisie! na moje brode!  
nie umkniesz! *(Siada i pisze).*

K R Ó L.

Czekaj! nie pisz jeszcze. Lękam się, aby głośne przekleństwa nie ścigały mię po śmierci. Ma wielką miłość u ludu.

WARABADES.

Głośne przekleństwa są jak wystrzał z pistoletu; gdy tymczasem ciche, jak strzała wypuszczona z łuku, dalej lecą i głębiej ranią.— Jeżeli W. K. Mość chce mieć spokojne noce, niech się nie waha podpisać.

K R Ó L.

Na nim polega bezpieczeństwo mojego tronu. Wynajdź inny sposób—osypię cię złotem.

WARABADES.

Duchy niełatwo dają się oszukać.— Jednakże.....

*(Stoi zamysłony. Długie milczenie. Nagle uderza się ręką w czoło).*

K R Ó L.

Cóż takiego?....

WARABADES.

Mogę tę usługę wyświadczyć W. K. Mości. Szczęście to wielkie, że zamiast postaci ludzkiej, ukazały się litery. W. K. Mość kogo chce może pod nie podstawić.

K R Ó L.

Dobrze mówisz. Nie chciałbym jednak dobrowolnym wyborem obciążać sumienia.

WARABADES.

Więc niech W. K. Mość rzecz tę zda na los,

dziś wygotuje dyploma, a jutro o świcie każe pierwszego człowieka, jakiego spotkają na ulicy, mianować Kanclerzem.

K R Ó L.

Na to zgoda. Będzie to los z kilkudziesięciu tysięcy. Mędrzyś, mistrzu, od Salomona.

(*Po chwili*).

W nagrodę usług, jakie nam oddajesz, weź ten bilet co leży na stoliku.

WARABADES.

Służę W. R. Mości nie dla pieniędzy, przyjąć jednak mogę. (*Bierze bilet*). Posłuży to na udoskonalenie wielkiej nauki, która często dla braku pieniędzy upadać musi.

— 10 —

## S c e n a II.

Mieszkanie Warabadesa, wschodnim gustem przybranc.

(*Na ziemi siedzi INDJANIN, olbrzymiej postaci. Wchodzi WARABADES — INDJANIN wstaje*).

WARABADES.

Gdzieżeś tak długo bawił?

INDJANIN.

Na twoich usługach, Mistrzu!

WARABADES.

Cóżeś sprawił?

INDJANIN.

Wszystko jak rozkazałeś.

WARABADES.

Dziewka czy chłopiec?

INDJANIN.

Dziewka.

WARABADES.

To dobrze. — Mała czy duża?

INDJANIN.

Szesnastoletnia.

WARABADES.

Głupcze! niech cię porwie zaraza! Gdzież  
widział, aby szesnastoletnia była niewinną?

INDJANIN.

Jest córką bogatego na wsi dziedzica.

WARABADES.

Tém gorzej — cnota jej nie jest dobrowol-  
na. — Zresztą zobaczę.

INDJANIN.

Piękność jej zachwycająca!

WARABADES.

To dobrze.

INDJANIN.

Płakała bardzo, kiedym ją porywał, i te-  
raz płakać nie przestaje.

WARABADES.

Zaraz przestanie.— Gdzieś ją podział?

INDJANIN.

W osobnym pokoju siedzi zamknięta.

WARABADES.

Nie wiesz co robi?

INDJANIN.

Płacze i modli się naprzemiانى.

WARABADES.

Prowadź mię do niej... albo czekaj—przejrę jeszcze raz, czy wszystko zrobiłem jak trzeba. Bądź tu, aż przyjdę.

*(Zstępuje przez poboczne drzwi do podziemnego lochu, z kąd za poruszeniem sprężyny odmykają się tajemne drzwiczki. Scena postępuje z nim razem i przenosi się do niekształtnego pokoju, poczerńiałego od wyziewów doświadczzeń alchemicznych.— Na środku stoją czarodziejskie narzędzia, tygły i różne chemiczne sprzęty — w kącie szkielet—przy nim miecz potwornej wielkości — na stole lampa bucha płomieniem sinym—dalej stos ksiąg starych w pergamin oprawnych. WARABADES kładnie miecz na stole, rozkłada księgę i z cyrkiem w ręku przerzuca karty.— Długie milczenie).*

Oto właśnie. *(Czyta i mierzy).*

„Długość żelaza ma być stop pięć — szerokość przy nasadzie cali trzy—na końcu siedm.— Ma być zakrzywiony jak wąż, kiedy od ziemi podnosi głowę.— Głownia nie większa, jak na ujęcie dobrego ryce-



rza; *(probuje ująć ręką)* — ma być nasadzona oczyma krokodyłów i najzjadliwszych jaszczurek pustyni afrykańskich — na końcu oko bazyliuszka, a nad niem po obu stronach w hieroglifach obrazy zniszczenia.”

Dobrze. *(Czyta dalej).*

„Miecz ten niech będzie poświęcony we krwi chłopca, albo lepiej dziewicy, nieskażonej cnoty i niewinności, któraby z odwagą rycerza przyjęła cios wymierzony.”

To trudny warunek! *(Czyta dalej).*

„Przed tym mieczem, choćby był w ręku tchórza, karła, pierzchać będą szeregi mężnych. W ręku rycerza okropnie roznieście spustoszenie, a w ręku czarownika cuda czynić będzie.— Od cięcia jego stal pryskać będzie, jak bryła lodu rzucona o kamień.” —

*(Sklada księgę i wychodzi—Po chwili szkielet przybiera ruchy życia — potrząsa głową, jamami oczu patrzy na spektatorów.... Wtém daje się słyszeć głos brązowego kogutka na stoliku — szkielet znów stoi w dawniej postawie).*

*(Wchodzi WARABADES w stroju zakonnika, i nie zatrzymując się idzie do pokoju, w którym zostawił INDIANINA. INDIANIN siedzi na ziemi z podkurczonemi nogami, założonemi na piersiach rękami, ze zwieszoną głową).*

WARABADES.

Prowadź mię do niej.

**INDJANIN** *(pada przed nim na twarz).*

**Mistrzu! daruj jój życie!**

**WARABADES.**

Na moję brodę! nigdy cię nie sądziłem takim.—Nie wiesz-że jaka czeka mię sława? Kiedy dosięgnę najwyższych honorów i bogactw, mniemasz że zapomnę o tobie?... Zresztą, jeżeli okaże się winną, oddam ją tobie, zrobisz z nią co zechcesz; a teraz prowadź mię do niej.

**INDJANIN.**

**Bodajby przeczucia moje nie sprawdziły się!**

*(Prowadzi WARABADESA przez kilka pokojów, oddaje klucz, i ukazując na drzwi)—*

**Tu!—**

**WARABADES.**

**Teraz idź sobie.**

*INDJANIN wraca—WARABADES, przybrawszy stosowną do stroju postawę, otwiera i wchodzi.—W kącie na sofie siedzi DZIEWICA czarującej piękności, z oczyma pełnemi łez.—Podchodząc do DZIEWICY).*

**Niech cię Bóg pocieszy, dobra Dziewico!**

*(DZIEWICA usuwa się).*

**Czy cię trwoży ta suknia?—Nie bój się, moje dziecię! Jest to suknia pokoju i niewinności.**

**DZIEWICA.**

Suknia twoja wzbudza we mnie zaufanie,  
ale wzrok twój nabawia mię trwogą.

**WARABADES.**

Są to ślady długiej niewoli; bo wiedz, mój  
aniele, że, równie jak ty, jestem więźniem.

**DZIEWICA.**

Czy jestem w więzieniu?...

**WARABADES.**

Jesteś w domu Warabadesa,—Jest to wielki  
czarownik, człowiek przeklęty od BOGA. Bia-  
da mu, kto w jego ręce wpadnie!

**DZIEWICA.**

I ja, biedna dziewczyna, jestem w mocy  
tego człowieka!?!... Ach! ratuj mię, mój ojcze!  
Będziesz miał w niebie nagrodę.

**WARABADES.**

Zapominasz, moje dziecię, że, równie jak  
ty, jestem więźniem Warabadesa. Zdaj się na  
wolę Bożą i nabierz potrzebnej odwagi.

**DZIEWICA.**

Cóżem uczyniła?...

## WARABADES.

Nie dba on, czy kto winien, czy nie. Ciesz się jednak — masz łaskę u BOGA, jeżeli ten, który gardzi każdą świętością, pozwala, abys oczyściła sumienie przed śmiercią.

## DZIEWICA.

Przed śmiercią? mamże umrzeć?!... Biada mi! biada mi!... O mój ojcze! mój dobry ojcze!—o moja biedna matko!... cóżem uczyniła?—mój Boże! mój Boże!...

*(Kryje twarz w obie ręce i zaczyna mocno płakać).*

## WARABADES.

Strzeż się, moje dziecię, rospaczy. Rospacz, jako kamień uwiązany do szyi, ciągnie na dno przepaści.

*(Pauza. DZIEWICA płacze).*

Przestań płakać. Czegoż masz żałować na tym świecie? Jesteś młoda—niedoświadczona. Świat ci przedstawia się w kolorach różowych; ale jest on jak błędny ogień, który podróżnemu wskazując miejsce spoczynku, złudza go, i zostawiwszy śród grobów, znika z oczu.

*(Pauza. DZIEWICA płacze).*

Nie płacz, moje dziecię! Tysiąc razy lepiej jest umrzeć w młodym wieku, niż starym,

kiedy stękamy bardziej pod brzemieniem grzechów, niż pod ciężarem lat.—Jesteś niewinna, śmierć twoja będzie uwielbieniem Boga; pójdziesz prosto do nieba.

(DZIEWICA płacze).

Gdybyśmy na moment mogli podnieść ducha, i okiem mądrości chrześcijańskiej spojrzeć na ziemię, poznalibyśmy marność świata i zapragnęli umrzeć.—Otrzyj łzy żalu za światem; nie przystają one w tak ważnej chwili.

DZIEWICA.

Bóg mi je może przebaczy, przez wzgląd na moją młodość.

WARABADES.

Przez wzgląd na słabość natury ludzkiej.—Płacemy rodząc się i umierając. Jednakże jest to słabość.

(Pauza).

Chcesz, moje dziecię, odbyć spowiedź przed śmiercią?

DZIEWICA,

Chcę.

WARABADES.

Spowiedź twoja nie długa. Poznałem, że jesteś niewinna. Byłaś pyszną?

Том IV.

17

**DZIEWICA.**

Nie: bo słyzałam zawsze, że pycha jest rzecz obmierzła ludzióm, przeciwna religji i rozumowi.

**WARABADES.**

Chciwą bogactw?

**DZIEWICA.**

O bogactwach ani pomyślałam, przestając chętnie na tém, co mnie moi rodzice dawali.

**WARABADES.**

Gniewliwą?

**DZIEWICA.**

Będąc wychowana w karności, od dzieciństwa przywykłam do posłuszeństwa i uległości.

**WARABADES.**

Może zazdrośną?

**DZIEWICA.**

Nie wiem nawet co jest zazdrość,

**WARABADES.**

A co do chwały Bożej?

**DZIEWICA.**

W tém, mój ojcie, jestem winną: bo chociaż wiele mówiłam pacierzy, nie mogłam podnieść myśli, aby je uczynić godnemi tak wielkiego Pana, jakim jest Bóg.

## WARABADES.

Nie twoja w tém wina, moje dziecię! Pochodzi to z nieustannéj działalności władz umysłowych.—Teraz zostaje najważniejsza.

Nie byłążeś przystępną tym myślóm i natchnieniom, jakie w nas wlewa młodość, żywość krwi, ponęty świata, bałe, towarzystwo?... Jest to przywara, której równie prawie trudno uniknąć, jak puściwszy się z wysokości wieży, upadku. Czy mię rozumiesz? moje dziecię!

## DZIEWICA.

Rozumiém. Zawsze modliłam się do Boga, aby mnie zachował od tego grzechu, i Bóg wysłuchał moje prośby.

WARABADES (*w uniesieniu radości uściskając DZIEWICĘ*).

Moje dziecię! pójdiesz prosto do nieba.

A czy przebaczasz twoję śmierć twemu mordercy?

## DZIEWICA.

Przebaczam.... Niech mu Bóg przebaczy łzy moich rodziców.

## WARABADES.

Znowu płaczesz?

## DZIEWICA.

Jest to ostatnia łza za światem.

## WARABADES.

Nie płacz. Jeszcze godzina śmierci nie uderzyła; może i nie uderzy. Mimo zastarzałych zbrodni, bywa on czasem przystępny uczuciu litości. Jeżeli z zawiązanemi oczyma poprowadzi cię na miejsce śmierci, choćby już trzymał miecz wymierzony, być może, daruje ci życie i wolność. Jednakże, moje dziecko, nie polegaj na jego sumieniu i bądź gotową stanąć przed BOGIEM. Unikaj także z nim rozmowy; nadewszystko, nie błagaj o litość.

*(Chce odchodzić).*

## DZIEWICA.

Mój ojcze! nie zapomnij mnie w swoich modlitwach.

WARABADES *(nieco poruszony).*

Ty mnie nie zapomnij, miła Dziewico, gdy staniesz przed BOGIEM. Do widzenia się.

DZIEWICA *(smutno).*

Na strasznym sądzie.

*(WARABADES wychodzi. Po długim czasie wraca w zwyczajnym stroju. — Przystępując do DZIEWICY).*

WARABADES.

Panno! już pora.



(DZIEWICA wstaje).

Zawiąż oczy—Spójrzenia dziewic chrześcijańskich rażą wzrok Indianina.

(Zawiazuje jej oczy).

Idźmy. Daj mi rękę.

(Idą do pokoju, gdzie INDIANIN. INDIANIN, postrzegłszy zawiązane oczy u DZIEWICY, uspakaja się. Ztamtąd idą do pracowni WARABADESA. Scena postępuje z niemi).

Teraz możesz odpocząć.

DZIEWICA.

Nie jestem strudzoną.

WARABADES.

Wiész-że co cię czeka?

DZIEWICA.

Wiém.

WARABADES.

Masz-że potrzebną do tego odwagę?

DZIEWICA.

Mam.

WARABADES.

Bo jeżeli nie masz, dam ci czas do nabrania jój?

DZIEWICA.

Mam! mam!—Chcę zaraz umrzeć.

WARABADES.

Dobrze!—Usiądź!

*(Bierze miecz. DZIEWICA siada i wzdycha).*

Trwożysz się?

DZIEWICA.

Nie.

WARABADES.

A czegoż wzdychasz?

DZIEWICA.

Jest to ostatnie westchnienie za grzechy.

WARABADES.

Podnieś lewą rękę do góry!

*(DZIEWICA podnosi rękę—WARABADES wymierza cios w same serce).*

Nie lękasz się więc umrzeć?

DZIEWICA

Nie.

WARABADES.

Jeszcze masz pół-godziny do życia.

*(To mówiąc, przesywa ją na wylot. DZIEWICA, wydając słaby jęk, pada bez duszy. Wyciąga miecz).*

Aż po rękojęcie!

*(Stawi miecz, bierze trupa na ręce i wynosi do przyległego pokoju. Krew leje się strumieniem. Wraca śpiesznie, bierze kawał stali i przytyka do miecza—stal pęka w kawałki. WARABADES w zachwyceniu).*

Niech żyje Warabades! pan cudownego  
miecza!...

Niech żyje Król Warabades!!

*(Po długiej pauzie).*

Teraz przyrządzę napój dla Króla.

—○○○○—

### S c e n a III.

**(Ranek.—Trzej Panowie idą ulicą. Dekoracja  
coraz się odmienia).**

**PIÉRSZY PAN.**

Wszystko jednak zdaje się potwierdzać, że  
nieprzyjaciel zbliża się pod mury stolicy.

**DRUGI PAN.**

Miał-żeby zerwać umowę?—To być nie może.

**TRZECI PAN.**

Najniezawodnićj. Wczora wysłani szpiego-  
wie toż samo donoszą.

**DRUGI PAN.**

Do jutra jednak nie powinni byli przesta-  
pić granic rozejmem oznaczonych.

**PIÉRSZY PAN.**

Dobrze jeszcze, że na tém koniec. Nic te-  
gom oczekiwał po Wajllandzie.

(Po chwili).

Słyszałem, że prowadzi z sobą trzysta tysięcy wojska.

TRZECI PAN.

I szczęście w pomoc.

DRUGI PAN.

Szczęściem jego jest błąd naszego Króla. Mogą tam rzeczy iść dobrze, gdzie rządzi czarownik?

PIÉRWSZY PAN.

I gdzie niejedność pomiędzy senatorami?

TRZECI PAN.

I ciągle zdrady? Niéma dnia, żeby kto z ministrów nie przeszedł na stronę nieprzyjaciół.

DRUGI PAN.

Niech Pan nie wierzy tym blichtróm. Miałem z wielą przyjaźń i blizką znajomość; byli doświadczoną cnoty i poświęcenia się.— Jest tu coś, co przechodzi ludzkie pojęcie— ale co?— sam Bóg to wie... Alboż to dziwne nasze poselstwo?—Jak Panowie rozumieją?

PIÉRWSZY PAN.

Widocznie Król stracił rozum.

TRZECI PAN.

Mówią, że i tój nocy posyłał po Warabadesa.

DRUGI PAN.

Bardzo być może.

(*Milczenie. W przeciwniej stronie ulicy daje się  
widać ARTUR*).

TRZECI PAN.

Będziemy mieli kulawego Kanclerza.

DRUGI PAN (*podnosząc głowę*).

Może jaki szewc, albo krawiec?

PIÉRWSZY PAN (*wpatrując się*).

Postawę ma szlachetną — musi być szlachciec.

(*Zwracając się do zbliżającego się ARTURA*).

W imieniu Króla śmiemy uczynić Panu  
niektóre propozycje.

(*ARTUR zatrzymuje się*).

N. Pan, przejrzawszy w mądrości swojej,  
co będzie z pożytkiem kraju, najmiłościwiej  
raczył go mianować Kanclerzem Państwa.

A R T U R.

N. Pan?!... N. Pan nie zna mię.

PIÉRWSZY PAN (*podając papier*).

Niech Pan przeczyta. Oto dyploma.

ARTUR (*po przeczytaniu z niedowierzaniem*).

Czy nie jest tu jaka kabala?

PIÉRWSZY PAN.

Żadna. Oto podpis królewski i pieczęć  
państwa.

ARTUR *(po pauzie)*.

Dziwna rzecz, że N. Pan w tak krytycznym czasie interesa państwa stawi na loteryję!... Proszę Panów, czy nie mógłbym być od tego uwolniony.

PIÉRWSZY PAN.

Jest to rzecz prawie niepodobna.

A R T U R.

Tylu jest godniejszych ode mnie, którzyby z honorem państwa zajęli to miejsce. Będąc cudzoziemcem, nie znam ani interesów kraju, ani stosunków z postronnemi.

DRUGI PAN.

Pan cudzoziemiec?—Ojczyzna Pana?

A R T U R.

Jestem z nad Klidy.

*(Po maléj pauzie)*.

Prócz tego, mam zamiar wrócić do swego kraju, zaraz po nastaniu pokoju.

PIÉRWSZY PAN.

Interesa państwa naszego nie są tak zawile, jak Pan rozumieć.

A R T U R.

Jakkolwiek są łatwe, potrzeba na to osoby mądrej, czynnej, biegłej w polityce.... a ja nie posiadam żadnego z tych przymiotów.

PIERWSZY PAN.

Jednakże nie podobna jest uchylić się woli N. Pana.

A R T U R.

N. Panu, jak widać, mało na tém, kto Kanclerzem, byle miejsce w senacie nie próżnowało. I Panowie nie mają zapewne powodu koniecznie tego żądać?

PIERWSZY PAN.

Zapewne że nie; ale najniżej uchybie nie rozkazóm N. Pana ciągnie za sobą odpowiedzialność. — Pan będziesz mógł po dniach kilku podać się do dymissji.

A R T U R.

A czy będzie mi udzieloną?

PIERWSZY PAN.

Najniezawodniej. Jest to prawo naszego kraju. Teraz zaś odmówić, byłoby gardzić łaską N. Pana.

(*Odchodzi z ARTUREM.*)

## S c e n a IV.

Oboz nieprzyjacielski.

(*Namiot Wajllanda. Wajlland z Generalem Konas grają w szachy. Wchodzi Oficer z papierami.*)

WAJLLAND.

Co to masz w ręku?

OFICER.

Depesze od Króla.

WAJLLAND.

Pokaż.

*(Bierze papiery, łamie pieczęć i czyta. OFICER wychodzi).*

„Rozkazujemy wam zaraz po otrzymaniu  
 „pisma Naszego śpieszyć na nieprzyjaciół,  
 „zdobyć szturmem stolicę, zostawić silną za-  
 „łogę, i z ich królem, jako zakładnikiem po-  
 „koju, dzień i noc śpieszyć na powrót. Klót-  
 „nie między pogranicznymi królikami dają  
 „nam zrzeczność zagarnienia niektórych provin-  
 „cij. Mamy nadzieję, że wysokie talenta wa-  
 „sze i Generalów z wami będących, nie dadzą  
 „opóźnieniem upaść tej sprawie.— Zostajemy  
 „na zawsze ku wam przychylny.

„*Król Tysiąca Rzek?*”

Co myślisz? Generale!

GENERAL.

Trzeba natychmiast wysłać z oznajmieniem  
 do Generała Morio.



WAJLLAND (*patrzy na zegarek*).

Do nocy jeszcze zrobimy trzy mile. Wy-  
daj, Generale, potrzebne rozkazy, i poszlij  
gońca do Morio.

### Zmiana Sceny.

(*Zewnętrzny widok obozu. Dwaj OFICEROWIE leżą  
na ziemi. Jeden OFICER podnosi głowę, i wspierając  
się na rękę, patrzy w dal.*)

DRUGI OFICER.

Co tam widzisz? kollego!

PIERWSZY OFICER.

Widzę, jak General Konas wydaje rozkazy,  
a nasi młodzi Olicerowie tańczą koło niego.

DRUGI OFICER (*po pauzie*).

Jak rozumiesz, kollego, nasze życie woj-  
skowe?

PIERWSZY OFICER.

Jest to piękna illuzja, barwiona miłością  
ojczyzny i króla; dla wielu plac z bogacenia  
się i sławy.

DRUGI OFICER.

I uświęconego zabójstwa, gdzie nasi zapaleń-  
cy za honor swego króla (\*) mordują tysiące

(\*) Króla Tysiąca Rzek. — *Przyp. Aut.*

ludzi, z którychby każdy umiał być równie dobrym królem, gdyby go szczęście na tę godność wypiosło.

*(Daje się słyszeć trąbienie).*

Co to? czy znowu w pochod?

**PIÉRWSZY OFICER.**

Widać wódzowie nowe otrzymali depesze.

### **Znowu zmiana Sceny.**

*(Inna część obozu. Dymitr leży na ziemi, Wałenty siedzi przy nim).*

**WAŁENTY.**

Wstawaj, Dymitrze! Już pierwszą pobudkę trąbiono.

**DYMITR** *(budzi się.—Drugie trąbienie).*

Do tysięcy djabłów! nie dadzą zasnąć!

**WAŁENTY.**

Wstawaj, hultaju! odpoczniesz w Hundertbergu.

**DYMITR** *(pociągając się).*

Gdyby przyszło do szturmu!— a jak skończy się na traktatach, znowu grosza. nie będzie w kieszeni. Głupie życie wojskowe! Wolalbyim leżeć pod murami Milturu, niż wstawać na każdy głos trąby.

(*Wstaje.—Trzecie trąbienie*).

**Trąb! trąb! Bodajbys przetrąbił gardło!—**

(*Wszyscy czynią przygotowanie do pochodu. Oficerowie wydają rozkazy jeżdżąc na koniach, i sprawują szeregi. Rżenie koni powiększa wrzawę. Po niejakiem czasie daje się słyszeć marsz wojenny. Całe wojsko rusza w pochód. Szeregi oręża i tentent koni coraz się tłumi, aż zniknie zupełnie. Na miejscu gdzie był oboz, gdzieś gdzie tleją niedogaste ogniska. Cichość największa).*

(*Spada zasłona*).

**KONIEC AKTU DRUGIEGO.**

**Klemens Grzymałowski.**

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

---

## Dalszy ciąg Pamiętników X. Jordana.

---

### Fragment 12.

PRZELEŻAŁEM dni kilka w łóżku w silnej dość gorączce. Ziółka i smarowidła, któremi mię troskliwy mój gospodarz nieskapo częstował, uśmierzyły powoli cierpienia, a młodość i dobra z natury konstytucja niemal zapewne przyłożyły się do skuteczności leków. Pan Ilgoński, ustąpiwszy mi swego alkierza, przeniósł się do pierwszej izby, gdzie mu goła, twarda ława służyła w nocy za łożo. Myślałem, że to z mojej przyczyny poddał się tak wielkiej niewygodzie, ale mi Grzesio powiedział, że P. Ciwun, od czasu jak osiadł w tej pustyni, inaczej nie sypia.

Jedną z owych długich i dręczących nocy, kiedy ból srogi w nodze i w boku usnąć mi nie dozwalał, chociaż ociężałe powieki ciągle się zamykały, usłyszałem szelest, a po chwili ciężkie wzdychania i tłumione jęki. Otwieram oczy... Wielki Boże! cóż postrzegam?... Oto wprost naprzeciwko mojego łóżka w głębi długiego a wąskiego alkierza... twarz Roazy jaśniejącą w czarnej pomroce!... Przecieram oczy, badam siebie czy nie śpię—patrzę pilnie... Ona! — Jęj oczy, jęj uśmiech, jęj włos ciemny, rozpuszczony i wdzięcznie wijący się około białej szyi. Chcę się podnieść, aby się rzucić ku niej—ból srogi więzi mię na pościeli, a lube widmo już blednieje, już się znowu żywo rozpromienia, jakby miotane było naprzemian radością i trwogą. Nie mogę dłużej stłumić w sobie gwałtownego na ten widok uczucia... —Roazo! kochanko moja! tyżeś to? — zawołam w najwyższym uniesieniu. Zaledwem to wyrzekł, znowu usłyszałem szelest, i widzenie znikło. Zapłakałem jak dziecko nad moją stratą, złorzeczyłem mój niecierpliwości. Któż wie, myślałem, jeżelibym się nie odezwał, jak długoby jeszcze miłe to zjawienie ludziło me zmysły? Ale czy nie umarła czasem? czyj nie

duch to jęj mię nawiedza, wzywa do niebieskich krain, do nieśmiertelnego związku? Strach mię niewolny przejął, żal potęm gwałtowny, a nakoniec łagodniejsza idea blizkiego mojego zgonu, a zatęm blizkiego złączenia się z Roazą. Świt poranny objawiły mi ptasząt pienia, bo do alkierza mego światło przeze drzwi tylko wchodziło, a te były zamknięte. Natura żądała snu, trzeba jęj było dogodzić. Przedrze-małem więc ze dwie godziny, i rozpalona głowa ukołysała się cokolwiek snem tym lekkim. Pan Ciwun odwiedził mię o zwykłej raunej porze, i obejrzawszy, rzekł—No, dzięki Bogu, gorączka przeszła, ale w noey miałaś silną. Bredzi-łeś jak na mękach. Bo też mloda krew nie wo-da; jak się byle trochę zapali, to zaraz od ser-ca do mozgu, i nuż wyrabiać dziwosy. — Mia-łem widzenie — odpowięm. — Eh, cóż w tęg dziwnego — przerwał Ilgoński.—Szatan nie spi. On z kaźdęj naszej słabości bądź dusznej, bądź cielesnej, cheiwie rad korzystać.—

— Ale to było widzenie raczęj niebieskie, kochany Panie Ciwunie!—

—Ze słów, któreś wykrzykiwał w gorączce, wnosić mi trzeba inaczej. Co wy mlodzi czę-sto, wybacz mi, nierozważnie nazywacie nie-

bem, są to czartowskie pokusy, nie więcj. Bo nieprzyjaciel duszny nie zawsze nam ukazuje swe pazury i rogi. Umić on i w najpobawniejszą odziewać się postać, a wtenczas właśnie najniebezpieczniejszy. Ciebie łudził obrazem miłośnicy, mnie innym dręczy sposobem i okrutniejszym daleko, bo stawi przed oczy cień lubego dziecka, które.... ale dość o tem. Kościół, matka nasza, podaje nam sposoby do uniknienia tych sidel: krzyż Pański, przed którym upadają potęgi piekielne, woda święcona, której moc duchowna oczyszcza nasze mieszkania. Opatrzę cię w te święte narzędzia widzialne niewidzialnej broni, a kiedy je wzmocnisz modlitwą wierzącej duszy, odpędzisz od siebie tę *Roazę, aut quocumque alio nomine gaudet inferne.* —

Bolesnie mię dotknęło to porównanie mego anioła, mojej Roazy, do piekielnej mary, ale nie mogłem się gniewać na poczeiwego starca, któremu szczera życzliwość myśl tę podała. Postanowiłem więc w cichości oczekiwać powtórnego ukazania się lubego oblicza, bom sobie nie mógł wyobrazić, aby zły duch śmiał wziąć na siebie postać téj; którą serce moje najczystszym czciło zapamięta. Tymczasem Ilgoński

okropił mnie i cały alkierz święconą wodą i zawiesił nad mojem łóżkiem bogaty relikwiarz, zawierający w sobie partykułkę drzewa krzyża Zbawiciela. — Nadeszła noc, której wyglądałem z tęsknotą połączoną ze strachem. Około dwónastej przebudzony zostałem znowu szelestem, i usłyszałem ciche łkania i jęki, ale te dochodziły do mnie z izby, w której spał starzec, a Roaza nie ukazała mi się już więcej. Słuchałem pilniej, a gdy się głos boleści znowu odezwał wyraźnie, nie podobna mi było brać tego za uludę słuchu; zawołałem więc na mojego gospodarza. Wnet on mię zapytał przeze drzwi, czego bym potrzebował; a gdy mu powiedział co mię czyniło niespokojnym, przeprosił mnie za sprawiony mimo chęci szelest, prosząc abym na to nie uważał a starał się zasnąć. Poczem układł się na swój ławic, i głucha nastąpiła cichość. Nazajutrz zapytałem go o przyczynę tych jęków, które że z jego wychodziły izby, byłem najpewniejszy; ale na to nie mi nie odpowiedział, ciesząc się tylko, że już żadnego nie miałem widzenia. Następnęj nocy, znowu jęki, lecz bardziej przytłumiane. Nie mogąc dłużej zwyciężyć ciekawości, a znacznie już na siłach pokrzepiony, wyszedłem z łóżka, i uchylwszy



drzwi cichutko, ujrzałem przy słabym świetle kaganka przyczynę dziwnych tych bolesnych głosów. Starzec, krzyżem rozścielony przed krucyfiksem, modlił się gorąco. Podnosił się czasem z ziemi na kolana, i obnażając plecy, smagał się dyscypliną. Usiadł później na ławie, i przesuwając w cichości paciórki, kończył te nocne pobożne ćwiczenia

Odkrycie to uspokoiło mnie. Zawczorajsze widzenie poczytałem za skutek gorączkowego marzenia. To zaś, com teraz oglądał, przekonywało mię, że P. Ilgoński był pokutnikiem, i że dobrowolnie siebie wygnał na tę pustynię, aby w modlitwie i umartwieniu ciała znaleźć bądź uspokojenie zgryzot sumienia, bądź ulgę w ciężkiem jakimś strapieniu, bądź nakoniec krótszą do zbawienia drogę. Pilniej mu się przyglądając, odgadywałem ze smutnego wyrazu twarzy i ze słów niektórych, że ciężka, skryta boleść dręczyła mu serce.

Uszanowanie, jakie wzbudzał we mnie wiek weterana, nie dozwalało wręcz go zapytać o przyczynę jego niedoli; on zaś, przez sam nałóg milczenia, w jakie się wprawił przez ciąg tak długi pustelniczego życia, nie miał snąć o choty przypuszczać młodego zwłaszcza człeka

do swój konfidencji. Zrazu nawet z przymusem zdawał się obojętnie zadawać pytania o miejscach i ludziach, co go dawniej żywo obchodzić musieli; ale, jak zwyczajnie bywa, (osobliwie w podeszłym wieku), potok słów rośnie w biegu, a nałóg milczenia nie jest z liczby zbyt do przełamania trudnych. Zachodziło prócz tego między nami widoczne podobieństwo w uczuciach. Obu nas, choć w nierównej mierze, ze względu na samą różnicę wieku, dręczył niepokój i smutek. Każdy miał na sercu tajemnicę, która gdy się powierzy współzującej duszy, połowę traci swojego ciężaru. Bóg litościwy opatrzył tę dla nieszczęśliwych osłodę, że się ich serca snadniej niż w pomysłności kojarzą, że kto sam cierpi, ten najlepiej bratnie pojmuje cierpienie. Tym sposobem ja i P. Ilgoński uczuliśmy niebawnie wielką słodycz w poufałej z sobą rozmowie. Jedno wspomnienie przywodziło starcowi na myśl drugie. Odpowiedzi moje na jego zapytania pobudzały go do czynienia mi coraz nowych. Wiem, w której spędziłem pierwsze mój młodości lata, była kiedyś jego dziedziczną; wszystko w niej tedy miało dla niego miejscowy interes. Taką koleją, opisując różne zdarzenia, przywiedziony byłem

do opowiadania mu historii pojmania i wychowania Roazy, zataiwszy tylko miłość, która mię z nią łączyła. Ilgoński słuchał téj powieści z wielką uwagą i wzrastającym zajęciem. Wiek dziewicy, miejsce, w którym znaleziona była, wprawiły go w głębokie rozmyślanie. Wykrzykniki: miłosierny Boże! — czyżby to być mogło! — próżna nadzieja! — ach, gdyby tak było! i t. p., wyrwały się z jego wzruszonej piersi. Kazał mi po kilkakroć powtarzać opowiadanie, a gdy postrzegł moje z tego względu zadziwienie, rzekł z głębokim westchnieniem, pocierając ręką czoło, jakby dla odegnania natarczywój myśli — Nie zważaj na to dziwactwo, młody przyjacielu! Jest to zapewne urojenie chorój mojej głowy. Żebyś mię jednak nie wziął całkiem za warjata, wyznać tobie muszę, że dziwnym, nieszczęśliwym przypadkiem, utraciłem córkę w niemowlęctwie; a ponieważ cios ten spotkał mię właśnie w miejscu, gdzieście wy znaleźli tę dziką dziewczynę, i ponieważ lata jęj zdają się odpowiadać czasowi, w którym mię Bóg tém nieszczęściem dotknął, zawinęła mi razem myśl dziecinna do głowy, że ta Łoteweczka mogłaby być moja jedynaczką. — Tu upadłszy na kolana i wznosząc ręce ku nie-

bu, zawołał— O BOŻE! odpuść grzesznikowi myśl tę zuchwałą, że przebłagał słuszną Twą surowość! że się już godnym stał Twojej litości! że mu powrócisz utracone dziecię! — Nie godzienem, o Panie, tak wielkiego szczęścia! Odwróć więc ode mnie to pokuszenie, a niech się we wszystkiem dzieje wola Twoja święta.—

Na te słowa starca radośne jakieś uczucie objęło mą duszę. Zgodność miejsca i czasu dostatecznymi były do ugruntowania we mnie nadziei, że przyjaciółka moja była właśnie tém dziecięciem, którego stratę oplakiwał nieszczęśliwy starzec. W cichój więc naprzód modlitwie błagałem BOGA, aby nam dopomógł do odkrycia tak pożądanej prawdy, a potem zwierzyłem się Ilgońskiemu wszystkich moich w tym względzie domysłów.

Nie potrafiłbym opisać poruszeń biednego ojca, którego serce w ciągu tej rozmowy miotane było coraz to inném uczuciem. Już się poddawał nadziei z dziecinną prawie radością, już odpychał od siebie tę pocieszycielkę z rozpaczą człowieka skazanego na wieczną niedolę... Ale jeszcze żyjące serce, coby się prędkiej lub później nie dało ovladać urokowi miłego przeczucia? Jestże noc tak ciemna w duszy

śmiertelnika, którejby mroku ta gwiazda nie rozjaśniła choć na krótką chwilę? Gdybym o tém wątpił, przykład Ilgońskiego położyłby mój wątpliwości koniec. Kilkanaście lat przepędzonych wśród ciągłych umartwień ciała, zajęcie myśli rzeczami innego świata, nie zdołały jednak rozerwać związków jego z ludzkością; została nie łącząca go z ziemią, a tą nicią była ukryta w sercu jego nadzieja znalezienia swojego dziecka. Nie umiał wprawdzie zdać sobie sprawy z dziwnych przeczuwań, nazywał je szaleństwem imaginacji, odpierał nawet jak pokusy dusznego nieprzyjaciela, zwracające myśl jego ku widokom doczesnego szczęścia; ale naprózno coraz nowemi ostrościami żywota odganiać je od siebie usiłował: serce jego, jak sam mi to później wyznał, rozstać się z niemi nie mogło.

W dziecinnych swych uniesieniach żądał, bym mu opisał aż do najdrobniejszych rysów twarz Roazy, postawę ciała, dźwięk nawet jej głosu, i gniewał się, że tego dokładnie uczynić nie był w stanie; to znowu wymagał najświętszych urzędzeń, że go nie oszukiwał, że ona była taką, jak mu ją opisywałem. Oczy jego wprzód mętne, nagle zajaśniały, zgarbiona postać wyprostowała się, wzrostu mu, zda-

wało mi się, na kilka przybyło cali. Padał na kolana przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, ale się nie mógł modlić ustami, duszą tylko rozmawiał z niebem.

Ja z méj strony podobnego, choć w mniejszym stopniu, doznawałem odurzenia zmysłów. Wiek młody szczęśliwszy w takich przypadkach od podeszłego, byle uchwycił najslabszy promyk nadziei, wnet zeń, za pomocą bujnej, nieostudzonej lodem doświadczenia imaginacji, wyprowadza potoki światła i zanurza w nich swą duszę z weselem.

Podobni byliśmy oba do dwóch morskich rozbitków, słabiej trzymających się deszczki, z których jeden widzi w zachwyceniu blizki brzeg powabnej krainy, drugi, nie ufając oczóm, postrzega tylko skały sterczące nad powierzchnią fali.

Nadeszła noc; rozstaliśmy się niechętnie, udając się każdy na swoje posłanie. Starzec przepędził ją, jak mi powiadał, bezsennie; ja przeciwnie w snach już miłych, już straszliwych, odbijających bez ładu i związku obrazy, które się wprzód na jawie tworzyły w méj głowie, a w których Roaza główne zajmowała miejsce.

Nazajutrz, przy skromném śniadaniu, roz-

mowa moja z Ilgońskim naturalnie zeszła na tenże sam przedmiot; nigdy bowiem dwóch ludzi nie było w większej z sobą zgodności uczuć i chęci, jak ja z nim w tej chwili. Stan taki serc mimowolnie wiedzie do największego wzajem zaufania. Dusza młodzieńca pochopniejszą jest do tych wylewów; nie dziw przeto, że ja pierwszy (marząc zwłaszcza już w Ilgońskim prawdziwego ojca Roazy) wyjawiał przed nim miłość moją ku dziewczynie, i oparte na jej wzajemności najmiłsze moje nadzieje.

Starzec był prawie przygotowany usłyszeć to wyznanie; nie uszedł bowiem doświadczonemu jego oku zapal, z którym mówiłem o Roazie, a z którego domyślał się o moich dla niej uczuciach. W obecnej atoli chwili, jedna tylko myśl, jedna trwoga, jedna nadzieja, jedna żądza panowała w jego duszy.—Prośmy Boga—powtarzał po wysłuchaniu méj konfessaty—prośmy Boga, aby ona nią była! Usiłujmy jedynie przekonać się, czy ta nadzieja, co nam teraz przyświeca, nie jest ułudą, a nie pozwalajmy sobie na tak błahęj zasadzie budować projekta na przyszłość, abyśmy nie obrazili Boga płachością żądz naszych. On widzi, jakieś ty mi, chłopcze, miły; ale na tę miłość zaklinam ciebie, nie mów

mi więcęj o twoich marzeniach, by i mnie czasem myśl jaka nie opanowała, którąbym sobie w dzisiejszym moim pokutnika stanie za grzech poczytać musiał. Przekonasz się o tém, wysłuchawszy historji nieszczęśliwego mojego życia, którą ci opowiem w dowodzie powziętego ku tobie affektu. Obudziłeś w méj duszy czucia prawie już w niej zamarłe. Wysechłe źródło łez moich otworzyło się znowu z wielką ulgą ściśnionego serca w rozmowie z tobą; niechże z wyjawieniem przed tobą mych nieszczęść i win, spadnie jeszcze ciężki kamień z piersi moich.

Po krótkim zebraniu myśli, P. Ilgoński tak zaczął—

— Młodość moję spędziłem na dworze księcia Hetmana Sapiehy. Dostałem się do tego pana około czasu, kiedy on pierwsze swe poselstwo do Moskwy odbywał, a było to bodaj w roku 1584. Nie będę ci opisywał téj podróży; nie mi bowiem z nięj nie pozostało w pamięci, krom marnych uciech, okazałości i biesiad, w których ochoczo młodociane nurzało się serce, otwierając tym sposobem bujnym namiętnościóm przystęp do siebie. Podczas kiedy Książę Lew z Carem Fiedorem, synem Iwana Groźnego, ważne toczyli sprawy, większa część orszaku



poselstwa, z młodych litewskich złożona paniąt, szukała sobie w zamożnej moskiewskiej stolicy rozrywek, których domy bogatych bojarów obficie dostarczały. Niżsi dworzanie, w których ja byłem liczbie, naśladowali wyższych. Hulan-ki, uczyty, igrzyska, codziennie nas zajmowały, i łatwo się domyślić, iż się to wszystko nie o-beszło bez obrazy Boga. Rzecz atoli pewna, że poselstwo Księcia Lwa Sapiehy odbyło się nie tylko z przepychem i wspaniałością, ale o-raz z dobrym skutkiem dla spraw rzeczypospo-litój i z wielką sławą dla samego posła.—

—Po śmierci króla Stefana, Lew Sapieha, popierając elekcją królewicza szwedzkiego, a dzisiejszego króla naszego Zygmunta, przeciw Maxymiljanowi arcy-książęciu austriackiemu, któremu większa część Litwy sprzyjała, wpły-wem swoim i zręcznością przyłożył się do zwy-cięzenia tego niebezpiecznego współzawodnika, i w nagrodę téj zasługi, Pieczęć Wielką Litewską otrzymał. Wkrótce zaś po swój koronacji na-dał mu Zygmunt wiecznemi czasy dobrą Skor-wińskie w Czerejszczyźnie, między jego włościa-mi w województwie Połockiém leżące. Do rze-czonych elekcyjnych zabiegów byłem i ja nie-raz od księcia używany, a wykonawszy, jak mó-

wią, *per fas et nefas*, ale z wielką gorliwością, różne poruczenia, większe zyskałem względy.—

—Łaskę atoli książęcą, jakem już powiedział, winien byłem szczególnież zręcznemu promowaniu na sejmikach kandydatów Sapieżyńskiej partji i junackiej odwadze w popieraniu częstokroć sprawy naszej szablą. Nie myśl jednak, żebym tak czyniąc, wypełniał wolę mego mecenasa. Książę Kanclerz nie był wolen ambitu, ale mąż to w gruncie serca prawy; gdyby wiedział o niektórych moich sejmikowych sztuczkaach, nie zagrzałbym miejsca w jego domu. Nie tajno mi to było, ale chuć nabycia znaczenia i pieniędzy czyniła mnie odważnym, a namiętny, gwałtowny charakter posługiwał nieraz do przełamania trudności, któreby rozważnego, a szczególnie szkrupulatnego człeka na tej drodze wstrzymały. Widząc do jakich mi successów łaska takiego, jak Lew, magnata doprowadzić zdoła, służyłem jemu gorliwie, własnej atoli korzyści nie spuszczał z oka. Brak ten bartu duszy przypisać w wielkiej części mogę zaniedbaniej w dzieciństwie religijnej instruceji. Ojciec mój w czasie krzewiącego się na Litwie wyznania augszpurskiego, zachwy-

ciwszy tego sektarstwa, i mnie w niem niby wychował. W błędnych więc zasadach wiary (a prawdziwiej mówiąc, bez religijnych zasad) dostałem się na dwór Księcia, który sam podówczas ze swą małżonką rzeczzonego trzymał się wyznania. Stało się jednak, iż w roku 1585 (czego atoli nie byłem świadkiem) Książę w wigilją święta Pańskiego, częstując licznie zgromadzonych gości, przedłużył ochotę aż do białego dnia, i należycie nie wytrzeźwiony, udał się na nabożeństwo do zboru ewangelickiego; tam zaś minister zborowy jął go zniewalać, aby, nie zważając na tę okoliczność, przystąpił wraz z innymi do komunii. Postępek ten duchownej osoby oburzył mądrego i bogobożnego pana. Postanowił więc odrzec się błędliwej wiary, której wyznawcy, jak się wyrażał, nazbyt poufale z Bogiem swym postępują. Ażeby jednak nie zmartwić nagle żony swjej, z domu Firlejówny, przywiązanej do swego wyznania, nawrócenie swoje wykonał w tajemny sposób. —

—Wybrał się tedy ze dworem na wielkie łowy, a kiedy my wszyscy uganialiśmy się po miedzyrzeckich kniejach za zwierzem, on tymczasem udał się z jednym tylko pacholikiem do myśliwskiego domku, zbudowanego w puszczy,

gdzie już na niego oczekiwał wcześniej zaproszony kapłan. W tej samotnej ustroni przepędza Lew dzień i noc całą na pilnym roztrząsaniu sumienia, wyznawa z prawdziwą skruchością przed kapłanem grzechy w ciągu trzydziestoletniego życia swego popełnione, odrzeka się błędów swęj herezji, i otrzymuje rozgrzeszenie. Na drugi dzień dopiero złączył się on ze swym orszakiem; a kiedy uradowani przyjaciele i słudzy otaczają go i opowiadają w jakiej byli o niego niespokojności i trwodze, nie wiedząc gdzie się był podział, i myśląc, że się gdzieś zabłąkał—Zaiste błądziłem — odrzekł z uśmiechem — ale z łaski Boga trafiłem nakoniec na dobrą drogę, i oto mnie macie w najlepszym zdrowiu. — Ledwie w rok później, po uczynioném przezeń w Krakowie publiczném wyznaniu wiary katolickiej, poznaliśmy prawdziwe onych słów jego znaczenie. —

— Muszę tu przytoczyć sen cudowny, który miała Księżna Jejmość właśnie owęj nocy, kiedy mąż jęj odbywał w lesie spowiedź. Oto, ujrzała we śnie sędziwego starca, który do nięj mówił: „*Ty śpisz, a mąż twój myje się w kąpielu.*” Na te słowa przebudzona przejmując się wielką trwogą o zdrowie swego małżonka, tłó-

macząc sobie rozmaicie ową kąpiel, raz za deszcz ulewny, drugi raz za krew ze zranionego na łowach męzowskiego ciała, a nie może się domyślić, że ta kąpiel znaczyła łyż skruszonego przed Bogiem serca, znaczyła krew z ran Jezusowych płynącą na obmycie z grzechów sumienia, jak to w rok potem sobie wytłómaczyła, po uczynioném od męża wyznaniu wiary katolickiej, którą i sama przyjęła, skutkiem łaski oświecenia w nagrodę cnot swoich (\*).

—Przykład Księcia Pana pobudził mnie do odrzeczenia się mego wyznania; nie było w tém atoli prawdziwego natchnienia duszy, ale raczej chęć przypodobania się J. O. Mecenasowi, chęć utwierdzenia się w jego łasce i zaufaniu, wcale niezgodna z ważnością rzeczy tak stanowczej. Biada człowiekowi, który bierze religją za narzędzie swych ziemskich widoków! Byliśmy natenczas w Krakowie, gdzie się znajdował i X. Piotr Skarga Jezuita, sławny ze swęj świątobliwości i cudownęj wymowy kapłan. Udałem się

---

(\*) O tych dziwnych szczegółach nawrócenia Lwa Sapiehy i jego małżonki piszą ich spółczesni: *Rostowski* pod rokiem 1586. Lib. III. fol. 158, *Rywocki in Idea magni Herois*. — Patrz *Życia Sławnych Polaków* Tom I. w Wyborze Pisarzów Polskich, wydanie Mostowskiego.

do niego, jako do wysoce od samego króla cenionego męża, aby jednego jeszcze zapewnić sobie znakomitego protektora; ale ten mąż, ducha Bożego pełen, odkrył wnet rzeczywiste pobudki mojego nawrócenia, i po wybadaniu mię należytem, rzekł do mnie: „Nie widzę w tobie, „mój synu, potrzebnych usposobień duszy do „przyjęcia naszej świętej wiary; lękam się o- „wszem, abyś nie chciał jęj nabyć dla twęj lep- „szej na tym tu świecie wygody, jak zwykliśmy „zmieniać odzież stosownie do przemian po- „wietrza. Owoż takie mizerne względy nie „powinny mieć miejsca w rzeczach Boskich, „w przedsięwzięciach tyjących się przyszłego „losu nieśmiertelnęj duszy naszej. Wiedz al- „bowiem, iż jeżeli Kościół nasz święty z rado- „ścią na łono swoje przyjmuje wracające doń „obłąkane owce, brzydzi się atoli takimi, co doń „przychodzą dla zmysłowego tylko żeru, jak to „mówią: *non propter Jesum, sed propter esum.* „Zbadajże pilnięj, mój synu, wnętrze twego „serca; przeniknij się lepięj duchem wiary, „rozważ głębięj naukę katolickiego Kościoła, a „nadewszystko oczyść serce i myśl ze wszyst- „kich złych chuci, odeprzyj się całą duszą czar- „ta, pobudź siebie do szczéréj skruchy za grze-

„chy, do szczerého przedsięwzięcia poprawy  
 „życia, bez czego odmiana religji nie mogła-  
 „by cię zbawić; a wtenczas przychodź do mnie  
 „szukać wiary w duchu prawdy. Ja tymczasem  
 „niegodne modły moje ofiarować będę za cie-  
 „bie Panu.” Temi słowy pożegnał mię kapłan  
 prawy, ja zaś zawstydzony, ale niepoprawiony,  
 daleki od korzystania z rad jego zbawiennych,  
 znalazłem innego księdza, który nie tak grun-  
 townie roztrząsnąwszy moje pobudki i usposo-  
 bienia, a wiedziony tylko chęcią nawracania  
 dyssydentów, przyjął moję rewokację, i do licz-  
 by wyznawców katolickiej wiary bez dalszych  
 trudności zapisał. —

—Wyznać oraz muszę jeszcze jedną ważną  
 pobudkę mojego nawrócenia. Marszałek Sapie-  
 żyńskiego dworu, Borzymiński, wdowiec, miał  
 córkę młodziutką i bardzo nadobną. Piękna ta  
 i cnotliwa panna była, rzecz można, ozdobą  
 fraucymeru Księżnej Kancelerzynj. Miała też  
 ona wielu konkurentów; ale ojciec tém był trud-  
 niejszy w wyborze zięcia, im większe sobie ro-  
 seił nadzieje pomyslnego związku ze względu na  
 piękne przymioty i niezły posąg swj jedyńcz-  
 ki. Mnie się ta panna podobała nadzwyczaj-  
 nie. Uczułem wkrótce do nięj gwałtowny affekt,

może właśnie dla tego, że z jęj strony nie postrzegałem wzajemnej skłonności. Dwie prócz tego stawały mi na drodze przeszkody: ubóstwo i różnica religji. Postanowiłem więc zacząć od usunięcia ostatniej, przyjmując wiarę katolicką. Był to, jak mówiłem, w oczach moich szczebel do podniesienia się w łasce u Księcia; na tęg zaś budowałem fortuny i miłości mojęj nadzieje. Byłem się dobił popłatnego urzędu; reszta, myślałem, już mi pójdzie jak z płatka.—

—Tak tedy katolik z imienia, a w gruncie do żadnej nieprzywiązany wiary, udawałem pobożność dla przypodobania się Księciu, pochlebiałem Borzymińskiemu, i z wielką ostrożnością zalecałem się pannie. Kollegów moich postrzegałem pilnie, aby się nikomu nie dać ubiedz w łasce u pana, tych zaś szczególnie, którzy, jak to mówią, smalili cholewki do Panny Teresy. Sokoli wzrok zazdrości dał mi wkrótce odkryć, iż jeden z dworzan, nazwiskiem Łukaszewicz, przystojny, zacyjny młodzian, ale skromny i bez doświadczenia, wzdychał w eichości do córki Marszałka. Niebezpieczny był to współzałotnik, bo piękniejszy i bogatszy ode mnie, przytęm szacowany od ojca panny, i w łasce u obojga



Książąt. Śledząc wszystkie jego kroki, spostrzegłem niebawnie z przerażeniem, że i ona nie była ku niemu obojętną. Trzeba mi więc było zgubić go koniecznie. Zwykłym tedy trybem chytrłości, szukałem przystępu do jego serca, a niedoświadczony, prostoduszny młodzieniec, biorąc obłudne moje oświadczenia i fałszywe przysługi za prawdziwy affekt przyjaźni, wpadł niebacznie w nastawione nań sidła. Owładnąwszy nim całkowicie, stałem się wkrótce panem tajemnicy jego serca, i obowiązałem się do pomagania w tych jego zamiarach, warując sobie, aby nie czynił beze mnie. Upośledzenie zaś jego w oczach panny, jej ojca, Książąt i całego dworu, zdało mi się najlepszym środkiem do naniesienia mu zgubnego ciosu. W tym haniebnym celu, umyśliłem zepsuć jego obyczaję, a przynajmniej zachwiać jego reputację, wciągnąwszy w złe towarzystwo. Mieszkaliśmy wówczas w Krakowie. Miałem tam skryte stosunki z ludźmi bawiącemi się rzemiosłem oszustów, na jakich żadnej stolicy nie zbywa. Z niektórymi z nich znałem się dawniej na Litwie, używając ich, za pieniądze Księcia, do intryg sejmikowych. Byli mi tedy obowiązani i gotowi na każde moje skinienie, lecz związki

z temi nędznikami umiałem należycie ukryć przed uczciwemi ludźmi. —

— Na czele téj bandy był Włoch, wyćwieczony koster, którego talentóm tak w karty jak w kości żaden z nas Polaków nie sprostał. Towarzysze dostarczali mu fryców, a jego rzeczą było ogrywać ich i dzielić się z pomocnikami zdobyczą. Wieczorynka zaczynała się wesolą ucztą, której towarzyszyły: mniemana żona, córki i synowice godnego Pana Brykoniego. Nie żałowano wina, a gdy się już podochocili goście, następowała gra, i co za nią idzie, ruina nie jednego nierozważnego młokosa. Do tego to domu postanowiłem wprowadzić biednego Łukaszewicza, i na ten koniec nastęczyłem mu niby z przypadku znajomość z jednym z najrzęczniejszych rzezimieszków, który, jak wilk w baraniej skórze, potrafił udać przed nim poczciwego rubachę, i tak go powoli opętał, że dał mu siebie w końcu za nos wodzić. Ten więc oszust, wprowadziwszy niedoświadczonego młodziana do swéj jaskini, nie przypuścił go zrazu do wszystkich téj komiływy sprośności, chciał go bowiem omamić pozorem niejakiem przystojności w tym domu. Wieczera zatem odbyła się wesolo, atoli przystojnie, w ciągu której

gospodarz bawił gości dowcipnemi dykteryjkami, a potem jedna z młodych kobiet pięknie śpiewała piosenki, przygrywając sobie na lutni. Łukaszewicz odszedł uradowany z mile przepędzonego wieczoru. Tak go przynęciwszy, podsuwał mu zwodziciel coraz to nowe pokusy. Cóż za dziw, że młody bez doświadczenia człowiek smakować sobie zaczął w tém rozwiązłym życiu. Ale prawość charakteru i dobrze zaszczerpione zasady uchowały go od całkowitego zepsucia. Potrafili oszusty upajać go i ogrywać, ale nie zdołali uczynić niecnotą. —

— Dla mnie dość było już pozoru do zrujnowania jego reputacji z każdego względu. Postępowałem atoli z całą ostrożnością wierutnego obłudnika, bo nie tylko przed nikim nie oskarżyłem przyjaciela mego, alem go całemi siłami zrazu bronił, a później chytrze nad krewkością jego ubolewał. Księstwo, Borzymiński i jego córka, dowiadywali się z boku o nieporządnej konduicie Łukaszewicza; we mnie on zawsze miał adwokata, chociaż ta pozorna obrona szkodziła mu właśnie najbardziej. Postrzegł się nareszcie, opuścił tę jaskinię lotrów, zostawiwszy w niej część swojego mienia, wrócił z prawdziwą skruchą na dawny tor przykład-

nego życia, ale choć przeprosił Księcia, nie mógł się podnieść całkowicie ze swego upadku, nie pozyskał na powrót dawnych względów, utracił przyjaźń Borzymińskiego, zachwiał na czas długi ufność, jeżeli nie stracił affektu swój ulubionój. — Tak to, mój synu, uważnym być trzeba młodemu w wyborze przyjaciela, tak oraz jeden krok płochości zaprowadzić może w głęboką kałużę rozpusty, tak nakoniec, splamiwszy raz dobrą konduite, nie podobna prawie oczyścić jej całkowicie w oczach ludzi. —

—Wiodąc Łukaszewicza do zguby, cel miałem podwójny: wyrugować go z serca Panny Borzymińskiej i razem z łaski Księcia. Pierwszy chybił, drugi dał się osiągnąć zupełnie. —

—Zawakowało miejsce gubernatora czyli rządzcy w owych dobrach Skorwińskich *alias* Skoruty, które, jak ci już mówiłem, Książę był otrzymał od króla w województwie Połockiem, w nagrodę swych gorliwych czasu elekcji posług. Łukaszewicz miał sobie przyobiecana ważną tę administrację, i byłby ją otrzymał, gdyby nie ta dla niego nieszczęśliwa okoliczność, która zachwiała ufność, jaką w nim pokładał Książę. Ja tymczasem skorzystałem doskonale z upadku spółzawodnika mego. Nie opuszczając

żadnego środka, nadskakiwałem nadwornemu kapelanowi, wielkiego udając nabożnika. W dni powszednie służyłem mu do mszy, nosiłem na processjach baldakin, czasu kazania stawałem naprzeciwko ambony, aby widział, z jaką go słucham uwagą i skruchą. Zaskarbiłem więc tym sposobem jego względy, i użyłem protekcji do otrzymania rzeczzonego miejsca. Teraz-to dopiero zaczęła się rzeczywistość moja krescytywa. Dobra piękne, włościanie zamożni, łatwy spław zboża i drzewa do Rygi Dźwiną—wszystko mi sprzyjało matać na swoje kolka porządne z tej administracji obrywki. Nie potrzebowałem nawet plamić się kradzieżą pańskiego grosza. Tej przynajmniej ostatniej podłości nie popełniłem. Ale nie miałem skrupułu prowadzić handel na własną rękę. Zawiązałem w Rydze z kupcami korzystne stosunki, biorąc od nich prócz tego sowite porękawiczne od każdego przywozu produktów z obszernego klucza. Włościanie znosili mi podarunki przy rozsądzaniu spraw i nowych podziałach gruntów; ekonomowie folwarków i arendarze karczem znali się także na podobnej grzeczności; furmanki do zwozu moich towarów miałem *gratis*; słowem, że takimi uczciwymi, jak wielu podoba się nazywać, spo-

sobami, dorobiłem się w krótkim czasie pięknego kapitału. Dochodziły wprawdzie czasem na mnie zażalenia do Księcia; ale że wysłani rewizorowie nie znajdowali nigdy nic do zarzucenia moim rachunkóm i księgóm, utrzymywanym w najlepszym porządku, że proporcjonalnie większe nawet z mojego klucza niż z wielu innych do kassy pańskiej wchodziły importacje, utrzymałem się w renomie dobrego administratora, odbierałem co roku gratyfikacje, aż nakoniec konferowany mi kredens na urząd Uszerskiego Ciwuna uzupełnił pomysłne stanowisko moje w szlacheckiej klasie.—

—Teraz już, rzekłem sobie, czas potentować znowu o Pannę Borzymińską. Dodać muszę, iż zaszła była jeszcze jedna okoliczność, smutna dla Księcia Sapiehy i jego przyjaciół, ale dla mnie całkiem pomyslna. Księżna Jejmość, pierwsza małżonka Lwa, zeszła z tego świata w 1591 roku, właśnie kiedy ja objąłem gubernę dóbr Skorwińskich. Teresa Borzymińska straciła w niej, rzecz można, matkę. Dopóki żyła ta pani, samby ojciec nie śmiał zmuszać swej córki do małżeństwa przeciw jej woli, a Księżna, wiedząc o przychylności swej wychowawcy dla Łukaszewicza, który, pomimo swej przy-

padkowej płochości, w większej ode mnie był u niej estymie, sprzyjała ich wzajemnej skłonności; lecz bądź z uwagi na wielką jeszcze młodość panny, bądź że się z nią tak rychło rozstać nie chciała, a może i w celu zapewnienia się o rzeczywistej poprawie młodziana, odłożyła do pewnego czasu wdanie się za niemi do ojca i do księcia. Tymczasem śmierć ją zaskoczyła, a stroskana Teresa, pozbawiona orędowniczki, przeszła całkowicie pod władzę swojego rodzica. Byłem więc z tej strony spokojniejszy, i tym żarliwiej zająłem się złożeniem sobie co najprędzej majątku. Dopiąwszy tego celu, udałem się do Wilna, gdzie podówczas Książę rezydował z dworem, a chociaż chłodno od panny powitany, oświadczyłem ojcu moje zamiary i prosiłem o rękę Taresy. Ten zaś tak mi odpowiedział — Przyjmując z rekognicją deklaracją Waszmości, otwarcie powiem, że mój córki nie wydam, jeno za posesjonata, i *notabene*, nie na wiosieczce, ale co się zowie na wiosce. Wiem, że Waszmość masz już *certum quantum*, ale ja pragnę, by zięć mój miał swój własny ziemi kawał. Takie jest, Mości Ciwunie, moje *ultimatum*.—

—Nie było co dysputować; znalazłem upor dzia-

da, wziąłem się więc do nabycia ziemnego majątku. Sąsiadując prawie z Inflantami, zajrzałem tam, i udało mi się kupić dobra Auleńskie od pewnego Pana Grotuza, na bardzo dogodnych kondycjach, bo na restancję należnej sobie summy, której złożyć nie byłem w stanie, zgodził się poczciwy Niemiec przyjąć ode mnie z kilkoletnim terminem oblig, a wydał mi zaraz czyste przedażne prawo. Taką opatrzony bronią, rozpocząłem znowu konkury, i tą razą ojca zaspokoilem zupełnie. Przeczytawszy prawo, intromissję, oraz inwentarze Aulii, uściskał mnie serdecznie, przywołał córkę, i oznajmiwszy wolę swoją, włożył jęj na palec ofiarowany ode mnie djamentowy pierścień, nawzajem mi od nięj dając kosztowny sygnecik, jedną z pamiątek po nieboszczce Księżnie jęj pani. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy biednej dziewczyny w tęg dla nięj stanowczęj chwili. Trzeba było być takim jak ja wtedy samolubem, żeby się nie zmięczyć głęboką żalością i słodką oraz rezygnacją, co się malowały na jęj nadobnej twarzy. — Nie kocham Waszmości — rzekła do mnie — bo kłamałabym, mówiąc inaczej; ale oto jest moja ręka, ponieważ tak chce mój pan ojciec, a Bóg mi go słuchać przykazał. — To wyrzekł-



szy, upadła zemdlona. Starzec się zafrasował zrazu, lecz później rzekł sobie i mnie na pociechę— Alboż i moja nieboszczka żona nie robiła tych fochów przed ślubem? a jednak żyliśmy z sobą w zgodzie, jaką daj Boże każdemu małżeństwu.— Łukaszewicz, uwiadomiony o zaręczynach, wszystkiego się dopiero domyślił, a słusznym uniesiony gniewem, w obliczu Marszałka i dworzan niecny mój postępek na oczy mi wyrzucił, obelżywych nie szczędząc wyrazów. Przyszło do kłótni, i w ślad do pojedynku. Porąbaliśmy się nawzajem; ale moje rany były lekkie, on zaś kilka niedziel przeleżał niebezpiecznie, a tymczasem odbyło się moje z wydartą jemu najmilszą wesele. Właśniewem, pożegnawszy teścia, wsiadał z żoną do powozu, kiedy Łukaszewicz łoże boleści opuścił, i patrząc na odjeżdżającą, jakby wieszczę te słowa na wieczne pożegnanie do niej wyrzekł— Nieszczęśliwa Tereso! bądź zdrowa!... Stałaś się pastwą przewrotnego człeka... Los twój z nim będzie smutny, bo nad zdrajcą wisi straszna pomsta Niebios!... Bądź zdrowa! Złączymy się w niedalekim czasie na lepszym świecie na wieki! — Żona moja, opuściwszy głowę, długo płakała w cichości, mnie zaś złowieszczę Lu-

kaszewicza słowa brzmiały długo w uszach, a na zawsze ugrzęzły w sercu.—

—Podróż nasza przeciągnęła się nad spodziewanie, bośmy zbaczać musieli z traktu dla nawiedzenia bliższych moich i żony mojej krewnych na Litwie, w każdym zaś domu gościnnie przyjmowani, więcej miesiąca kuligiem od komina do komina wędrować przyszło, niemeśmy odbyli wszystkie nawiedziny i mogli się puścić prostą ku domowi drogą.—

—Przejeżdżając przez Brasław, zatrzymaliśmy się w tém miasteczku na popas. Znajomy tamecznemu plebanowi, postanowiłem go odwiedzić; a jako żona moja utrudzona podróżą potrzebowała spoczynku, udałem się sam do probostwa. Plebana nie zastałem w domu. Zastępował miejsce jego komendant Żmudzin z pod ciemnej, jak mówią, gwiazdy. Znalazłem go otoczonego gromadą chłopstwa, wydającego wyrok na Cygankę, oskarżoną o czary. Była to lat średnich, wysokiego wzrostu, przystojna niewiasta, mająca w rysach śniadej twarzy, a szczególnie w czarnych dużych swych oczach, wyraz osobliwszy. Mówiła płynnie, z dziwnym zapalem i zuchwałością nadzwyczajną. Nie trwożąc się groźbami księdza,

szybersko odpierała zarzuty oskarżycieli, na czele których był szlachcic zaściankowy, któremu grad wybił pole właśnie, gdy ta Cyganka, chroniąc się od burzy, weszła pod dach jego. Mniemał przeto, iż mu ona przez złość sprowadziła nawalnicę, ponieważ grad prócz jego zagonów nikomu wówczas nie uczynił szkody. — Głupcze! — odpowiedziała — gdybym nawalnice nieba miała na me zawołanie, toćbym nie czekała długo z wydaniem rozkazu, aby wam wicher ośle wasze głowy poukręcał; a przecież stoicie tu żywi i szczekacie zdrowi na niewinną kobietę. —

— Ta śmiałość czyli zapamiętanie kazała mniemać komendarzowi, iż rzeczywiście była opętana. Zaczął więc od exorcyzmów; a gdy to nie uhamowało ostrego języka Cyganki, zdecydował, aby była pławioną (\*). Wyznam-że tobie, mój synu, że będąc świadkiem tej zabobonnej okrutnej praktyki, nie rzekłem słowa w obronie nieszczęśnej kobiety? —

---

(\*) W owej epoce, pławienie czarownic, palenie ich na stosie i t. p. okrucieństwa, nie tylko w Polsce, ale i w innych chrześcijańskich krajach w powszechnym były używaniu. Uczony *Hermann Janssens*, D. T., w ważnym dziele swoim: *HEKENSCHRIJTE SIEKA*, wydanem w Lej dzie 1818 r., tak się o tem wyraża (§ XXX. Di

—Jakaś dzika, niewytłómaczona ciekawość zdjęła mię w tój chwili; miasto więc wstrzymania nierozsądnej żarliwości księdza, czekałem w milczeniu nowego dla mnie widowiska. Wtedy Cyganka, rzucając na mnie swym prze-

MAGIA): „*Saeculo XVII. caecam fidem de Sagis et Magis, in nonnullis regionibus et in Germania potissimum, invaluisse, plurimasque victimas flaminis traditas fuisse, nemo nisi in historia plane rudis inficiabitur.*” Obrażający ludzkosc zabobon wszystkie był ogarnął stany, wielu nawet księży podzielalo zaślepienie gminu. „*Imperiti sacerdotes (mówi tenże Janssens) adaugent malum, sagaciores autem et sapientiores quantumvis a reis expetiti, ut hostes justitiae publicae a carceribus arcentur.*” —Znalazł się atoli w on czas kapłan światły i żarliwy, któren ze szlachetną odwagą podniósł głos wymówny w obronie ludzkości i prawdy. Imię tego męża godne jest wiekopomnej chwały, a zakon jezuicki, do którego należał, słusznie chlubić się może tak znakomitym Towarzystwa swojego człowikiem. Był to X. Fryderyk Spee, Holender, człek znamienitego rodu, Doktor S. T. i Ob. Pr., autor sławnego w owym czasie dzieła p. t.: CAUTIO CRIMINALIS, SEU DE PROCESSIBUS CONTRA SACRAS, LIBER.—Czcigodny ten kapłan zwiedzając więzienia, i w nich z obowiązku swego udzielając duchownej pomocy rozmaitym przestępcóm, spowiadał takż i mniemaue czarownice, a zbadawszy należycie skrytości sumienia tych nieszczęśliwych ofiar zabobonu, bardziej się jeszcze o ich niewinności we względzie czarów i uroków przekonał. Nie wahał się zatem ogłosić uczoną i wymówną rozprawę, w której wykazawszy niesprawiedliwość i nieludzkość używanej powszechnie przeciw oskarżonym o czarodziejstwo procedurze, zaklinał monarchów, w imię najwyższego Boskiego trybunału, aby położyli koniec tym katuszóm, i z życiem ludzkim lekko i zuchwale, jakby z piłką, nie igrali,

nikliwym wzrokiem, wyrzekła dobitnie te pamiętne słowa — I wy także, Sapieżyński niegdys dworzaniuie, a dziś dziedzicu i urzędniku, i wy się nie wstydzicie być niemyim świadkiem okrucień-

(„ut quaestionum tormentis finem imponerent, atque vita hominum ut pilis leviter temerariaeque haud luderent“). Tak śmiała apostrofa groziła jej autorowi gniewem tych, do których ją obracał; ale Bóg zrządził, że pismo X. Spee przyjęte było owazem z oklaskiem, i że, otwierając rządcom oczy, przyniosło ratunek wielu nieszczęśliwym.

Zdarzało mi się słyszeć i czytać, że obalenie tej okrutnej i bezrozumnej procedury winna jest ludzkość filozofom; lecz powyższy fakt historyczny dowodzi, iż to ksiądz, a co większa, Jezuita, cios pierwszy skutecznie jej zadał. W sto lat później inny Jezuita, nasz ziomek, X. Bohomolec, wydał takiejże treści, choć w mniej poważnej formie, znajomą wyborną książkę p. t.: *Djabel w swojej postaci*.

Co się tyczy pławienia czarownic, to *Frans. Nyenstädt*, (jeden z dawnych inflanckich niemieckich kronikarzy XVI w.), obyczaj ten wyprowadza od pogańskiej Łotwy, mówiąc: iż ci poganie skazywali szkodliwych czarodziejów na śmierć, ale nie wprzód, aż się przez pławienie ich przekonali, że takimi byli. Na ten koniec, związawszy im na krzyż ręce i nogi za wielkie palce, rzucali ich w wodę, a gdy który nie zatonął, tracony był potem jako niewątpliwy czarownik.—„Sposobu tego (mówi dalej rzeczony dziejopis) nauczyli się, po większej części, nasi sądziowic od pogan; i dotąd go używają. Ja sam widziałem sila na to doświadczenie wystawionych ludzi; z tych zaś jedni tonęli a drudzy pływali na wodzie.”—I na Litwie zabobon ten musiał być przyjęty od pogan, bo Litwini i Łotwacy mieli najwięcej spólnych zabobonów i pogańskich praktyk.

*Przyp. Wydawcy.*

stwa téj zaślepionéj gawiedzi, a przecie z oczu wam widać, że nie wierzycie tym bajkóm, co o mnie to prostactwo plecie. Pojeliście młodą, piękną żonę, kosztujecie teraz pierwocin milego związku, możeż być serce wasze twarde, nieludzkie? Ratuje mnie, miłościwy Panie! — Podle niéj stał młody dzieciuch, Cygan, syn jéj, płaczący nad losem matki, i ten rzucił mi się do nóg, błagając pomocy; lecz ja stałem niewzruszony, bo dumę moję obrazila śmiała mowa Cyganki, bo przytém nowość widowiska drażniła, jak mówilem, dziką mą ciekawość. Dziwną zaiste istotą jest człowiek! Pomimo wstretu, jaki Bóg włożył w serce jego do rzeczy krwawych, nie tylko że się może oswoić z widokiem ludzkiej katuszy, lecz widok ten stawając mu często przed oczy, staje się dlań w końcu ponętnym. Ja, którym zemdlal będąc raz pierwszy świadkiem ścięcia delinkwenta, nie opuszczałem później żadnego zdarzenia, by się przypatrywać z dziką ciekawością najkrwawszym egzekucjom. Okropność, której wtenczas doznawałem, połączona była, pomnę, z jakąś niepojętą mi dzisiaj przyjemnością. Jak mało trzeba niektórym ludzióm, żeby się przeistoczyli w srogie

zwierzę! Odpowiedziałem tedy na apostrofę Cyganki z pogardą, że bultajów, włóczęgów, osobliwie Cyganów, protegować nie zwykłem. Wtedy nieszczęśliwa rzuciła mi w twarz te słowa — Biada tobie, człowieku bez serca! Znajdziesz je kiedyś w twojej piersi, ale za późno, bo znajdziesz na własne twe utrapienie! — Powleczono ją do wody, a tymczasem pacholik mój przybiegł z karczmy, donosząc, że pani zasłała. Udałem się śpiesznie, bo niespokojność i pomięszanie odjęły mi zażdę paszenia oczu srogiem widowiskiem. Znalazłem rzeczywiście żonę moję cierpiącą i we łzach. — Być-że to może — rzekła do mnie z przerażeniem — co mi tu powiadają, że tam w plebanji mają pławić jakąś biedną niewiastę? Chciałam biedz jój na ratunek, alem z przestachu osłabiała. Musiałeś, mój mężu, oprzeć się temu okrucieństwu?.. Wyratowałeś — nie prawdaż?.. — dodała, wpatrując się we mnie z niespokojnością. Wstyd mnie ogarnął; helkotałem, zapewniając, że to było tylko dla postrachu gusłarki; ale Teresa, uchwyciwszy mię za ramie i zebrawszy się na siły, pociągnęła prawie ku miejscu exekucji, przewodniczona dzikiemi okrzykami pospółstwa. Kiedyśmy przyszli, nie-

sześcieliwa już była w wodzie; zanurzała się w niej właśnie; oczy jej tylko błyszczały nad falą, i wzrok ostatni z niewymównym wyrazem przeszył, iż tak rzekę, nas oboje. Mnie miała widać, że i Teresę sprowadzała w to miejsce płochą i okrutną ciekawość. Lecz ta, mdlejąca prawie, błagała, płacząc, aby ratowano tonącą; ja także rozkazałem to samo. Z gminu nikt się nie ruszał; ale słudzy nasi nadbiegłszy, rzucili się do wody, i wydobyli nie bez trudu niebogę pozbawioną zmysłów. Długo ją trzeźwiono; dała nakoniec niewątpliwe znaki życia. Na prośbę żony mojej, poleciłem słabą eerulikowi żydowi, zostawiłem księdzu dla niej jałmużnę; Teresę, którą ta scena zdawała się ostatka sił pozbawiać, zaniósłem do powozu, spiesząc oddalić od tego nieszczęśliwego miejsca, i słabą nazajutrz przywiozłem do Anlji. Zamiast wesółych przenosin, na które wcześniej byłem sprosił sąsiadów i przyjaciół, omal nie wypadło wyprawić pogrzebowej stypy. Żona moja poroniła dziecię płci męskiej. Słabość długo ją trzymała w łóżku, i skutkiem snuć tego przypadku, przez lat z górą dziesięć potem żyliśmy bezdzietnie. Od pierwszej więc chwili małżeństwa, dopiętego



niecnemi srodki, zaczęła ręka Boska ciężyc nade mną. Ale zatwardzialemu grzesznikowi mało widać téj było chłosty. Przeciwności zhartowały mnie w nieszczęsny dla duszy méj sposób. Stałem się twardszym, nielitościwszym nizelim był przedtém. Z sąsiadami rozpocząłem spory o granice, klótnie i najazdy, a włóścianami memi żelazném rzadzilem ramieniem. Znasz ociężałość naszych Łotyszów. A w okolicy zaroslój lasami uprawa roli wymagała krwawej pracy. Surowością tylko zmuszać można było kmieci do trzebieży i karczowania pol i łąk. Zaczęli uciekać i kryć się w puszczach. Ścigałem zbiegów, polując na nich jak na dzikie zwierzęta, a pojmanyh smagałem nielitościwie. Srogość ta przywiodła siła tych biedaków do rozpaczcy. Kilku odjęło sobie życie, a niektórzy czyhali już na moje; wielkie przynajmniej w tym względzie były przeciwko nim pozory. Użyłem zatém ostatniego srodka, skazując dowódców huntu na szubienicę. Wiesz zapewne, iż, na mocy szczególnego przywileju króla Zygmunta Augusta, właściciele dóbr mają prawo w domach swoich składać sądy na swych poddanych kmieci, i skazywać nawet winowajców na

śmierć (\*). To też mi mój *jurisdator* w przedaźnym prawie udzielił mocy sądzenia kmieci na gardło. Rzadko się jednak podobne trafiały przypadki; bo, na szczęście, mało jest w naszym narodzie ludzi tak twardego sereca, jakim ja byłem w porze burzliwej nieszczęsnego mego życia. Wspie-

---

(\*) W 1561 r., gdy Inflanty, przez *pacta subjectionis*, dobrowolnie poddały się berła Króla Polskiego i W. księcia Lit. Zygmunta Augusta, posłowie Stanów Inflanckich podali temuż Królowi, w Wilnie, do aprobaty pewne dla samej tylko szlachty *Reservata*, zawarte we 27miu punktach, a z których 26ty takiego był brzmienia: „XXVI. *Cum saepe numero in Livonia accidit, quod nonnulli Nobiles a propriis rusticis clam occisi sint; ut vero in posterum a talibus fugitiis deterreantur, petunt Nobiles Livoniae, ut de singulari gratia merique, Imperii Sacrae rjus Reginae Majestatis potestate, suis curiis capitalis civilisque iudicii privilegium, quemadmodum Nobiles Estoniae Ducatus olim a Regibus Danorum consecuti sunt, et in hunc usque diem obtinent, anneclatur concedaturque.*”—Król przyjął i zatwierdził te *desideria* przywilejem d. 28 listopada 1561. Władza nadana takowym przywilejem trwała aż do roku 1677, w którym, z powodu oderwania do Szwecji większej części Inflant, nowa nastąpiła księztwa inflanckiego ordynacja, mocą której władza kryminalna, nazwana grodzką, włożoną została na osobę Starosty Dynchurskiego, z prawem podawania *ex brachio suo* trzech urzędników grodzkich: Podstarościego, Sędziego i Pisarza; cywilna zaś, czyli ziemska, przełana na Podkomorzego, Chorążego, Sędziego, Podśędka i Pisarza, w ten sposób, jakim sprawowana była w innych województwach i ziemiach koronnych i litewskich.

Przyp. Wydawcy.

rając się *abusive* na owym *privilegium nobilitatis*, niektórzy właściciele podciągają także pod swą główną jurysdykcję włóczęgów, złodziei i zbójców. Trudnoby się nawet było obejść bez tego środka w czasach niespokojnych, w kraju małoludnym, lesistym, a szczególnie we wsiach znacznie odległych od sądowego grodu. Chwyciłem się i ja tego zwyczaju w mojej majątności. —

— Za czasów méj administracji w Czerejszczyźnie dali mi się byli we znaki Cyganie, bo mię częstokroć oszukiwali na koniach, a raz nawet pięknego mi ogiera uprowadzili ze stajni. Nienawidziałem więc ród ten koczujący, i bronilem mu przystępu do moich granic. Ale któż to hultajstwo upilnować zdoła? Przebywali w sąsiedzkich włościach i zaglądali czasami do moich, robiąc mi tém większe psoty, im surowsze ich za to spotykały kary. Stało się, iż jeden z moich domowników, będąc w Dyneburgu na kiermaszu, został okradziony i miał podejrzenie na Cyganów; ale ci prędzej zemknęli z miasta, niż on zdołał przywołać urzędową pomoc. W kilka tygodni po tém zdarzeniu, wpadł w ręce moich leśników młody Cygan, przy którym znaleziono

niektóre rzeczy, a między niemi fanty skradzione właśnie na owym kiermaszu mojemu słudze. Rzecz była jasna, zoczyńca przekonany; złożyłem więc sąd bez zwłoki, i dekret na powieszenie został na nim spełniony. Tegoż wieczora dziewczki służące poszły przez ciekawość na plac egzekucji, niezbyt od dworu daleki, zobaczyć wisieleca, i znalazły siedzącą pod szubienicą niewiastę wysokiego wzrostu, w czarną otuloną płachtę, pogrążoną w żalu. Przelęknione nie śmiały się do niej zbliżyć; a wtém ona powstając i wyciągając ku nim rękę, rzekła dzikim głosem—Zaniescie od matki tego powieszonoego mordercy jego, Panu Ciwunowi, podziękowanie, a niech on kiedyś zapłaci nad dziecięciem, które się jemu urodzi, jak ja dziś płaczę nad tém, które mnie wydarł!—To mu powiedzcie.—

—Za pozwoleniem, Panie Ciwunie!—przerwałem — czy ten młody nieszczęśliwy Cygan nie zwal się Dżęga?—

—Zdaje mi się, że tak go nazywano — odrzekł Ilgoński.

Opowiedziałem mu wtedy rozmowę moję z Cyganką w Dyneburgu.

—Tak, to być musi ona sama—rzekł sta-

rzec z poruszeniem—widać tylko, że na wszelki przypadek, przez ostrożność, w powieści swojej pomieszała daty; musiała się albowiem dostać do domu waszego na lat kilka przed śmiercią swojego syna. —

—Być to może— odpowiedziałem— bo pamiętam jak przez sen, że mię piastowała, a mogłem mieć lat około czterech, kiedy się z domu naszego wyniosła, nie mogąc się pogodzić z Petronellą. Nierychło, bo w lat 14 czy 15, ukazała się nam znowu w Aulii, i odtąd przebywa czasami w chacie naszego gajowego. —

—To, co ci mam jeszcze o niej powiedzieć— mówił dalej Ilgoński— stwierdzać zdaje się nasze domysły. Otoż służebnice, drżące od strachu, opowiedziały swoją przygodę żonie mojej, która z przerażeniem powtórzyła przede mną zlorzeczenia Cyganki.—Czego się obawiasz tej groźby, będąc nieplodną?—odrzekłem z niekontentowaniem. A ona mi na to—Wcale tak nie jest, mój mężu! Miałam ci właśnie powiedzieć, że się czuję brzemienną.—Ta wiadomość uradowała mię tak dalece, że już słowa złowieszce Cyganki żadnego na mnie nie uczyniły wrażenia. Bóg zdawał się skłaniać do najgorętszych mych życzeń, dając nadzieję po-

tomka. Raz pierwszy, od lat dziesięciu, okazywałem żonie mojej tyle czułości, tyle pieśczoł! Były to jedyne prawie pogodne chwile, których w pożyciu swém ze mną enotliwa ta kobiéta doznała. Nie troszczyłem się już o nie; humor mój posępny zmienił się nagle w wesoły, surowość mię opuściła, i kiedy mi doniesiono, że trup powieszzonego zniknął w nocy z szubienicy, nie zapaliłem się gniewem, jakby to było w innym czasie, i nie kazałem nawet śledzić sprawców téj zuchwałości.—

—Miły Boże! ilem-że to przez ciąg brzemienności méj żony ambitnych natworzył projektów, ile dla potomka mego (bo mi się roiło, że to będzie syn pewnie) przewidywałem zaszczytów, a dla siebie zeń na starość chluby! A te wszystkie plany, życzenia, nadzieje, w cóż się obróciły???

Tu starzec opuścił na piersi głowę, a dwa strumienie łez cichych przesaczyły się po zmarszczkach sędziwej twarzy. Cieszyłem go nadzieją znalezienia jeszcze na scbyłku dni podpory w córce.

—Ach! nie mów mi, proszę ciebie, o żadném

tu szczęściu. To słowo ma coś w sobie strasznego dla mnie. Odganiem każdą żądzę pomysłności, jak pokusę piekielną. Mnie tylko wtedy lżej na sercu, kiedy je całkiem odwracam od ziemi. O, gdybym nie był ojcem, jużbym się dotąd otrząsł ze wszystkich doczesnych więzów, ze wszystkich pamiątek przeszłości. Tego jednego ogniwa zerwać nie mogę. Stracone dziecię nie wychodzi mi z myśli; żądza znalezienia go nie dała się nigdy wygnać z mej duszy; a doznałem, niestety! smuć za karę mych grzechów, że spełnienie każdej gorącej żądzы obracało się na moje większe utrapienie. Nie dziw się przeto, że się lękam westchnąć nawet do tak dla mnie powabnej nadziei..... Ale słuchaj końca mej confessaty. Kolysałem się tedy snem rokosznym, a tymczasem sprawiedliwe Niebo gotowało dla mnie dawno zasłużoną karę. Widać, iż się żona moja pomyliła w swój rachubie; połóg jój miesiącem blisko prędzej nastąpił, niżeli się spodziewała. Być też może, że go przyspieszyło wzruszenie, jakiego doznała dowiadując się przypadkiem o śmierci Łukaszewicza. Dziwném albowiem zrządzeniem młody ten człowiek, zaciągnąwszy się do wojska i służąc pod Hetmanem Chodkiewiczem, zgi-

nał w pamiętnej bitwie przeciw Generalowi Szwedzkiemu Mansfeldowi, kiedy się ten pokuszał oswobodzić Djament pod Rygą, i został tam na głowę zbity, a forteca przez naszego Hetmana wzięta (\*). Troskliwy o szczęśliwe rozwiązanie, udałem się sam aż do Połocka, o mil blisko 20, słysząc, iż tam być miała kobieta bardzo doświadczona w sztuce babienia. Były wprawdzie w naszej okolicy babki, ale zabobonne, nieświadome, a żona moja delikatnej była kompleksji, i pierwszy przypadek, jak mnie ostrzegł pewien uczony lekarz, kazał się o nią lękać przy następnym położeniu, jeżeliby się nieumiejętnym rękóm powierzyła. Podróż i niektóre w Połocku przeszkody nad zamiar mię dłużej zatrzymały, a tymczasem biedna kobieta poczuła bole zwiastujące stanowczą chwilę. Słudzy tracili głowy, szukali babki; lecz ta, która się w naszej włości tą posługą zajmowała, leżała sama w ciężkiej niemocy; aż tu, jakby ze szczególnego zrzędzenia losu, przychodzi stara, jak się zdawało, bo zgarbiona niewiasta, podobna do Cyganki z twarzy, ale w odzieży chłopskiej, wstę-

(\*) W 1609 r. 28 września. — *Przyp. Wgd.*



puje do domu, idzie prosto do komnaty mojej żony, i powiada jej po łotewsku, że jest doskonałą babką, i że jej usłuży w tym razie najlepiej. Służące dziewczki, patrząc na tę dziwną, wysoką postać, zdawały się w niej przypominać sobie ową Cygankę z pod szubienicy, ale zbyt były pomięszane nagłą chorobą pani, zbyt uradowane, że się jakakolwiek nadarzała w tak ważnym razie pomoc, aby zważać mogły na to podobieństwo. Wreście odzież i mowa łotewska, usuwały to podejrzenie. Tymczasem ta niewiasta z wielką zręcznością zajęła się swém rzemiosłem, i po kilku godzinach ciężkich bólów, żona moja przy jej pomocy szczęśliwie powiła córkę. Wyprawiony z tą pomyslną do mnie wiadomością goniec spotkał mię, wracającego z babką, pod Połockiem. Radość, którą uczulem, nie była zupełną. Żądałem i spodziewałem się syna, a tu dał Bóg córkę. Zawszem jednak cieszył się z narodzenia dziecięcia, i jak można śpiesznie jechałem do domu.—

—Znajdęz wyrazy do opisanja tobje okropności, która mię za przybyciem tam czekała? Są nieszczęścia, których samo przypomnienie tak czuleka odurza, jak kiedy z brzegu przepaści zapu-

sci wzrok w niezmierną jej głębię. Dziwię się muszę, jak mając co dnia przed oczyma mej duszy ów straszliwy obraz, nie postradałem do ostatka zmysłów!—

—Z radośn<sup>ym</sup> biciem serca wyskakuję z powozu, wpadam do domu, pytam o dziecko, o matkę, i spostrzegam smutek, a bardziej przestraszonych na twarzach domowników. Nikt pierwszy nie może się odważyć wyrzec okropnej wieści. Nakoniec, słowo: nieszczęście! wyrzywa się z ust jednego sługi, i to słowo uderza mię tak potężnie, że kroku postąpić dalej nie mogę. Domyślam się, że śmierć porwała dziecię lub matkę. Pytam więc, ze drżeniem, które z nich umarło? Na to mi odpowiadają, że Pani bardzo słaba.—A dziecko?—Zniknęło!—Jak to?!—co to?!—krzyknę przeraźliwie, i ten cios gwałtowny przywrócił nagle członkóm moim władzę, a w głowie uczulem ogień, jakby mi się mózg zapalił. Wyrywam się z rąk służby, biegnę do sypialni w zapamiętaniu. Żona moja, przestraszona moim widokiem, wpada w mdłości, w konwulsje. Zapominam wtedy na chwilę o dziecku, trzeźwię ją, wołam ratunku. Zbiegają się domownicy, powstaje zgiełk, płacz, zamieszanie. Chora odzyskuje czucie,

ale do przytomności nie wraca. Noc upływa w ciągłym przechodzie ze stanu konwulsyjnego do otrętwiałości. Z piersi jej wyrwie się czasem krzyk bolesny—Moja córka! moje nie-szczęśliwe dziecię! Nie zabijaj mię, mój mężu! Adamie! ty mię wołasz? Idę!—i znowu głowa jej opada na poduszki, a twarz śmiertelną okrywa się bladością. Owoż Adam było imię nieboszczyka Łukaszewicza; jego to ona w mąn-ji swęj wspominała, nowe mi przez to zadając udręczenie. Przypomniałem sobie ich mi-łość, jego pożegnanie, moje zdrady, i wnet zgryzoty sumienia połączyły się w mém sercu z obecną jego katuszą. Tymczasem stan Te-resy coraz się pogorszał. Napróżno babka, którą przywiozłem z sobą, używa całej swęj sztuki lekarskiej. Decyduje wreszcie, że zbyt-eczne wzruszenie macierzyńskiego serca i nagły przestrach, tamując w choręj przyływ pokar-mu do piersi, zwróciły go do głowy, i że naj-gorszych trzeba było się obawiać tęj choroby skutków. Sprawdziła się jej przepowiednia: zo-na moja nie przeżyła doby, a mnie na domiar katuszy zostawało wysłuchać, ze wszystkiemi szczegółami, historii porwania męj córki, bez nadziei znalezienia jej kiedy.—

—Oto, co mi o tej przygodzie rozpowiedzieli domownicy. Szczęśliwe rozwiązanie pani napelniło sługi zaufaniem ku nieznajomój babie, która zatém krzątała się i rozkazywała w domu, a wszyscy słuchali każdego jój skinienia, radzi, że im Bóg zesłał w tej biedzie pożądaną pomoc. Tak przeszła noc pierwsza i dzień następny. Za nadejściem drugiej nocy, nieznajoma odesłała strudzone dziewczki służebne na spoczynek, a jako sama w ciągu dnia snem się była pokrzepiła, ofiarowała się czuwać przy chorój i przy dziecku, wzięwszy tylko sobie do pomocy małą dziewczynkę. Za ledwie żona moja usnęła snem smacznym, jak się to zwykle przytrafia położnicóm, baba szepnęła do dziewczki, aby czuwała przy śpiącój pani, gdy tymczasem ona wyniesie dziecię do drugiej izby, aby płaczem swym nie przebudziło matki. To powiedziawszy, wyszła z niemowlęciem, i od tej chwili już ich więcej nie widziano. Służebne w dobrej wierze spały dłużej jak zwyczajnie. Inni słudzy nie śmieli wchodzić do tych komnat, aby nie przebudzić pani, a złodziejka tymczasem miała czas ująć mil kilka ze swą zdobyczą. Kiedy się nakoniec opatrzone, już słońce było wysoko. Ro-

zesłano w różne strony pogoń, ale nigdzie pewnego nie można było wziąć śladu. Na granicy tylko widział jeden z leśników wędrującą lasem kupę Cyganów, atoli i o tych dalej nie udało się zasięgnąć języka. Wysłuchawszy w osłupieniu tej powieści, wpadłem w stan okropny. Tarzałem się po ziemi, jak zdeptyany robak; rwałem na sobie odzież, jak wściekły; płakać tylko nie mogłem. Wydawałem rozkazy bez związku, nakoniec, wzięwszy z sobą kilku ludzi, puściłem się szukać mej straty, i latałem na oślep po puszczech i polach, jak zwierz drapieżny, któremu łowcy wydrą jego szczenię. Po nadaremnych hasaniu przez dni kilka, po dopełnionych bez skutku wielu okrucieństwach na czeladzi domowej i na strażnikach lasu, wpadłem w osłabienie zupełne na duszy i na ciele. Straszliwe widma dręczyły mnie w cieniach nocy, wszystkie oliary mego samolubstwa, przeniewierstwa i srogości, wgroźnych postaciach stawały mi przed oczy; wszystkie moje występki czytałem po ścianach ognistemi nakreślone literami. Nie miałem przy sobie nikogo, co by bolał ze mną. Zniechęceni ku mnie służący zdawali się czekać nie cierpliwie mej ostatniej godziny; jeden tylko

pocziwy Grzegorz czuwał przy mnie, nie mogąc mi atoli przynieść pomocy ni ulgi. Sąsiad, który czasem na krótko mię nawiedził, pokiwał głową, pokonsolował dla formy, wspominał o testamencie, o kapłanie, a gdy widział, że się na te słowa zaciekał od gniewu, odjeżdżał, by więcej nie wracać. W takim między życiem a śmiercią, między przytomnością i obłąkaniem, bolesnym stanie, przepędziłem nie pomnę już ile czasu; gdy dnia jednego, zakonnik Missjonarz zajechał do mego domu, i mimo mój zakaz niewpuszczania nieznanomych, a szczególnie księży, wszedł do méj sypialni. Przyjąłem go z niechęcią, ale słodycz i pokora, z którą mi odpowiedział, rysy szlachetne sędziwego oblicza i wizerunek rozpiętego na krzyżu Zbawiciela, co w blasku dziwnie miłym jaśniał na piersiach jego, uhamowały mój impet. Chciał mię dobrotliwie ująć za rękę, a kiedym tego mu nie dopuścił, ukląkł przy mojem łóżku i złożył do modlitwy ręce.—Co chcesz czynić? księżu!—ofuknąłem się.—Modlić się za Waszmość—odpowiedział łagodnie, i zaczął się modlić gorąco. Wtém gdy ze wzniesionych ku niebu oczu jego dwie łzy na krucyfiks spadające ujrzałem, piers moja wzdęła

się nagle, jakby się rozpęknąć miała, uczulem ściskanie w gardle, oddech się zatamował, myślałem, że skonam; lecz z głębi serca ciężkie, przeciągłe westchnienie przedarło się nareszcie przez usta, i spiekle me powieki zwilżyły się boleśnie. Wkrótce lzy strumieniem z oczu mi się polały. Raz pierwszy od tej nieszczęśliwej przygody zapłakałem, i płacz ten wielką mi przyniósł ulgę. A Missjonarz modlił się ciągle, patrząc to w niebo, to na mnie z czułością. Po niejakićj chwili zapytał—Jak ci teraz? mój synu!—Ulżyło mi się cokolwiek, mój Ojcze! — odpowiedziałem z uległością. —Napij się trochę wody—rzekł, podając mi kubek. Usłuchałem, i poczułem się orzeźwiony. On zaś znowu ukląkł na modlitwę. Po kilka razy jeszcze podobne pierwszemu wyzionąłem westchnienia, i w ślad za nimi płacz rzewny kołł tę męczarnię. Nakoniec znużone powieki zapadły, sen objął me zmysły, sen straszny, z tysiącem mar okropniejszych niż kiedy. Zdawało mi się, że stał na wierzchołku spadzistej góry, u stop której z niedojrzanćj głębi buchały płomienie, sypiać kłęby iskier, wznoszących się w powietrze i opadających znów na dno, a każda skra takowa, wzlatując ku mnie,

rosła—rosła i przybierała na się postać ludzką najohydniejszego kształtu. Patrząc—aż między roiskiem tych poczwaw wyszczerzają się do mnie znajome twarze: Włoch Brykoni z całą swoją bandą kosterów, oszustów i nierządnic, gromady zawadjaków, burdów, pijanic, sejmikowych i trybunalskich niepoczciwych urzędników i patronów, z którymi miewałem facjendarskie związki, i tym podobnych towarzyszków dni bezbożnych mojego życia. Sprośna ta potępienców zgraja, za każdym z otchłani wyłotem, coraz się bliżej i bliżej ku mnie podsuwała, wołając z okropnemi śmiechy—Do nas! kolego! do nas!— A ja uciekać nie mogłem; nogi moje jakby przyrosły do skały. Rzuciwszy w rozpacz po za siebie wzrokiem, ujrzałem krzyż ozłocony promieniami wschodzącego słońca, a na nim figurę Ukrzyżowanego, z takim właśnie obliczem, jak na krucyfixie Missjonarza. Jedyne był dla mnie ratunek uchwycić się tego krzyża mocno utwierdzonego w skale. Wyciągnąłem ku niemu ramiona, ale nie sięgały, a piekielne poczwary już już mię prawie za nogi chwytaly. Krzyknę tedy z całej mocy—*JEZUSIE ukrzyżowany! zmiłuj się nade mną!*— i krzyż cudowny zbliżył się do mnie.



Objąłem go z tak gwałtowną radością, że się nagle przebudził, i cóż widzę? — klęczącego przy mnie kapłana, a jego krucyfix w mem rękę przyciśniony do mej piersi. — Ojciec mój! — zawołałem — Bóg mię przez ciebie wyrwał z piekielnej paszczęki! nie opuszczaj mię, abym nie wpadł znowu w moc nieprzyjaciela! — Ufaj, synu! — odrzekł starzec — żałuj za grzechy, miej nadzieję w miłosierdziu Boga i w ranach Zbawiciela, wzywaj go z taką gorącością, jakęś wołał doń we śnie — wiara cię uzdrowi a skrucha cię zbawi. — Od téj chwili oddałem się, jak posłuszne dziecię, w ręce mojego duchownego piasłuna. Wróciłem do zdrowia, nawróciłem się do Boga. Wszystko, co mię dawniej mamiło, co najwięcej cenilem na ziemi, nie miało już teraz powabu. Wszystkiego się tu wyrzekłem, oprócz dziecka, w mniemaniu, że ono żyje, że znalezionem być może. Ta żądza rodzicielskiego serca została we mnie zawsze w jednakowej mocy. Jest to jedyna miłość moja na tej ziemi, stateczny bodziec nadziei, z którą po upływie nawet lat długich, po wyczerpaniu wszystkich sposobów poszukiwania mej straty, po wygnaniu siebie na tę pustynię, nie rozstałem się nigdy całkowicie. Każdej modlitwie,

każdemu umartwieniu ciała, towarzyszyła nieodstępnie mimowolnie myśl o utraconej córce. I dodam, co się tobie wyda nierozsądném, że nadzieja znalezienia jęj wzmagala się nawet z czasem, zamiast coby się zmniejszać była powinna. Kiedym dzieciny szukał i śledził po świeżych tropach w okolicach miejsca jęj porwania, zdejmowała mię rozpacz, a gdym zaniechał już tych zabiegów i zdał się na wolę Najwyższego, promyk nadziei zaświtał w mém sercu. Dziwy to są miłosierdzia Boskiego nad pokutującymi. —

—Ale czas kończyć żalną mą powieść. Zwłoki nieboszczki żony mojęj, złożone tymczasowie w malęj próżnej pod domem piwnicy, oczekiwały pogrzebu; domownicy zawiesili ten obrzęd w oczekiwaniu lub śmierci męj, lub też powrótu do zdrowia. Pięrszą tedy rzeczą, którą się zająłem, odzyskawszy siły, było oddanie ostatniej posługi zmarłej towarzyszcze, której życie zaprawilem goryczą, i zgon przyspieszyłem, acz niechętnie, gwałtownością żalu mego po córce. Tenże ksiądz Missjonarz, co mię z woli Boga uzdrowił na duszy i na ciele, udzielił takż pomocy świętego urzędu swego do pogrzebienia żony męj po chrześcijańsku.

Zamiast wyprawienia okazałej stypy, zgromadziliśmy tylko wieśniaków i ubogich, których ona za życia była orędowniczką. Obrawszy w niewielkiej od domu odległości i poświęciwszy kawał ziemi, schowaliśmy w niej ciało, a później na grobie tym wybudowałem pierwszą w tej okolicy kaplicę (\*). Po tym akcie zająłem się urządzeniem dóbr moich weale już innym sposobem. Odpuściłem włościanóm remanenta, uboższym dałem zapomogę, zmniejszyłem pańszczyznę, skassowałem szarwarki, gwałty, daremszczyzny, i różnego rodzaju daniny; rozpoczęte z sąsiadami procedera pokonczyłem ugodliwie; naprawiłem, ile mogłem, krzywdy różnej kondycji ludzióm poczynione. Te czynności, skutkiem rozgąłęzionych mych po różnych miejscach interesów, zajęły lat kilka czasu. Po ukonczeniu tych rzeczy, tyczących się mego sumienia, byłbym został może zakonnikiem, gdyby, jak ci mówiłem, nie nadzieja znalezienia kiedyś mojego dziecka. Czując jednak wstręt do świata i żądę oddania się ćwiczeniom pobożnym bez przeszkody, sta-

(\*) Na tém zapewne miejscu XX. Jezuiti, otrzymawszy roku 1639 w darze od Hetmana Gasińskiego Aulję, wymurowali kościół, który dotychczas stoi.

*Przyp. Wyd.*

rałem się wyprzedać Aulję. Trudne to dość było przedsięwzięcie wśród wojennych niepokojów trapiących Inllanty. Znalazłem nakoniec kupca, a tym był Wojewoda Smoleński, znajomy z czasów jeszcze służby mojej u Księcia Sapięhy. Zacny ten pan uczynił mi prawdziwe dobrodziejstwo, kupując majątność wcale do jego dóbr nieprzyległą, a ja, wolnym już będąc od spraw tego świata, mogłem wykonać przedsięwzięcie odpokutowania za moje grzechy na pustyni. Zawędrowałem tedy aż w tę odludną okolicę, kupilem ten kawał ziemi wśród głuchej puszczy, i tu sobie z wiernym moim Grzegorzem osiadłem, aby już pędzić życie w zupełnej samotności. Dopóki bowiem nie uczyniłem tego rozbratu ze światem, a szczególnie dopókim nie opuścił Aulji, rwałem się ustawnie do szukania śladów złodziejki mojego dziecka. Bezskuteczne te zabiegi zaprzatając myśl i czucie moje, czyniły mię niezdolnym do zagłębienia się w pobożnych ćwiczeniach, jak tego wymaga szczerą pokuta. Musiałem się tedy wydrzeć z tych miejsc niebezpiecznych; mniemałem, iż wraz z niemi zostawię pamięć mego frasunku. Tak się nie stało, ale ta pamięć była mi tam przeszkodą, a tu się stała

bodźcem do większej gorącości w modłach i do zbawiennych martyfikacji. Bóg cię tu przyprowadził, mój synu, zapewne nie bez celu. Jakkolwiek podoba się woli JEHO Najświętszej dalszym moim rozrzadzić losem, wypadek ten uważam jako rozkaz, za którym iść powinienem. Przepędzę noc dzisiejszą na modlitwie, a jeżeli jutrzejsza zorza w tém samym znajdzie postanowieniu, puszczę się w imie Boże z wami, i udam się do domu rodziców twoich, aby własnymi oczyma zobaczyć Rozalję. Zdaje mi się, iż jeżeli ona jest istotnie mą córką, serce moje przejmie się ku niej dorazu rodzicielskim affektem, bo ten eudowne w człeku sprawia nieraz skutki. Może też znajdę w niej podobieństwo do nieboszczki jej matki.... Ha, wszakże mam portret nieszczęśliwej mej żony!— Trzymałem go w ukryciu, bo wyraz, jaki mu nadał malarz, tak wiernie odbija szczerą wesołość niewinnej duszy i szczęsnej młodości, którą nieboga oddychała w owym czasie, że wspomnienie, iżem to ja zaćmił piękną pogodę tego czoła i te jasne oczy zamienił w gorzkich łez źródła, pobudzało mię do szalonej rozpaczki za każdym na ten wizerunek spojrzeniem. Ten portret jest pędzla rodaka naszego, bardzo biegłego ma-

larza, Franciszka Lexickiego (\*), który bawił czas niejaki na dworze Lwa Sapiehy, i będąc w przyjaźni z moim teściem, odmalował mu jego córkę z dziwną trafnością podobieństwa.—

To mówiąc, poszedł starzec do alkierza i ze łzami w oczach wyniósł rzeczony portret. Za pierwszym spojrzeniem na to płótno wykrzyknąłem — Mój Boże! to Roaza!—i już nie mogłem odeń oderwać mojego wzroku.— Więc znajdujesz podobieństwo?— rzekł z uniesieniem Ilgoński.

—Największe—odpowiedziałem.— Taką jest Roaza, kiedy w lekkim biegu za motylem włos jej rozpleciony zwija się około ramion w pierścienie, a ciemno-niebieskie oko jaśnieje szczę-  
rém weselem.... Ale, to moje widzenie owój nocy!... ta luba mara, którąś, mój ojeze, niesłusznie nazwał piekielną!... Tęż to ja twarz widziałem! Tę samą, przysięgam!—

—Widziałeś, bez wątpienia, ten portret,

---

(\*) X. Franciszek Lexicki, zakonu Ś. Franciszka, malarz XVII. wieku, miał być rodem z Krakowa, i we Włoszech talent swój ukazał. Później został Bernardynem, ale sztuki swojej nie porzucił, i niemało pięknych obrazów pędzla jego po różnych kościołach w Polsce pozostało. Krótka jego biografia znajduje się w *Muzeum Domowem* F. S. Dmóchowskiego, na rok 1837.

zawieszony w ciemnym kącie alkierza naprzeciwko twojego łóżka. Widać, że Grzesio, szukając tam czegoś, zrzucił przypadkiem z niego zasłonę, a tu w ścianie jest mały otwór, przez który światło nocnej mojej lampy padać nań musiało w tej chwili, kiedyś zwrócił ku niemu oczy. Bo przypominam sobie, że owęj nocy, przeciw zwyczajowi, lampę postawił tu na stole przed samą szparą, chcąc odszukać w psalterzu jednego psalmu, którego nie umiem na pamięć. Zwyczajnie kaganek pali się bladym płomykiem w kominie, i wtedy światło nie wkrada się wcale do alkierza. Skończywszy pacierz, zgasilem lampę, i widmo mniemane znikło przed twojemi oczami. Możemy się o tem zaraz przekonać.—

Zawiesilem znowu portret i zamknąłem się w alkierzu, Pan Ilgoński postawił lampę przed otworem ściany, i w rzeczy samej wpadające światło, łamiąc się od malowidła, sprawiało niejaka uludę, jakoby żywa niewieścia postać wynurzała się z cieniów nocy. Stan gorączkowy, natężając imaginację, podniósł wówczas złudzenie mych oczu do najwyższego stopnia. Tak się objaśniło, iż com ja mniemał nadprzyrodzonym widzeniem, było naturalną grą światła,

wspartą grą chorągwej mojej wyobraźni.—Chwała Bogu, rzekłem w sobie, nie był to więc duch Roazy! Ona żyje, a podobieństwo jej do zmarłej Ilgońskiej żony staje się nowym dowodem błęgiego mego przeczucia.—Starzec również zdawał się być utwierdzonym w swęj nadziei, i nie go-by już nie wstrzymało od zamierzonych podróży.

Dzień ten pamiętny zmienił moje względem Ilgońskiego połozenie. Zrana był jeszcze dla mnie tylko ludzkim, miłym gospodarzem, ja dla niego nieprzykrym gościem; teraz już on był mi ojcem, ja dla niego synem. Ucałowałem mu, na dobranoc, z czułością rękę, on mi udzielił na spoczynek swojego błogosławieństwa.

Długom nie mógł zasnąć. Oprócz wzruszeń serca, zajętego miłością, kołysanego nadzieją, historia życia Ilgońskiego silnie na umyśle moim zrobiła wrażenie. Rozważając wszystkie okoliczności, które tak nieszczęśliwie od samego dzieciństwa na charakter jego wpływać musiały, znajdowałem więcej do litości nad nim, niżeli do potępienia go pobudek. Sierota od kolebki, pozbawiony pieczęci czulej matki, nieugruntowany w religji i moralności, dostał



się młodzieńcem do dworu magnata, gdzie wnet spostrzegł, iż celem wszystkiej prawie młodzieży było wyniesienie się na coraz wyższe stopnie dostojenstw, gromadzenie coraz większych dostatków, i że cel takowy łatwiej się dawał osiągać intrygą jak zasługą. Używany przez mecenasa swego do zabiegów i obrótów sejmikowych, wpadł w niejedno złe towarzystwo, wszedł w stosunki z ludźmi rozmaitego charakteru, i w tym odmęcie, nienawykły do hamowania swych namiętności, utracił do reszty co tylko miał w sobie szlachetnego, a napoił się natomiast solizmami zepsucia, głuszącemi głos prawdy i sumienia w duszy. O, jakżem wtedy dziękował Niebu za wychowanie staropolskie, proste i surowe w rodzicielskim domu! Poznałem, lepiej niż kiedy, dobroczynne skutki karności domowej, oraz przymusu do form na pozor zbytowych, do praktyk młodemu częstokroć nieznośnych. Im pilniej roztrząsałem bieg upłyniony mojego życia, im głębiej dosledzałem w sobie namiętnych skłonności serca, tém się mocniej przekonywałem, że jeśli mię Bóg i nadal uchowa od win i nieszczęść podobnych tym, w jakie wpadł Ilgoński, winien to będę szczególnież czułości

mój matki, energii ojca, i świątobliwym nauką X. Anzelma.

W tych myślach zasnąłem, a kiedym się nazajutrz przebudził, staruszek krzątał się już ze swym Grzesiem około przygotowań do podróży. Mrukliwy sługa, zdumiony tak niespodzianem pana swego przedsięwzięciem, wytrzeszczał na niego oczy, nie dowierzając swym uszóm i lękając się może w Panu Ciwunie pomięszania zmysłów. Przyszedł więc do mnie zafrasowany i zwierzył się pocichu swych smutnych domysłów. Uspokoilem biedaka w tym punkcie, ale to mu nie odjęło z innego względu frasunku.

— Cóż teraz oba z moim panem pocniemy, wpadłszy znowu między ludzi, kiedysmy od nich już całkiem odwykli? Jednakże opuścić go nie mogę, raz, że bez niego zmarłbym z tęsknoty i niespokojności, a powtóre, że bałbym się zostać samiuteńki w tej pustce, gdzieby mnie albo złe duchy, albo zli ludzie napastować mogli. Obok Pana Ciwuna żadnej nie znam trwogi, a bez niego zajęcze miałbym serce. A jakże znowu odejść, podparłszy dom kółkiem? —

— A czemuż nie mamy go zostawić na opie-

kę Opatrzności? mój Grzesiu!— rzekł wchodząc Pan Ilgoński, zasłyszawszy ostatnich słów starego sługi. — Alboż w nim zostawujemy jakie skarby? Ty, mój przyjacielu, jesteś jedynym skarbem, jaki mam w tej chwili; ciebie więc zabiorę z sobą, a wkrótce i dla mnie i dla ciebie dosyć będzie kilku desek na ostatnie nasze mieszkanie. —

Grzesio kiwnął głową na znak zupełnego zgodzenia się z wolą pańską, i pozostało nam już tylko oczekiwać niecierpliwie powrotu naszego wojska z Marjenhauzu.





O apokryfach i innych dziełach  
członków synodu (17)

### III.

## RZECZY UŻYTECZNE.

W roku III. Białym, dnia 6 maja, w  
związku z... i innymi takimi, w których  
mają chrześcijaństwo...  
przebiegał ten...  
składający...  
zawierający...  
zawierający...

W tym celu...  
w tym celu...  
w tym celu...

### III

ANNO DOMINI 1888

## O sposobach poprawienia gruntów glejowatych (\*).

**W** TOMIE III. Rubona, mówiąc o torfie, namieniłem już o użyciu tak zwanój *torfowicy* czyli okruchów torfowyci na nawóz; tu, przedmiot ten dla wielu okolic nader ważny dokładniej roztrząsnąć, i z praktycznym zastosowaniem go do miejscowych okoliczności oznajomić czytelników moich postanowiłem.

Zwracając uwagę na Inflanty, jako prowincję, w której mieszkam, a przeto bliżej mi znaną, gdym badał początków użycia torfu za

(\*) U Niemców: *Strenger Thonboden*.

nawoz na rolę, i powodów, jakie mu dać mogły nastanie, znalazłem najpierwsze onego ślady w majątku Rezenmujzy, gdzie przed 30 laty ówczasowy dziedzic tój wsi, Józef Wereszczyński, nagromadzone przy gorzelnii okruchy torfu i popioły z niój kazał wywozić na wzgórki gliniaste, co miało służyć razem do spulchnienia i użyznienia miejsc tych zawsze przeświecających się czérwoną, zwięzłą gliną, i nędzniejszym wzrostem posianego zboża. Niewielki zasób podobnego materiału, mały pośpiech w przewożeniu tój sypkiejj massy na zwyczajnych u tutejszego rolnika kolasach, odnosiły podobne postępowanie raczej do wyszukanych spekulacji możnego gospodarza, niżli do liczby środków mogących wywierać znaczny wpływ na ulepszenie rolnictwa w ogólności, i na wykonanie którychłożony trud lub wydatek mógłby się dostatecznie wynagrodzić. Dla tych to przyczyn nawiezienie torfowicą (czyli raczej śmieciem browarném) gruntów zwięzłych w rzeczonym majątku, nie przechodziło w ogólności kilkudziesięciu pretów geometrycznych, i nie znalazło naśladowców; dla tego może w latach następnych sam dziedzic Rezenmujzy całkowicie go zaniechał.



Ale wzrastający niedostatek lasów i ztąd coraz szerszące się i powiększające wydobywanie torfu, musiały zwrócić uwagę gospodarzy na użytki, jakie z mnóstwa okrucz torfowych ciągnąćby można. Czynione próby wywożenia onych na rolę, pomysłnym uwieńczone skutkiem, zachęcały do obszérniejszych doświadczeń i coraz większego upowszechnienia tego agromicznego przemysłu. W roku 1820, kiedy mój wieś objął, przy wielkiém usiłowaniu, nawieziono u mnie torfowicą ledwo 75 prętów twardego gleju, biorąc ją prosto od kopalni torfu. Poźniejsze doświadczenia przekonały mnie atoli, że m błędził dwojako: raz biorąc do tego torf surowy, nasiękły wodą i zawierający w sobie kwas jemu właściwy; powtóre, że m używał do tój roboty zwyczajnych wozków rolniczych, przez co robota idzie powolnie i połączona jest z wielu innymi niedogodnościami. W roku 1824 już m miał torfowicę wcześniej i należycie przygotowaną, a miejsce kolasy zastąpiły skrzynie o dwóch kołach.

Ponieważ podeszwą czyli fundamentem torfowiska (jakem to prawie zawsze znajdował) jest glina barwy siniej, nadzwyczajnie zwięzła i lepka, wypada ztąd naturalnie, iż poblizsze

kopalnie torfowej niwy częstokroć składają się z podobnej siniej gliny, znaniej u nas pod nazwiskiem *gleju*, czyli *suhleju*. Jest to rodzaj gliny garncarskiej, nie, albo nader mało zawierający w sobie części wapiennych, i prawie nie piasku, ale którego przez długą uprawę otrzymał mniej lub więcej części roślinnych pożywnych. Uprawa gleju w rzadkich tylko przypadkach nie wymaga mocnych narzędzi i znacznej siły pociągowej; albowiem nieco wilgotniejszy łąnie do narzędzi ornych i wcale się nie kruszy; w niedostatku zaś dostatecznej wilgoci twardnie, przybiera własności skaliste, i w zarabianiu łamie się na wielkie bryły, które nie dają się wcale skruszyć bronami zwyczajnymi, ani nawet ciężkim walcem, ale muszą być drewnianymi młotami pojedynczo rozbijane,

Pomimo tak trudny wyrobek gleju, pomimo sowite nawiezenie go gnojem zwierzęco-roślinnym, plony zbierane z podobnej roli rzadko wynagradzają podjętą w uprawie jej pracę. Aby mieć dobry z niego plon żyta, potrzeba jesieni miernie wilgotnej i ciepłej, podostatkim śniegu w zimie, oraz podostatkim wilgoci i ciepła na wiosnę; w takich przy-

padkach zbiór z glejów daje niekiedy ziarn 8—10, ale to się trafia za ledwo raz jeden wlat sześć, tak, iż na gleju można w okresie lat tych liczyć oziminy jeden plon dobry, dwa bardzo mierne, i trzy zupełnego nieurodzaju. Z jarzyn, jeden tylko owies węgierski rano na wiosnę posiany, przynosi zbiór dobry, inne ziarna nader rzadko wynagrodzą pracę rolnika.

Gleje leżące odlogiem albo na zawsze pozostają nagie, albo słabą tylko pokrywają się vegetacją. Nasiona nawet z przyległych im drzew obficie corocznie rozpraszające się, pozostając na ich powierzchni nagiej i ztwardniałej, nie kiełkują wcale, tak, iż nieraz widzieć można obok pięknych lasów znaczne przestrzenie gleju smutną przedstawujące nagosć. Drzewa świerku i brzozy, zasiane na gleju, biorą także wzrost bardzo powolny, który trwa dotąd, aż zaczną same siebie ocieniać, i przez to w gruncie potrzebną wilgoć zachowują. Inne rodzaje drzew mniej jeszcze na gruncie ściśle glejowatym udawać się zwykły.

Przyczyną istotną wszystkiego tego jest nader wielka zwięzłość takiego gruntu. Zbytняя wilgoć zamienia go w szlam gęsto zsiadły; po-

czém gdy nastąpi pogoda ciepła i sucha, szlam ten pęka i rozdziela się na bryły tak twarde, że na przystęp gazów atmosferycznych całkiem są zawarte, deżdż krótkotrwały wcale je nie przenika i nie zmiękcza, korzenie też roślin ani się w nich rozpostrzeć, ani mogą ciągnąć z nich części pożywnych, których jednak grunt ten niekiedy zawierać musi podostatkiem, gdy przy sprzyjającej mu temperaturze i pogodzie tak dobre (jakem wyżej namienił) wydaje plony.

Do zniszczenia owój szkodliwój zwięzłości gleju i nadania mu własności dobrych, rozmaite służyć mogą środki, jako to: margiel, wapno', piasek, nakoniec *torfowica*. Trzy pierwsze nie wszędzie mieć można podostatkiem, piasek zaś prócz tego dla właściwego ciężaru utrudnia nawożenie nim znacznych przestrzeni, acz przyznać należy, że jest jednym z najtrwałej udobrzających grunta zwięzle, gdy się go w dostatecznej nawiezie ilości.

Najmniej ze wszystkich kosztowna jest *torfowica*, jeśli się w odległości niezbyt znacznej znajduje. Nie wchodzi ona w związek chemiczny z glejem, jak się to dzieje po części z mar-

głem i wapnem, nie mięsza się z nim tak dokładnie jak piasek, i dla tego ze wzgórków i płaszczyzn znacznie pochyłych łatwiej ją deżdż, jako właściwie lżejszą, splókiwa w doliny, tak, iż na miejscach podobnych po 9—12 leciech może być powtórne jęj nawożenie potrzebnęm, ale gdzie poziom jest równy, tam pomimo następujące z czasem zwietrzenie i rozkład (któremu torf, jako produkt roślinny, ulegać musi) przez lat 15—18 utrzymuje grunt glejowaty w dostatecznej pulchności, tak, iż w każdej porze roku łatwo się daje wyrabiać, zawsze jest otwartym na wpływ gazów, wilgoć atmosferyczną wsięka z równą łatwością, jak się zbytecznej pozbywa przez parowanie. Glęj siny lub brudno biały, nawieziony torfowicą, przybiera barwę ciemnobrunatną, a z nią własność zatrzymywania ciepła promieni słonecznych, istaje się właściwie cieplejszym, co równie wzrost roślin jako i dojrzałość ich przyspiesza widocznie. Gdy grunt glejowaty, spulchniony torfowicą, zasili się jeszcze nawozem zwierzęco-roślinnym, to jest, gnojem bydłęcym, wówczas wszelkie rodzaje zboża i wszelkie ogrodowiny nader bujny na nim wzrost biorą i pracę rolnika obfitym nagradzają plonem,

tak w słomie, jako też ziarnie. Torf, również jak okruszki jego, czyli torfowica surowa, to jest, świeżo wydobyta z miejsca, gdzie się przez wieki materiał ten sformował, zawiera w sobie kwas właściwy, którego nim się pozbędzie, z trudnością zamienia się w próchnicę i żadnych pożywnych części niezdaje się udzielać roślinom. Taka torfowica, wywieziona na glebę zwięzłą, działa na nie tylko mechanicznie, psując naturalną ich zwięzłość. Ale torfowica wydobyta z miejsca swojego, zsypana na kupę, wystawiona przez rok lub więcej na wpływ powietrza i zmienność temperatury, pozbywa się całkowicie owego kwasu i przybiera własność powolnego rozkładania się i przejścia w rodzajną próchnicę. Jeśli zaś po jakimś czasie umiesza się te kupy z wapnem świeżo gaszonym, albo polewa je gnojówką, torfowica zamienia się w nawóz nader posilny, i wtenczas nie tylko spulchnia nawiezione nią glebę, lecz razem mocno je zasila, jak tego odznaczają się na miejscach tych ciemniejszą zielenością i bujnością wzrost roślin niewątpliwie dowodzi.

Nie każdemu atoli i nie zawsze pozwalają okoliczności podobnego przygotowania czyli

zaprawienia torfowiny, przez dodatek wapna, gnoju zwierzęcego albo gnojówki; niekiedy wypada nawozić głęje wydobytą surową torfowicą, aby przynajmniej mechanicznie zniszczyć szkodliwą wegetacji ich zwięzłość, chociaż to z wielu miar zalecanym być nie może, a na-przód: ze względu, iż torfowica surowa, zanim wystawiona na wpływ atmosfery nie pozbędzie właściwego jej kwasu, nie rozkłada się na próchnicę, co aż po obłożeniu gnojem nawiezio-ną roli następować zwykło; nie daje prze-to w roku pierwszym żadnego prawie zasilku roli, i tylko ją mechanicznie spulchnia; powtó-re, iż wydobyta z dołu torfowica zbyt jest cięż-kim materiałem do przewożenia, którego wy-rzucony leżąc czas niejaki na kupie, traci 35—40 procent. wody, a przeto o tyle w przewo-żeniu staje się lżejszym, prócz tego bryły tor-fu w takim razie łatwej się dają kruszyć na najdrobniejsze części, co takż istotnym jest warunkiem do dobrego umiészania z nią roli. Dla tych-to względów nie używam ni-gdy do nawożenia glejów torfowicy surowej, lecz wydobytą zostawuję na kupie zmiészaną (jak wyżej) lub bez zmiészania przez miesiąc kilkanaście, zanim się na rolę wywozić

zacznie. Na tenże sam cel przeznaczam torfowicę wyrzucaną z kanałów kopanych zwykle na łąkach natury torfowej. Tym sposobem uprzątając na brzegach kanałów usypane z niej kupy, odkrywa się wolny z całej łąki ściek wody do kanału, co szczególnie na wiosnę, nim się grunt od zamrozu zimowego uwolni i przesiekanie wody dopuści, nieodbicie jest potrzebném.

Łąki najlepiej splantowane porastają z czasem w kupki rozmaitej wielkości, utrudzające koszenie i zbior siana. Najpospolitszą przyczyną tworzenia się tych kupek czyli kępin są kretowiska, zaniedbane i z czasem porośłe trawą. Łąki natury torfowej bardziej niż inne podlegają takiemu zepsuciu powierzchni, zwykle też co lat 10—15 nanowo oczyszczać je czyli plantować potrzeba. Ścinają się kępiny za pomocą narzędzi rozmaitych, jako to: łopaty, rydla, siekiery kształtu właściwego, al-boli też rzezaka pociągowego; kępiny ścięte układają się w wielkie kupy i tam zamieniają się w lat parę na torfowicę dość rozłożoną, mającą własności najlepszego gnoju zwierzęco-roślinnego. Tak przerobiona torfowica



gdy się wywiezie na gleje jałowe, przeistacza je w rolę nader pulchną i silną.

### *Nawożenie torfowicą.*

Najprzydatniejszą do tej roboty porą jest początek zimy, gdy pierwszy śnieg wypadnie, a ludzie i bydła pociągowe wolni są od innych robót gospodarskich; wtenczas bowiem można całą siłę obrócić do tej zmuśnej roboty i rychlej otrzymać pożądane rezultata. Zmarzła torfowica daje się z łatwością rąbać i szczepać na bryły upodobanej wielkości; te zaś łatwo na każdych zwyczajnych saniach przewozić, gdy letnie wożenie torfowicy wymaga koniecznie osobnych wozków czyli skrzyń osadzonych na osi o dwóch kołach. Co do ilości nawozić się mającej torfowicy, ta stosować się powinna do mniejszego lub większego stopnia zwięzłości i twardości gleju, oraz do mniejszej lub większej głębokości skiby oromiej; ta bowiem nie wszędzie jest jednostajną, tak jak różne są narzędzia orne i siła pociągowa. Tak np. w niektórych okolicach Inflant mniej przemysłni i skłonni do lenistwa Łotysze robią łemiesze czyli żelazne narogi ledwo 7 funtów wagi mające,

bo też nieczemne i niedbale utrzymane ich konie nie zdołałyby wlec sochy cięższej i głębiej zapuszczającej się w ziemię; skutkiem tego jest, iż lemiesz niegłębiej jak w gruncie lekkim na 4 a w cięższym nieco i zwięzłym ledwo na 3 cale wgłęb' ziemię porusza, gdy obok niego przemyślny i ochoczy Rossjanin korzystniejszym znajduje używać narogów 12—14 funtów wazących, i zaprzęglszy do swój sochy roslejszego i silnego konia, którego staranniej pielęgnował, na 6 do 7 cali zapuszcza ją wgłęb' roli.

Od różnicy przeto samego gruntu i używanych do uprawy jego narzędzi zależy właściwie grubość szychty nawozić się mającej torfowicy. Mając rzeczone okoliczności na bacznie, nawozi się sychta od 2 do 4 cali grubości. Doświadczenie nauczyło mię uważać proporcję pierwszą za *minimum*, ostatnią zaś za *maximum* udobrzeńia rozmaitych gatunków gleju. Samo położenie nawozić się mających gruntów niemałą też w tym względzie robi różnicę, tak, iż grunta pochyłe i wzgórkowate, z których każdy deждź splókiwa części torfowicy pozostałe na powierzchni roli, cieńszego raczej lecz przytém częstszego

potrzebują nawiezenia, gdy na płaszczyznach zupełnie równych, nieuległych splókiwaniu, korzystniej jest nawozić grubiej nieco.

Do tej roboty odbywającej się w lecie używają się w *Rosicy* skrzynie utwierdzone na osi o dwóch kołach. Wymiar skrzyń tych w świetle jest: długości łokei wileńskich 2, szerokość łok. 1 cali 7, głębokość cali 20, a zatem całego *voluminu* zawiera się w nich cali sześciennych 29,760. Ale ponieważ skrzynie zazwyczaj nasypują się nieco z nadmiarem, zawierają też pospolicie przeszło 30,000 cali sześciennych torfowicy. Jeśli ta bierze się z kup przeszlorocznych, przygotowanych, waga jej wynosi wówczas 800 do 900 funtów; jest to ciężar, jaki dobrze utrzymany koń mierzyn bez wielkiego natężenia sił wiezie nawet na wzgórkach.

### *Koszta nawożenia.*

Przyjmując w proporcji średniej szychotę torfowicy, mającą się nawieść grubości na cali 3, wypada na morg litewski skrzyń takich 806.

Jeśli odległość kopalni torfu, przy której usypane są kupy torfowicy, od miejsca nawo-

zić się mającego, wynosi sążni 100 i wozi się we trzy skrzynie, robota następującym idzie porządkiem :

**A.**

*Skrzyń 3, robotników 3, koni 3.*

Nasypywanie skrzyń trwa minut . . . . 14.

Wieżenie o 100 sążni trwa minut . . . . 3.

Wypróżnienie skrzyń na roli trwa minut 3.

Powrót skrzyń próżnych trwa minut . . 2.

---

Ogół minut . . . . 22.

**B.**

*Skrzyń 3, robotników 5, koni 3.*

Nasypywanie skrzyń trwa minut . . . . 7.

Przewiezenie o 100 sążni trwa minut . . 3.

Wypróżnienie skrzyń na roli trwa minut 3.

Powrót skrzyń wypróżnionych trwa minut 2.

---

Ogół minut . . . . 15.

*NB.* Trzej robotnicy zajęci są ciągle napełnieniem, rozwożeniem i wypróżnieniem skrzyń, dwaj zaś zawsze są przy kopalni i pomagają napełniać kolejno powracające wypróżnione skrzynie.

W dniu letnim liczy się godzin roboczych:

Rano od 4 do 8 roboczych godzin . . . 4.

Od 8 do 9 śniadanie.

Od 9 do 12 roboczych godzin . . . 3.

Od 12 do 3 obiad i popas koni.

Od 3 do 8 roboczych godzin . . . 5.

---

Ogół godzin roboczych 12.

Wypada zatem, iż wożąc porządkiem pod literą *A*, wywiezie każdy koń w dniu jednym skrzyń 32; wszystkie trzy razem, skrzyń takichże  $98\frac{4}{11}$ .

Nawiezenie przeto jednego morga litewskiego torfowicą na 3 cale grubo trwa tym porządkiem dni 8, godzin 2, minut 30.

Wożąc porządkiem pod literą *B*, wywiezie każdy skrzyń 48, a trzy konie razem, skrzyń 144 na dzień.

Nawiezenie zaś jednego morga litewskiego torfowicą na 3 cale grubo trwa tym porządkiem dni 5, godzin 7, minut 30.

	Srebrem		
	Rub.	Kop.	Garney litew.
Licząc dzień 1 robotnika	—	30,	albo 1/2 ta 6.
do nasypywania	—	20,	— 4.

Licząc dzień 1 konia . . . — 20, — 4.

— — 1 zużycia na-

rzędzi i smarowidła —  $2\frac{1}{2}$ , —  $\frac{1}{2}$ .

Т о м IV.

25

Wypada, iż nawiezenie jednego morga li-  
teńskiego sposobem podanym pod literą *A*,  
kosztuje:

	Srebrem		
	Rub.	Kop.	Garncy litew.
3 robotników przez dni			
8, godzin $2\frac{1}{2}$	7	$38\frac{3}{4}$ ,	albo żyta $147\frac{3}{4}$ .
3 konie przez dni 8, go-			
dzin $2\frac{1}{2}$ . . . . . 4		$92\frac{2}{4}$ ,	— $98\frac{2}{4}$ ,
Zużycie narzędzi i sma-			
rowidła : . . . —		$60\frac{3}{4}$ ,	— 12.
<b>Ogół kosztu</b>	<b>12</b>	<b>92,</b>	<b>— <math>258\frac{1}{4}</math>.</b>

Nawiezenie jednego morga sposobem pod  
literą *B*, kosztuje:

	Srebrem		
	Rub.	Kop.	Garncy litew.
5 robotników przez dni			
5, godzin $7\frac{1}{2}$	8	$43\frac{3}{4}$ ,	albo żyta $168\frac{3}{4}$ .
3 konie przez dni 5, go-			
dzin $7\frac{1}{2}$ . . . . . 3		$37\frac{3}{4}$ ,	— $67\frac{2}{4}$ .
Zużycia narzędzi i sma-			
rowidła . . . —		$60\frac{3}{4}$ ,	— 12.
<b>Ogół kosztu</b>	<b>12</b>	<b><math>42\frac{1}{4}</math>,</b>	<b>— <math>248\frac{1}{4}</math> (').</b>

(') Dla uniknięcia rozdrobionych ułamków, kładliśmy w ni-  
niejszym wyliczeniu liczby tylko najbardziej do rzeczy-  
wistej rachuby zbliżone.

Z tego, co niżej o skutkach nawiezienia gruntów glejowatych podamy czytelnikom naszym, jasno się wykaże, iż koszta téj roboty przy zbiorze pierwszego plonu wynagradzają się dostatecznie i z lichwą. Dalsze zaś zbiory gospodarz jako czystą korzyść swego przemysłu uważać może (\*).

Najważniejszą rzeczą w użyciu sposobu podanego pod literą *B*, jest-to przyspieszenie roboty, co w gospodarstwie każdym na pierwszym wypadu mieć względzie.

Korzyści nawożenia torfowicą gruntów zwiezłych, ze względu nieskończenie ułatwionej uprawy i znacznie podniesionej onych plenności, tak z samej teorii okazują się znakomite i niewątpliwe, iż niepotrzebném byłoby uręczać czytelników naszych, zem je dwódziesięcioletniem własném doświadczeniem widział stwierdzone. Obszary zwiezłego gleju, które dla niezagradzających się trudów uprawy zostawiono od-

---

(\*) Na morg litewski wysiewa się pospolicie żyta 40—48 garncy litewskich. Cena średnia z lat 10 wynosi w Inflantach za miarę od 24 garncy litewskich rub. sr. 1 kop. 20.

łogiem, po nawiezieniu torfowicą odznaczają się bajnym wzrostem wszelkiego zboża, i śmiało rzec mogę, iż nie licząc ułatwionej uprawy przy pierwszym zbiorze, sownie nagrodziły wyłożony koszt na nawiezienie. Na przykład: morg 1 leżącego odłogiem gleju, uprawiony z nadzwyczajnym trudem i nawieziony obficie gnojem, dał mi raz pierwszy trzy ziarna; za drugim zasiewem ledwo wróciły się wrzucone nasiona. Po nawiezieniu torfowicą w pierwszym roku zbiór z tegoż morga był: 14 kop słomy i 9 ziarn żyta; poczem niemniej obfity otrzymałem zbiór owsa i dalsze urodzaje dotąd.

Mniej zwięzły glej, zawierający w składzie swym nieco piasku, daje wprawdzie lepsze plony, chociaż równie niepewne, bo zawsze od szczególnie sprzyjającego mu stanu powietrza zawisłe; ale uprawa zboż na nim ogranicza się na dwojakiem ziarnie, to jest: życie i owsie węgierskim. Inne, jako pszenica i groch, nader nadto pożądaný plon przynoszą; jęczmień zaś, len i kartofle, prawie nigdy na nim się nie udają.

Przeciwnie, grunt taki spulchniony torfowicą pod każdy rodzaj zboża zarówno jest przy-



datnym, a dostatecznie zasilony gnojem zwierzęcym, szczególnie piękną rodzi pszenicę letnią, rańsze grochy, wykę i kartosle. Gлина czerwona zwięzła, zawierająca 15—30 procentów piasku, dostatecznie zasilona gnojem zwierzęco-roślinnym, dobra jest pod pszenicę ozimą, żyto, groch i soczewicę. Ale w lata suche grunt ten równie podlega mocnemu stwardnieniu, tak, iż mierny deждź nie jest dostatecznym do zwilżenia skamieniałej téj roli; wtenczas uprawa jéj niezmiernie jest trudną, a często wcale niepodobną; jeśli zaś jest pod zbożem, to nędzny wzrost zachowuje i szczupły plon przynosi. Lecz glina nawieziona torflowicą staje się, podobnie glejóm, pod wszelkie rodzaje zboża przydatną, wyjąwszy pszenicę ozimą; ta bowiem w klimacie naszym zdaje się koniecznie potrzebować ziemi nieco ścisłej, któraby ją od wymarznienia chroniła, czego od roli pulchnéj nie każdej zimy spodziewać się można, jak o tém doświadczenie nas przekonywa.

Pomimo tak wielkich korzyści, jakie nam użycie torflowicy przedstawia, pomimo faktów, na które ciągle patrzymy, z zadumieniem uważać można, jak mała dotąd liczba gospodarzy bez względu na obfitość, używa u nas tego ma-

terjału zbawiennego i niekosztownego sposobu poprawienia swych gruntów, wtenczas nawet, gdy niektórzy z nich nie wahają się znaczne co rok odkładać summy na zakupienie słomy, celem pomnożenia masy gnoju, summy, których im niewdzięczna glejowata rola nigdy nie wróci, gdy też same gleje *nawiezione torfowicą* dostarczyłyby im obfitęj podściółki bez kosztu.

Nazbyt może rozwlokłem niniejszą rozprawkę; ale to, może przez wzgląd na chęć moję dostatecznego objaśnienia rzeczy, czytelnicy przebaczyć raczą. Wyliczenie moje tak samych sposobów nawożenia torfowicy, jako też kosztów tej roboty, osnowaném jest nie na wnioskach lub domysłowej rachubie, lecz na wieloletniej skrupulatnie obserwowanej praktyce.

Jeśli by więc znaleźli się między ziomkami moimi tacy, którychby obojętności w użyciu tego środka poprawy roli przyczyną było nieobeznanie się z rzeczą, niech raczą przyjąć skazówki moje, jako rady szczeręgo przyjaciela.— A ponieważ mniej więcej moglibyśmy zastosować do siebie niedawno wyrzeczone słowo jednego

z najznakomitszych Koryfeuszów krytyki naropowej: „że kiedy nawet chcemy co zrobić, to jeszcze się ociągamy,” niechże skazówki te zostaną jako w dobrej chęci nakreślone *pro memoria*.

*Józef Gerald-Wyżyci.*

Pisałem w Rosicy,  
dnia 1 lipca 1843 roku.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.



---

## SPIS RZECZY

w tym tomie zawartych.

---

### I. RZECZY POWAŻNE.

	<i>Stron.</i>
Wspomnienie zamku Kazimierza, <i>A. Platera</i>	7
Dwa słowa o Dźwinie, <i>M. Hr. Borchu</i> . . .	20
Dwie kartki z historii powszechnej świata, przekład z ross. <i>B. Żukowskiego</i> , p. <i>J.</i> ze <i>S.</i> .....	41
Postrzeżenia i sądy, <i>Alexego Horodzińskiego</i>	50
Korrespondencja literacka. List I. . . . .	63
List II. . . . .	81
List III. . . . .	85
List IV. . . . .	95

### II. LITERATURA.

Kościół. Wiersz <i>Ign. Chr.</i> ....	117
Barkarola, tegoż . . . . .	120
Do..., <i>Walerjana Grzymałowskiego</i> . .	122

	<i>Stron.</i>
Izmael i Marja. Powieść wierszem, <i>A. Grozy</i>	125
O Sextynach, <i>M...</i> . . . . .	134
Wianek z kwiatu pomarańczy, zdarzenie prawdziwe, <i>L.....a</i> . . . . .	138
Akt pierwszy z komedji, p. t.: Słowo honoru, <i>A. Horodzińskiego</i> . . . . .	153
Akt drugi dramatu fantastycznego: Przesilenie dnia z nocą, <i>Klemensa Grzymałowskiego</i> . . . . .	175
Dalszy ciąg Pamiętników X. Jordana, <i>K. B....</i>	208

### III. RZECZY UŻYTECZNE.

O sposobach poprawienia gruntów glejowatych, p. <i>Józefa Gerald-Wyzyckiego</i> . .	275
---	-----



---

## Lista dodatkowa Prenumeratorów, JJ. WW. i WW.

---

- Borowski, Leonard.  
 Czechowicz, Cyprjan, b. Prezyd. i Kaw.  
 Downar, Jan, b. Sędzia Granicz.  
 Dziengielewski, Djonizy, Kollegski Assesor i Kawaler.  
 Januszewicz, Piotr, Komornik.  
 Jasiukowiczowa, Wincentyna.  
 Łopaciński, Ignacy.  
 Łopaciński, Henryk.  
 Karpowicz, Józef, b. Sędzia Granica.  
 Klot, Zenon, Sędzia.  
 Mirski, Tomasz, Kapitan.  
 Mirski, Hieronim, Sędzia.  
 Mirski, Bernard, Deputat.  
 Mitlicki, Michał.  
 Plater, Józef, Hrabia, b. Marszałek.  
 Plater, Kazimierz, Hrabia, b. Chorąży Duch.  
 Plater, August, Hrabia.  
 Plater, Wilhelm, Hrabia.

- Plater, Eugenjusz, Hrabia.  
 Plater, Kazimierz, Hrabia.  
 Plater, Konstanty, Hrabia.  
 Plater - Zyberg, Michał, Hrabia.  
 Platerowa, z Soltanów, Hrabina, Antonina.  
 Platerowa, z Grabowskich, Hrabina, Ludwika.  
 Platerówna, Ludwika, Hrabianka.  
 Platerówna, Helena, Hrabianka.  
 Römer, Ludwik, Porucznik b. w. p.  
 Sledziejewski, Alexander.  
 Sokołowski, Albert.  
 Świętecki, Franciszek, Kolleg. Assesor i Kawaler.  
 Szadurski, Stanisław, Półkownik i Kaw.  
 Szadurska, Celina, z Hrab. Tyszkiewiczów.  
 Szyrynowa, Karolina, z Hrab. Platerów.  
 Szyszko, Tomasz.  
 Tour, Janusz.  
 Wołosowski, Konstanty, Podkomorzy.

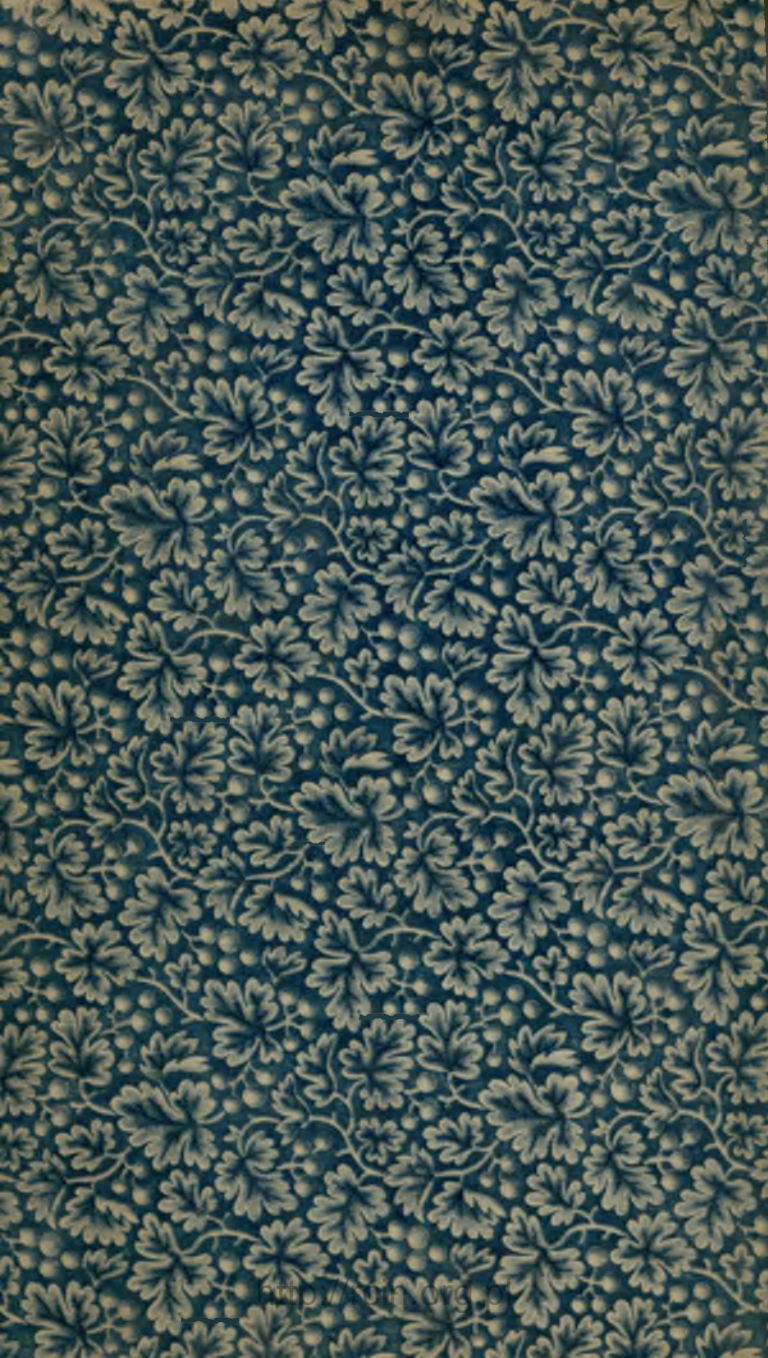














P. I

500

1843